

**Carrie Fisher**

# **Podwójne szczęście**

*(Delusions of grandma)*

*Przekład Ilona Peplak*

*Chanie i późnemu wielkiemu Juliuszowi  
oraz mojej powiernicy Billie Catherine*

*Mała dziewczynko,  
moja fasolko,  
jak ty rośniesz!  
Jesteś już duża.  
Kto cię zje?*

*Chcę powiedzieć, Lindo,  
że w twoim ciele nic nie kłamie.  
Wszystko nowe mówi prawdę.  
Ja jestem tutaj, jest ktoś ważniejszy,  
stare drzewo ginie w tle.*

– Anne Sexton „Mała dziewczynka, Moja fasolka, Moja piękna kobieta”

*Wiem, że to wszystko  
tylko dłonie  
Z żalości słodkiej dotykania  
przychodzi miłość  
jak śniadanie*

– Anne Sexton „Siła niepoohamowania”

Obyś żył w ciekawych czasach”, przeklinają Chińczycy. Jeśli chodzi o przekleństwa. Cora uważała, że to naprawdę najlepsze, jakie kiedykolwiek słyszała. Nie była co prawda szczególną znawczynią, ale to, jej zdaniem, miało wyjątkowo szerokie zastosowanie, o wiele szersze niż ogólnikowe „Idź do diabła”, pokrzepiające „Połam nogi”, a nawet pradawne „Niech cię szlag”. Przez wiele lat zdawało jej się, że ulubione przekleństwo brzmi nieco inaczej: „Obyś miał ciekawe życie”, i ta druga wersja też jej się podobała. Jednak „ciekawe życie” z natury rzeczy obejmuje mniej niż „ciekawe czasy”, w pojedynczym „ciekawym życiu” niekoniecznie muszą się wydarzyć brawurowe jazdy, strzelaniny, porwania samochodów i zamieszki – a w takich to czasach przyszło Córce wieść ciekawe życie. Wśród wszystkich sądowych matactw, bałwochwalczych kultów i zanieczyszczeń tonami spadających z nieba pyłów życie Cory było niczym całkiem malutka wysepka otoczona zewsząd ciemnym morzem niezrozumiałych dni i nocy. Do tego jeszcze znak chińskiego alfabetu, oznaczający „załamanie” i „szansę”. Cora zrozumiała to bardzo szybko, nawet nie przekręcała strony do góry nogami – jeśli coś cię nie niszczy, wzmacnia cię. Albo, jak zwykł mawiać jej przyjaciel Noel, dermatolog: „Jeśli cię nie zabije, będziesz wyglądać bardzo, bardzo źle”. Era nuklearna – jeśli przeżyjesz, to nie tylko będziesz świecił w ciemnościach, ale pewien szczególny rodzaj dzikości ochroni cię, nawet przed samym sobą. W każdym razie, gdyby zrozumiała tej nocy, kiedy widziała Arsenia przeprowadzającego wywiad z Sally Jessy Raphael – gdyby pojęła ten znak – może zrobiłaby wszystko inaczej. Program na żywo, w którym redaktor odpytuje innego redaktora – wielu przysięgłoby, że to jeden z dwunastu znaków oznajmiających nadchodzący koniec świata, a co najmniej ciekawe czasy. Cora nie mogła się zdecydować, którą ewentualność wybrać. Pamiętała swoje myśli w tym czasie. Myślała, że gdy redaktorzy zaczynają przeprowadzać wywiady we własnym gronie, ktoś lub może też coś przestaje się liczyć – chodziło o publiczność. Ale była w ciąży i coraz trudniej jej było nadażyć za własnymi myślami, nie mówiąc o optymistycznych własnych myślach. Czowała, że mózg się jej rozpuścił i utkwiał w przelyku. „Kiedy jesteś w ciąży i zaczynasz zagłębiać się w sobie, nigdy nie wiesz na pewno, na kogo się natkniesz”. To była jedna z mizernych prób zamienienia ciąży w rodzaj rozrywki. Obawiała się, że jej stan może zamienić się w jakąś przerażającą, nie bardzo śmieszną zabawę, a to, co nastąpi potem, będzie trwającą

całe życie próbą sił, wymagającą całkiem nieoczekiwanej dorosłości. Ale mimo wszystko usiłowała robić dobrą minę do nie bardzo dobrej gry.

Nękał ją lęk o to, że wkrótce mogłaby odejść w zapomnienie jej uroda, nad którą panowała dotąd niepodzielnie. Miała się oto wyrwać na wolność i uciec, zostawiając Corę już tylko „interesującą”. Wydawało się, że tyle spraw przepadło na zawsze, bezpowrotna droga już się zaczęła, i nawet gdyby wiedziała skąd i dlaczego wyruszyła, nie mogłaby już wrócić. Minęła bezpieczną przystań małżeństwa, przeszła obok pomocy, znalazła się niebezpiecznie blisko śmierci. Zaczynały się sprawy o chytrych, złośliwych twarzach.

Starła się o tym nie myśleć. Po głowie plątał jej się wierszyk:

*Napis na ścianie macicy  
Wdzięczny, dziecinny i śliczny  
Razem z małą komórką  
Płodzi syna lub córkę*

Zmarszczyła brwi, niezadowolona, i wróciła do pilniejszych spraw.

Spakowała walizkę, potem postąpiła chwilę, odpoczywając. Przesunęła dłonią po nieznacznym, ciepłym zaokrągleniu brzucha. Zamieszkało tam dziecko Raya. Zaokrąglenie było jeszcze bardzo malutkie – najpewniej istniało przed ciążą, ale Cora czuła się niewiarygodnie, bezmiernie obfita, nie do zniesienia wycieńczona i podrażniona, biedna, malutka i kompletnie nieprzygotowana do roli, której musiała się podjąć.

Wszyscy wiedzą, że narządy płciowe kobiety i mężczyzny niekiedy stykają się ze sobą, po czym – po pewnym czasie i odrobinie bólu – rodzi się mały człowiek. Cora nie bardzo wierzyła, że to tylko tyle, że dzieci to rezultat seksu. Jak tornado, przyływy czy perły znajdowane w muszlach, to musiało mieć coś wspólnego z niewytłumaczalną, skrytą w morskich głębinach magią. Fale, spadające gwiazdy, odległa, niebiańska muzyka sfer – na pewno nie było ziemskiego sposobu żeby powstawały dzieci. Niemożliwe żeby tak po prostu i zwyczajnie, w wyniku stosunku.

A przynajmniej nie w jej przypadku.

Westchnęła zamykając walizkę, rozejrzała się po pokoju hotelowym. Chwyciły ją mdłości. Gapiła się w sufit czekając aż jej przejdzie i zaczęła wymyślać nowy wiersz:

*Ktoś buszował w moim brzuchu,  
Ktoś pracował z wielką werwą,  
Żeby zrobić mały omlet  
Zmieszał kilka jaj ze spermą.*

Podniosła walizę i wyszła. Zapukała do drzwi sypialni naprzeciwko.  
– Kto tam? – spytał z wahaniem męski głos.  
– Ja – oświadczyła Cora. – Ciężarna. Mogę się wytaczać.

## Kochana Esme,

*na początku powinnam pewnie wyjaśnić, dlaczego wybrałam to imię... ale właściwie to sama nie wiem dlaczego. Kiedy szukasz imienia dla dziecka okazuje się, że praktycznie z każdym coś się komuś kojarzy (najczęściej niemilego) – znienawidzony nauczyciel gimnastyki albo nikczemny kryminalista (np. Jeffrey albo Adolf czy też Ted). Dają ci książki objaśniające pochodzenie imion – greckie, angielskie, hinduskie Ud... i ich znaczenie. Jedyne, jakie w tej chwili pamiętam, to Penny (od „szpulki”), Carol (mały człowieczek) i Brendon (cuchnące włosy). To ostatnie naprawdę mnie dobija – któż nazwałby dziecko tak okropnie! Przecież, nie daj Bóg, mogłoby się to okazać prawdą! Chociaż, z drugiej strony, lepiej nazwać malca Brendon, niż mówić do niego Cuchnące Włosy.*

*A może by tak Wymiocinka albo Dziwaczny Tyłek? Zdaje mi się, że imię Twojego ojca oznacza „gałązkę” czy „czystą łąkę”. Coś smutnego, malowniczego i walijskiego zarazem.*

*Wróćmy jednak do Ciebie. Zawsze lubiłam imię Esme. Mój przyjaciel Cliff twierdzi, że brzmi to jak czyszczenie nosa – może zatem nazwać Cię po prostu Czyszczenie Nosa? Trochę to krepujące, że ludzie kojarzą Esme z powieścią Salingera i właściwie nie sposób tego imienia skrócić. Ale Esme to jeszcze nie wszystko, całe imię ma brzmieć Esme Bing Beaudrilleaux. Bing to po chińsku „podwójne szczęście” (a także, jak się okazuje, dobry dowcip). Poza tym dobrze się rymuje. Chociaż nigdy nic nie wiadomo, w ostatniej chwili mogę się rozmyślić i nazwać cię Mała Nancy – Nancy Mała Dziewuszka. Mam nadzieję, że moje rady będą dostatecznie zwięzłe i rzeczowe i pomogą Ci w życiu – nie żeby świat był zły, może jest dobry, ale w tak dziwny sposób, że trudno to czasem pojąć (zauważyłam, że odkąd jestem w ciąży, zaczęłam używać słowa „może” – może to sprawa hormonów?).*

*Pogodziłam się już z tym, że będziesz wołała swego ojca ode mnie. Ja sama dosyć długo wołałam go od siebie – i to po tym, jak mieszkaliśmy razem większą część roku (co nieczęsto łączy ludzi ze sobą, pytaj kogo chcesz). Jestem dostatecznie dziecinna, żeby nad tym rozmyślać, ale na tyle dorosła, żeby się z tym pogodzić. Moje dwa psy, Stella i Jim, które miałam przez ponad dziesięć lat, porzuciły mnie dla niego, a dzieci i psy rzadko kłamią bo nie potrafią mówić. On po prostu ma to, nie wiem jak to określić, podejście do ludzi.*

*Na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że jestem jedną z tych statystycznie*

*nielicznych kobiet z krajów rozwiniętych, które umierają w połogu, co mi przepowiada moja matka (Bud twierdzi, że cierpi ona na tak zwany „syndrom babuni”), pomyślałam, że muszę: A) zaznaczyć, że to ja byłam Twoim utraconym rodzicem, B) dać Twojemu ojcu te notatki z poleceniem, żeby Ci je przekazał, kiedy osiągniesz odpowiedni wiek (to znaczy kiedy słowa wydadzą Ci się zabawne i wieloznaczne i nie takie przynudliwe jak to co ja teraz wypisuję). Mówiłabym Ci o tym zanim skończyłabyś pięć lat. Ale – co ma być, to będzie. Ja w każdym razie będę tak długo jak tylko to możliwe.*

*Twoja kochająca mama*

*Cora*

Wszyscy w Los Angeles kręcą się wokół przemysłu filmowego, jak wokół życiodajnego ognia, podsycając go, żeby nie zagasł, nowym scenariuszem, młodymi aktoreczkami, korzystnym kontraktem. Zależnie od tego, jak blisko jesteś ofiarnego stosu ludzie szanują cię, lub nie, albo, co zupełnie niewybaczalne, nie znają. Trzeba wiązać swoje nazwisko jak najmocniej z najnowszymi filmami, jak pocisk do celu dążyć do znajomości z „kapłanami sztuki”. Dopóki błyszczysz, dopóki twoje nazwisko pojawia się na filmowych afiszach i atrakcyjnych kontraktach, będzie otaczał cię rój pochlebców i adoratorów. Chodzą za tobą, wylegają się w twoim cieniu, dopóki ty nie zostaniesz odsunięty w cień. Jesteś u szczytu – istniejesz; to jedyne kryterium osądzania innych i doboru przyjaciół. Ludzie, którzy pną się w górę, mogą pociągnąć innych. Sukces pasożyta to przyczepić się do kogoś, sprawić, żeby nie potrafił się bez ciebie obejść. Ofiara musi oczywiście być podziwiana, kochana i oglądana przez tłumy. Z pewnością można to nazwać wyższą formą oportunistów, ale czy jest coś złego w pragnieniu sukcesu? Sukces w Hollywood uważany jest za rodzaj choroby zakaźnej, tak samo i klęska, nic więc dziwnego, że szukasz „chorych na sukces”. Trzeba o siebie dbać.

Cora dorastała w dużym, kwadratowym domu tuż obok Beverly Hills. Jej rodzice pracowali w filmie – niektórzy mówili, że nawet nieźle dawali sobie radę. Ojciec był dyrektorem artystycznym, matka projektowała kostiumy. Nie uśmiechali się na zdjęciach, chociaż bardzo lubili, kiedy ich fotografowano. Cora od początku zdawała sobie sprawę z mniej wzniosłych a bardziej ponurych aspektów zjawiska, które ludzie „spoza” określali mianem „Hollywoodu”. Znała tutejsze stereotypy, ohydę i fałszywe uroki. W Los Angeles trzeba być znanym, a nie znać samego siebie, być aroganckim, a nie dowcipnym. A najgorszym przekleństwem tego miasta jest incognito.

To miejsce było jej domem, choć bardzo niestałym i nie dającym poczucia bezpieczeństwa. Drogeria Marleya na rogu, mały sklepik Newbury’ego zniknęły ustępując miejsca galerii sztuki i sklepowi papierniczemu. Stały był tylko układ ulic, topografia: parki, przez które nigdy nie odważyłaby się przejść pieszo, ponure dzielnice przemocy i biedy, odległe, zapomniane, inne. I słoneczne, zielone rezydencje bogaczy.

Cora „poprawiała” filmy, „polerowała” dialogi, „cyzelowała” sceny. W dobrym tonie było tak właśnie o tym myśleć; jak o nadawaniu połysku drogocennym

srebrom. Czasem było to jak wkładanie skórkowej rękawicy na brzydką dłoń – usilne próby nadania odrobiny blasku, życia i sensu topornym scenariuszom. Dodawała głębi, humoru, dosypywała garstkę cech charakterystycznych, robiła wszystko żeby przedstawione historie i ludzie byli warci dwóch (broń Boże więcej!) wysokobudżetowych godzin w kinie.

Pisanie odpowiadało temperamentowi Cory – czy raczej podtrzymywało ten temperament. Żyła w ciągłym poczuciu, że nie wolno jej zwolnić ani przyspieszyć ani na chwilę, musi wciąż pamiętać, żeby się nie roztluc zniecka, nie spłonąć. Przytłoczona swoją doskonałością, trwała w oszołomieniu, niewolnica wielkiego zamętu. Dawno temu postanowiła, że skoro przyszło jej żyć w zgiełku, będzie pracowała w ciszy. Pisała. Najpierw, dla wprawy, powieści. Później, już pewniejsza siebie, sztuki, a na koniec scenariusze.

Niestety, miała doskonałe początki. To znaczy, początki, które napełniły ją nierozsądnymi oczekiwaniami, albo raczej oczekiwaniami, które trudno urzeczywistnić.

Napisała scenariusz dla bardzo dobrego reżysera, oparty na jej własnej nowelce, zamieszczonej w „Interview”. Była to historia obsesyjnej miłości – w tym kontekście całkiem zabawnie wyglądała miłosna obsesja jej i reżysera, Vincenta DiBiase. Spotkali się i zostali kochankami kiedy wynajął ją do urządzenia swojego domu na Hollywood Hills. Dlatego do pewnego stopnia nie potraktowała poważnie tego, że wynajął studio, żeby nakręcić jej historię.

Vincent był szanowany i znany, w młodości dostał Oscara i był kiedyś mianowany; pamiętała o tym, choć starała się za bardzo nie przejmować. Zresztą to przeważnie do niczego nie prowadziło. Ktoś miał historię, bardzo znany reżyser albo producent zgarniał ją – czasami nawet reżyser nominowany do Oscara, albo, broń Boże, taki, który znał receptę na osiągnięcie komercyjnego sukcesu. Zwykłą kolejną rzeczą pisano scenariusz, nagrywano – i tyle. Czasem angażowano gwiazdę, a doktor od skryptów starał się przywrócić skryptowi trochę życia. Powstawał kolejny przeciętny film.

Ale, o dziwo, w przypadku Cory sprawy potoczyły się inaczej. Jej nowela została zakupiona przez studio kiedy Cora miała dwadzieścia siedem lat i wciąż dorywczo zajmowała się projektowaniem wnętrz. Zaangażowano ją jako scenarzystkę, zapłacono i wyznaczono termin. W dodatku znalazła agenta i zapisała się do Gildy Pisarzy. Vincent dał jej książkę Syda Fielda, „Jak pisać scenariusze”.

– Nie potrafisz napisać scenariusza – jęczała.

– Na pewno nie pójdzie ci gorzej niż przy urządzaniu mojego domu – zapewnił ją Vincent. – W końcu ci się udało, no, może poza sypialnią. A kto wiedział, że w ogóle potrafisz pisać?! A tym bardziej pisać o mnie. Przyznaję, odrobinę pochlebnie. Byłem poruszony pomysłem uwiecznienia dla potomnych naszego drobnego grzeszku. Naprawdę mnie to intryguje. Chociaż, muszę przyznać, widoki na trzeci akt nie są zachęcające.

Cora wzdrygnęła się.

– Cóż, jeżeli ty czujesz się zniechęcony, to ja powinnam się czuć przeleciana.

– Zniechęcony i Przeleciana – brzmi jak duet z wodewilu. Ale to już jakiś początek! – zauważył klepiąc ją po zgarbionych plecach. Tak więc, pod prywatnym tytułem „Zniechęcony i Przeleciana”. Cora zaczęła żmudne prace nad adaptacją swojej noweli. Wyszło jej coś w niewielkim stopniu przypominającego szkic Vincenta trzy akty, po dziesięć scen w każdym, według reguł Syda Fielda.

Pracowała jednocześnie jako dekoratorka wnętrz i pisała. Akt pisania, zrywy, szczęśliwe zakończenia uspokajały bestię, która się w niej czała, wielkiego, hałaśliwego niedźwiedzia. Zanim skończyła trzydzieści dwa lata, napisała trzy scenariusze i razem z Budem, swoim współnikiem i przyjacielem, poprawiła dwanaście innych. Poślubiła mężczyznę, który wyglądał jak jej ojciec, rozwiodła się i miała około tuzina kochanków.

Teraz nastąpił w jej życiu moment zastoju, trwała zawieszona pomiędzy przeszłym a przyszłym. Tym „przeszłym” był Charles, pochodził z Karaibów, a jego ciało pachniało egzotycznymi przyprawami. Miał wspaniały, zmysłowy głos, który sprawiał, że czuła jak bardzo jest kobietą i potrzebuje mężczyzny.

Ugotował obiad dla niej i swojej ośmioletniej córeczki, która grzała rączki koszulą tatusia. Cora nie pamiętała dokładnie o czym rozmawiali, pamiętała tylko, że cokolwiek powiedział, brzmiało jak poezja czytana przy świecach, w gronie najbliższych przyjaciół (w tym Richarda Burtona). Po obiedzie odprowadził ją do samochodu i pocałował. Całował tak, jakby odkrywał nieznany ląd, a ona wraz z nim. Ciepły powiew przynosił korzenne zapachy.

Następnego wieczora zadzwonił zaraz po dziewiątej, kiedy jego córka poszła spać. Chciał, żeby spędziła u niego noc.

Cora zamknęła oczy i myślała.

– Są na to określenia – powiedziała. – Nie mogę sobie przypomnieć, ale na pewno są. „Szybki Bill”, tylko to przychodzi mi do głowy. Nad resztą pomyślę po drodze.

Ustalili, że będą się tylko całować i pooglądają telewizję.

Cora włożyła pidżamę i szlafrok, wzięła poduszkę i pigułkę nasenną z szufladki szafki nocnej. Niezbyt dobrze wtedy sypiała.

Dwadzieścia minut później zapukała do jego drzwi. Miał rozpiętą koszulę, spod której wyglądała miedziana klatka piersiowa.

– Niedojrzałe, przedwczesne. Przypomniałam sobie te określenia.

Całowali się namiętnie przed telewizorem. Kilka godzin później poszli spać. Charles zasnął od razu, jego ciało było ciepłe i bliskie, otaczał ją ramieniem. Cora nie mogła zasnąć. Wyśliznęła się z jego uścisku i grzebała w portmonetce, szukając pigułki nasennej. Przetrzaśnęła portmonetkę dokładnie, kieszonka po kieszonce. I jeszcze raz, aż znalazł. Niestety, okazało się, że to tylko guzik. Nie wierzyła własnym oczom, ale leżał tam guzik, biały guzik, który w pośpiechu złapała z szafki nocnej. Zamiast zbawczej pigułki przywiozła tu ze sobą guzik nasenny. Nie zasnęła aż do wpół do czwartej, oglądała stare filmy, które widziała już setki razy. Charles spał hałaśliwie obok, a jego niezapomniane ciało płonęło w ciemnościach.

Obudził ją za dziesięć siódma, żeby zdążyła odwieźć jego córkę do szkoły. Dniało, kiedy wracała do domu, wyczerpana, zostawiwszy za sobą na jego granatowym dywanie guzik – skarżypytę. Usta jej wyschły i popękały w kącikach. Jechała na Mullholland, nad którym zawisła chmura smogu.

Zadzwonił do niej następnego wieczora, ale nie pojechała. Jego łagodność przyćmiewała pachnące ciepło. Przyszło jej do głowy jeszcze jedno określenie: „powóz przed końmi”. Dzwonił do niej kilka razy z Toronto, gdzie robił film, nie mógł się doczekać, kiedy się znowu zobaczą. W końcu, w napadzie tchórzostwa, zmieniła swój numer i pozwoliła temu umrzeć.

Na początku Cora na pewno nie rozpoznała w Rayu osoby, z którą często się będzie widywać. Wychowano ją w nieufności do wszystkich mężczyzn, a szczególnie prawników. Ale przestała ostatnio ufać swoim odczuciom i zbliżała się do tych, którym nie powinna wierzyć a unikała tych, którym zasadniczo powinna.

„Widujesz się z kimś?” – bardzo lubiła to pytanie, zakładało bowiem, że są ludzie, których widzisz i tacy, których słuchasz. Umawiać się należało tylko z tymi pierwszymi, resztę można załatwić telefonicznie. Broń Boże jeśli kogoś się jednocześnie widywało i słuchało, to mogło grozić ciążą! Prawdopodobnie spotkała Raya już wcześniej na jednym czy dwóch przyjęciach. Żadnego nie pamiętała – choć może to i lepiej. Chciałyby tak nie pamiętać wielu mężczyzn, z którymi częste spotkania niestety doskonale wryły się w jej pamięć. Ostatnio jednak dość często się to zdarzało, ta niezdolność uzmysłowienia sobie kiedy ktoś pojawił się w jej

życiu. Może wydoskonali się w zapominaniu do tego stopnia, że sama terażniejszość zaczęła wymykać jej się z rąk, niczym zwiewne fatamorgany. Miała nadzieję, że stopniowo doprowadzi ten proces do stanu, w którym będzie zapominała rzeczy zanim się jeszcze wydarzą, a przyszłość wyśliznie się z jej pamięci razem z poronioną przeszłością. Czasami myślała, że wszystko jest zamrożone w czasie, a człowiek rozmraża po prostu realność, kiedy w nią wkracza. Wierzyła w odwilż uczuć i myśli, przyływy i odpływy wywołane temperaturą wewnętrzną. Dlatego pamięć, rozpoznawanie i deja vu właściwie opierały się na rozgrzewaniu tego co znajdowało się stale obok, razem z przecuciami i wspomnieniami. Niekiedy czuła wielowymiarowość świata. O ile oczywiście było w tym wszystkim jakieś źdźbło prawdy, co nie zawsze miało miejsce w przypadku nie kończących się teorii Cory.

Kolejna dotyczyła głosu. Cora czuła, że głos chwycił ją w pułapkę, połykał, przysypywał stosem jej własnych słów. Chciała powiedzieć: „Przyjdź, proszę, uwolnij mnie. Idź za dźwiękiem aż do jego źródła, idź aż do dna mojego głosu”. – Właśnie tam, gdzie kończył się głos ukrywała się Cora pod wiązką słów o uczuciach. Słuchając sercem można było złamać szyfr wszystkiego, co mówiła. Rozmowa jak mapa prowadziła do niej. Czekwała na kogoś, kto uwolniłby ją z pułapki słów, kto zaplątałby się w ich misterną pajęczynkę i rozerwał ją, niszcząc barierę dźwięku. Intensywne czekanie nie było już właściwie czekaniem. Może Ray tak właśnie czekał kiedy pierwszy raz się spotkali? Czy jednak warto dumać o przeszłości, kiedy i tak już minęła?... Ta pierwsza, cieniutka niteczka sympatii dała początek szczegółowym oględzinom przy ogromnych ilościach spożytego wspólnie jadła.

Pierwsze wspomnienia o Rayu wiązały się z kuchnią. Dlatego kojarzyła go z odżywianiem, jedzeniem, sytością. Wiedziała, że tak właśnie postępują mężczyźni; hipnotyzują ofiary, dogadzają pod jednym względem, żeby z czasem otworzyć sobie drogę do wszelkich względów. To była swoista pieśczęta – pieśczęta nadgryzionego steku.

Czuła, że Ray chce słuchać tego, co ona chce mu powiedzieć. Śpiewała w jego obecności, kwitła pod jego okiem. Kiedy zadzwonił następnego dnia, zmusiła się do zduszenia ciekawości. Zadowolona, miła, zapytała tylko:

– Skąd wzięłeś mój numer? – Ułożyła się wygodnie na poduszkach.

– Wypróbowałem wszystkie możliwe kombinacje siedmiu cyfr – trochę to trwało.

Zaśmiała się.

- I co, warto było? – spytała cichutko.
- Hmm... To zależy. Jeżeli zjesz ze mną jutro lunch...
- Więcej jedzenia.
- Słucham?

– To już drugi raz kiedy widzę cię gdzieś w związku zjedzeniem. Zresztą to nic, nie szkodzi. Gdzie się spotykamy?

Umówili się wreszcie w „Thai Me Up”, restauracji w Westwood, którą zasugerowała Cora, bardziej dla kurczaka satey niż nazwy. Tej nocy śniło jej się, że próbuje nakarmić dziecko – jej dziecko – masłem orzechowym. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Często ostatnio śniły jej się dzieci – dzieci, pająki i skarpetki.

Przyjechała późno i paliła. Wstydziała się palenia, ale wstyd prowokował ją tylko do kolejnego papierosa. Przy sąsiednim stoliku siedziało dziecko. Cora zgasiła papierosa, zmieszana popatrzyła przepaszająco na rodziców uroczego, śliniącego się malca.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała sadowiąc się naprzeciwko Raya. Czuła się tak, jakby mieli przed sobą partię szachów, a nie randkę. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur, w którym było mu do twarzy. Dym z jej przygaszonego papierosa unosił się nad jego marynarką niczym mgła nad jeziorem.

- W porządku – zapewnił ją. – Chcesz się czegoś napić?

Odgarnęła włosy spadające jej na twarz i zajrzała w nieskończoną głębię jego oczu.

- Coli.

Przywołał kelnera, zamówił colę i poprosił o menu. Dziecko przy sąsiednim stoliku rozplakało się. Cora nachyliła się i wyszeptała:

– Kiedy płaczą, zawsze wydaje mi się, że właśnie pomyślały o śmierci. Że to je przeraża. Strach przed śmiercią – otarła wilgotne dłonie o spódnicę, próbując się uspokoić. Tak jak on. Twarz Raya zasępiła się na chwilę.

- Czy pamiętasz kiedy się zorientowałaś? – zapytał poważnie.
- Że umrzesz, nie tylko ty, ale że w ogóle wszyscy umierają.

Cora uniosła brwi udając zdziwienie.

– A umrę? Boże, gdybym wiedziała o tym wcześniej, włożyłabym coś odpowiedniego.

Ray roześmiał się. Pochylił głowę jakby chcąc ukryć lśniąca biel swoich zębów.

- Może nie będziesz musiała umierać. Jeżeli znajdziesz dobrego prawnika...

Uśmiechnęła się i nagle poczuła ulgę. Lunch im się uda. Może wszystko im się uda? Może ich dziecko o oczach Raya, posłuszne i słodkie, będzie z wrodzoną

elegancją nosiło garnitury i rozsiewało wkoło przyjemny zapach.

A może będzie zupełnie inaczej. Ona zginie przygnieciona windą albo spłonie w katastrofie lotniczej i nikt się tym nie przejmie.

Patrzyła na długie palce Raya, bez żadnego pierścienia, na jego blade, delikatne ręce, proste, ciemne rzęsy. Popęłnił błąd językowy, a ona natychmiast wielkodusznie mu to wybaczyła. Powiedział jej, że jest „prawnikiem od tych z rozrywki” i też gotowa mu to była wybaczyć. Przyszło jej do głowy, że on nie może się pocić. Powiedział że pochodzi z Południa, że uwielbia Faulknera i nigdy nie był naprawdę zakochany. Ona jemu opowiedziała o swoim mężu, o tym jak próbowali mieć dziecko zanim ją opuścił. Ray poważnie pokiwał głową.

– Nie mógł postąpić – zauważył ze smutkiem. Nie zrozumiała.

– No wiesz, zbliżyć się, pójść dalej, przejść do następnego etapu.

– Aa! – pokiwała głową, nadal nie do końca go rozumiejąc, odurzona zapachem jego wody kolońskiej. Zastanawiała się, jak przeżył dwadzieścia osiem lat nikogo nie kochając, „nie postępując”.

Dziecko obok rozrzucało jedzenie po całym stoliku.

– To dobry znak – stwierdziła Cora.

– Albo złe jedzenie – zauważył Ray, przywołując kelnera.

We wspomnieniach Cory Ray z początków ich znajomości nieodmiennie łączył się z jedzeniem. Przypominała sobie restauracje, w których czekali na zamówienie dania, kolejne wspólnie przeżywane rozkosze stołu. Upewniali się, że wszystko idzie dobrze, czekali i obserwowali. Jadali razem w najróżniejszych miejscach. Jego zęby były białe i równe, włosy złote i lśniące. Pewnego wieczoru włożył szelki. Kiedyś w niedzielę zadzwonił Cliff i zapraszał ją do siebie na obiad i film. Przysięgał, że umówili się wieki temu – może tylko tak udawał, żeby zmusić ją do niezdarnej obrony, żeby mocją bezkarnie wypytywać. Namawiał:

– Przyjdź. Co masz innego do roboty?

Zadowolony drażnił się z nią:

– Kotku, a może masz randkę?

Wreszcie rozkazał:

– Weź go ze sobą i przyjdź wcześniej to pogadamy.

Cliff był niewiarygodnie przedsiębiorczy, zawsze osiągał to, czego chciał. Zdawało się, że nie istnieją dla niego żadne bariery, że nie obawia się niczego. Kiedy miał już plan, konsekwentnie go realizował, za wszelką cenę, nie bacząc na nic. Miał żelazną wolę i wytrwałość, jeżeli coś sobie postanowił, musiało tak być.

Cora знаła go od zawsze, dobrze było go znać – ciągle odnosił sukcesy. Ale nie dlatego go lubiła. Kochała go za pasję rozmawiania – on myślał ustami. Dochodziło się do jego wniosków równo z nim albo nawet chwilę wcześniej. Uwielbiał język, słowa, grę znaczeń – a Cora razem z nim. Wspólnie starali się dotrzeć do sedna spraw, zajrzeć pod podszewkę sensów. Bystry, wielki, niebezpieczny, atakował wszystko. Cora lubiła słuchać, jak się unosi.

– Czemu jesteśmy tacy szaleni? – pytał nie oczekując odpowiedzi. Albo:

– Kochanie, czy wszyscy są tacy szaleni jak my?

Poradził jej kiedyś, żeby wcześniej chodziła spać, „bo wszystko złe przydarza się nocą”. Odkąd skończył dwadzieścia dziewięć lat, zawsze kładł się o wpół do jedenastej i wstawał przed siódmą. Potem dzwonił do Nowego Jorku, czytał gazety i jadł jajko. W stosunku do Cory był bardzo opiekuńczy – zawsze bronił jej, kiedy coś jej się nie układało w związkach z mężczyznami:

– Coro, jestem twoim rycerzem, zawsze przy tobie, zawsze gotowy do boju. Ale musisz uważać jak się mną posługujesz.

– O czym wy tak ciągle rozmawiacie? – dopytywał się zazdrośnie Bud. Cora

nie pamiętała.

– Może to dlatego, że często się zgadzamy. Układamy przekonania jedne na drugich, plotkujemy udając psychologów dopóki nie zadzwoni telefon albo on nie musi iść spać.

Bud pokiwał głową.

– Nienawidzi mnie, tak?

Cora wywróciła oczami.

– Nieprawda. Uważa, że jesteś beznadziejnym sadystą.

– A, jeśli tak, to w porządku – ucieszył się Bud.

Wszyscy wielcy zaczynali jak Cliff – bezwzględni i zadowoleni. Mieć znajomych, odpowiednich znajomych – to otwierało wszystkie drzwi. Chyba, że nie umiało się z tych znajomości korzystać. Cora umiała. Bardzo wczesnie intuicyjnie nauczyła się rozpoznawać ludzi, których potem chcieli poznać wszyscy. Lubiła mawiać, że zna odpowiednich ludzi w nieodpowiednich sytuacjach. To się liczyło. Cora miała swoje własne stronnictwo złożone ze sławnych znajomych. Otaczała się nimi, bo lubiła skomplikowane osobowości, nadwrażliwców, erudyków. Umieć się obnażać – niezależnie od tego ile z siebie zdjęli, zawsze jeszcze mieli coś pod spodem.

Cora miała nadzieję, że Ray będzie pasował do trzódki Cliffa, choć nie była całkiem pewna, czy chce, żeby pasował. Tak czy owak, następnego dnia wyjeżdżała na miesiąc do Paryża, gdzie robili z Budem film dla telewizji kablowej. To był ostatni wieczór, który mogli spędzić razem przed wyjazdem, a po powrocie mogło się okazać, że wcale nie chcą się już widywać.

Cliff miał dom na plaży, z każdego pokoju rozpościerał się widok na ocean oświetlony światłami przeciwpowodziowymi. Nad kominkiem wisiał obraz Edwarda Hoppera, przedstawiający dom skąpany w miodowym słońcu. Błyszczył zza grubego szkła. Na jasnej, drewnianej podłodze stały gdzieś białe meble. Cliff miał na sobie nieśmiertelny biały podkoszulek, dżinsy, mało zniszczone tenisówki i niemożliwie białe skarpetki. Angielski kamerdyner, również Cliff, podawał drinki na srebrnej tacy. Na ścianach wisiało kilka szkiców angielskiego malarza, którego nazwiska Cora nie mogła zapamiętać. Poprosiła Cliffa, żeby jej przypomniał.

– Hockney – odpowiedział. – Serduszko, świetnie wyglądasz.

Niech no ci się przyjrzę – odsunął ją na odległość ramienia.

Cora zmieszana się.

– Starczy – stwierdziła, rozglądając się za odsieczą ze strony Raya, zajętego, zdaje się, oglądaniem przy kamiennym stoliku do kawy obok kominka zdjęć z czterdziestych urodzin Cliffa.

Cliff przyciągnął ją do siebie konspiracyjnie.

– Serduszko, on jest wspaniały. Robiliście to już?

Cora trzepnęła go po opalonym, umięśnionym ramieniu.

– Co ci przychodzi do głowy – wymruczała. – Ledwo go znam.

Zaśmiał się i potargał jej włosy.

– Nie szkodzi. Nie czekaj aż poznacie się za dobrze, to może wszystko popsuć.

Trąciła go łokciem, bo Ray zerknął w ich stronę. Cliff – kamerdyner prosił do stołu. Niepokoiła się o Raya wśród wszystkich tych ludzi. Był tu Marshall Klein, szef Brandeis Corporation, najbardziej dochodowych studiów filmowych na świecie, z żoną Sheila, Curtis Freiburg, prezes Majestic Studios, król mody Morris Westin z Patty, swoją kolejną połowicą. Ray jednak zawsze tak dobrze się czuł w sytuacjach związanych z jedzeniem, że przestała się przejmować. Miał dwa talizmany – jedzenie i swoje włosy, lśniące niczym złote monety.

Podczas projekcji siedzieli na dużym, białym krześle. Czuli swą bliskość. Cora skromnie obciągała spódniczkę „małej czarnej” (wtedy jeszcze nie miała nic do zarzucenia swojej figurze). Pragnęła udowodnić Rayowi, że jest tradycjonalistką, przynajmniej w niektórych sprawach. Ogólnie mówiąc tych, w których nie chodzi o rozmowę.

Jej skóra ożywała pod dotknięciem jego dłoni. Wpatrując się w czarno-biały ekran ze wszystkich sił starała się ją uspokoić. Siedzieli na tym krześle, w ciemnościach, jakby siadywali tak od lat. Cora nawet przed sobą nie przyznałaby się, że to była randka. Jeszcze nie.

*„Człowiek musi być trochę szalony... inaczej nigdy nie będzie miał dość sił żeby przeciąć linę... i być wolnym”.*

Oglądali „Greka Zorbę” tego wieczoru i Cora zapamiętała te słowa na zawsze. To była pierwsza „ich” piosenka.

Cliff i Ray mocno uścisnęli sobie dłonie przy pożegnaniu.

– Dzięki, Clifton. – Cora go ucałowała. – Idę przeciąć linę.

Cliff popatrzył na nią.

– Taak – stwierdził bez entuzjazmu. – Ale potem będziemy musieli odtńczyć te idiotyczne tańce, a ja okropnie wypadam w zbliżeniach.

Cora pokiwała głową ze współczuciem.

– Może to i racja.

Wyszli prosto w bezchmurną noc Malibu. Wpadła na Raya i zmieszało ją ogromnie to, że mógł poczuć, jak bardzo jej na nim zależy. Synod jej ciała ogłosił go już swoim papieżem, ale próbowała za wszelką cenę powstrzymać kardynałów przed obwieszczeniem świata tej nowiny. Pochłaniało ją całkowicie ukrywanie przed nim swoich uczuć – ale ukrywanie bywa niekiedy zdradzieckie.

Jej czarne obcasy zgrzytały po żwirowanej alejce kiedy szli do samochodu Raya. Trzymał ręce głęboko w kieszeniach spodni.

– Ile lat znacie się z Cliffem?

Cora potarła nos.

– Czternaście? – wahała się. – Szesnaście? – roześmiała się. – Chciał być ze mną szczery.

Otworzył drzwiczki i Cora wśliznęła się do środka. Wsiadł i zapuścił silnik.

– Co to znaczy?

Odchyliła głowę i uśmiechnęła się.

– To znaczy, że byłam nową dziewczyną i wielu z tych wszechmocnych facetów chciało się ze mną umówić. Częściowo dlatego, że znali się wszyscy, a to wyjątkowo zazdrosne samce. Jeden z nich porównał sytuację do pewnej historyjki o baronie Von Theisenie, który kolekcjonował Biblie. Na aukcji miał być sprzedany zupełnie wyjątkowy egzemplarz. Baron pragnął go kupić, ale za niezbyt wysoką sumę. Dzwonił do innych kolekcjonerów i przekonywał ich, że nie warto kupować, bo Biblia jest uszkodzona, że to falsyfikat i w ogóle. Nie pamiętam, czy wreszcie ją kupił i za ile. Pewnie jednak było podobieństwo do sytuacji pomiędzy mną i tymi facetami. Może dzwonili do siebie i przekonywali się, że jestem do niczego – i w dodatku za młoda. Mnie oni imponowali, ale to nie znaczy, że chciałam się z nimi spotykać. Cliff był jednym z nich.

Ray zastanowił się.

– Ale on jest gejem?

Uśmiechnęła się.

– Mówił zawsze, że lubi seks z mężczyznami, a związki z kobietami. Ja byłam bardzo onieśmielona przy wszystkich tych facetach. Onieśmiały mnie ich osiągnięcia i zdolności. Chciałam być blisko nich, ale nie bardzo wiedziałam, dlaczego oni chcą być w pobliżu mnie. Byłam ładna, młoda, a im zależało tylko na tym, żeby się ze mną przespać. Kiedy się na to godziłam albo nie, odchodzili. Ciężko pracowałam, żeby być w ich oczach elegancka i dowcipna. Zresztą, Jezu, przecież ty pytałeś tylko jak długo znam Cliffa. Połowę mojego życia, więcej niż połowę twojego.

Pamiętała o niewielkiej różnicy lat pomiędzy nimi. Zresztą, gdyby nawet była jego rówieśnicą, i tak wcześniej by się zestarzała. Kiedy ona byłaby siwa, on zaledwie szpakowaty. Jak to się mówi? Młodsze kobiety sprawiają, że starsi mężczyźni wyglądają młodziej – młodszy mężczyźni sprawiają, że starsze kobiety wyglądają głupio. A może tylko „czują się głupio”? To powiedzenie obrazowało wszystkie obawy Cory.

– Uwielbiam z nim rozmawiać – powiedziała sennie, patrząc przez okno na kogoś biegnącego po San Vincente. Z radia sączył się miękki głos Sama Cooke’a. Ray kciukami wystukiwał rytm na kierownicy. Patrzyła na jego mocno zarysowany profil. Poczuli na sobie jej wzrok i spojrzeli na nią. W jego okularach odbijały się światła ulicznych latarni.

– Co? – spytał z zadowoloną miną.

– Nic – odparła wyglądając przez okno. – Dziękuję, że mnie tam zabrałeś, to wszystko. Dopóki tam nie pojechaliśmy, nie zdawałam sobie sprawy, że oni wszyscy będą cię prowokować, że będą chcieli po prostu cię sprawdzić. Jutro wszyscy będą do mnie dzwonić i mówić: „Jak tam jest między wami? On jest miłutki. Długo jesteście razem?” – uderzyła się w głowę dłonią.

– Ojej.

– I co im odpowiesz? – spytał cicho Ray. Głos Sama Cooke’a wibrował ostatnią nutą.

Ledwo powstrzymała ziewanie.

– Nie zapominaj, że jutro lecę do Paryża. Będą musieli dzwonić do ciebie albo omówią to między sobą.

Ray uśmiechnął się, unosząc brwi.

– No to ładnie, dzięki.

Wyprzedził ich wóz policyjny i zniknął za zakrętem. Wjechali na podjazd pod jej domem. Ray zatrzymał się i patrzył przez szybę, czekając na dalsze instrukcje.

– Gdybym tu mieszkała, byłabym teraz w domu... – zaproponowała niepewnie. Gładził wygięcie kierownicy, jakby nigdy więcej już jej nie miał dotknąć. Odkasznął.

– Nie jestem w tym dobry – wyznał cicho.

– W prowadzeniu samochodu? – zgadywała. – Skądże, masz do tego smykałkę.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Do niczego nie mam smykałki – stwierdził i dodał jeszcze: – Wiesz, o czym mówię.

Spojrzeli na nią, potem gdzieś w dal.

Nachyliła się do niego, kryjąc twarz w półcieniu. W takich chwilach ludzie na całym świecie robili to samo i nie potrzebowali do tego słów.

– Co pięć minut siedemdziesiąt trzy kobiety w Ameryce padają ofiarami gwałtów, sześć i pół osoby umiera na AIDS, a dwa tysiące czterysta dzieci rodzi się z wadami. Czy nie moglibyśmy dodać czegoś do weselszej statystyki?

Pocałowała go, jego chłodne wargi i język. Odpowiedział pocałunkiem, powoli, jakby chciał zapamiętać jej usta, zachować je na potem, na koniec zdania, na „gdzieś we Francji”. Wreszcie puścił jej ramię, odsunął ją i patrzył w skupieniu, chcąc znaleźć dla niej miejsce w swojej pamięci.

– Wysiadaj – powiedział łagodnie. Zamrugła oczyma, zaskoczona, po chwili zdała sobie sprawę, że to miał być komplement.

Patrzyła, jak odjeżdża, i pomachała mu, zanim skręcił na ulicę. Uśmiechała się leciutko, czuła się tak bardzo chciana. Zrzuciła z nóg pantofle i poszła do domu, trzymając buty w rękach. W kuchni świeciło się światło. Pchnęła drzwi i zobaczyła Buda. Stał za barkiem i pożerał kawał pieczonego kurczaka, całe usta i palce miał w tłuszczu.

– Hej – rzucił w jej stronę. – Co to za gość w tym samochodzie?

Cora cisnęła torebkę i buty na jaskrawe linoleum i podeszła do otwartej lodówki. Zajrzała do jej przepastnej głębi.

– Prawnik – odparła po chwili, wyjmując galaretkę malinową i sięgając po łyżeczkę.

Bud zmarszczył czoło, lśniące w świetle.

– Co za prawnik? Rozmawialiśmy o tym?

Już miała mu odpowiedzieć, kiedy nagle twarz mu się rozjaśniła.

– A tak, ten gość z lunchu. O. K., już go mam. No i jak tam, co się wydarzyło? A może się wydarza? Ale, ale, zdaje się, że nie przepadamy za prawnikami?

Roześmiała się i poklepała go po ramieniu, w drugiej ręce trzymała nie dojedzoną galaretkę z łyżeczką w środku.

– Zdaje się, że za nikim nie przepadamy – zauważyła cierpko.

– To nasz problem, zdaje się.

Zburzył włosy po jednej stronie głowy i zrobił komiczną minę.

– Cezarku – powiedział, obejmując ją – dobrze, że jesteś w domu. Słyszałem dziś coś śmiesznego, powiedzić ci?

Przytuliła twarz do wytatuowanego ramienia.

– Co? – spytała miękko, wdychając jego niezbyt świeży zapach.

– Jakie są dwa najsmutniejsze słowa?

Uśmiechnęła się i czekała.

– Jakie przyjęcie? – zaśmiał się swoim nieopanowanym, skrzypiącym śmiechem, trzęsły mu się ramiona. – Dobrze, co? – dopominał się pochwał.

– Uhm – przyznała. – Gdybyśmy nie byli współnikami, ukradłabym ci to.

Bud był scenarzystą, jak Cora. Spotkali się na warsztatach pisarskich w 1983 r. Wkrótce potem zaczęli pisywać razem, a wreszcie stworzyli zespół. Kiedy nie byli razem, rozmawiali przez telefon przynajmniej dwa razy dziennie. Co pięć miesięcy

jeździli do Santa Barbara żeby popracować w domu jego matki. Ponieważ wizyty Buda u Cory stawały się coraz częstsze, dała mu klucz do domu. Trzymał u niej całą kolekcję ręczników, w które owijał się przy pisaniu. Po pewnym czasie zaczął zostawać na dłużej, „wpadać” jak to określał. Mówił: „Może wpadnę przed piątkiem. Dobrze, Cezarku?”

Po kilku miesiącach „wpadania” obudzili się kiedyś w środku nocy złączeni sennym, ciepłym pocałunkiem. Jak dwoje ludzi rzuconych zniecka w sam środek szarej tragedii życia bez słowa objęli się i całowali do snu.

Kiedy Cora była młodsza, zdawało jej się, że pod wodą nie można czuć bólu. Podobnie teraz, z Budem, półsennie pieszczoty w dzień nie zobowiązywały do niczego. Przekradli się przez granice przyjaźni w głębiny półświadomego, półzmysłowego świata erotyzmu, gdzie nie ma żadnych praw. Świętokradcy nie strzeżeni jawą prześliznęli się przez magiczne ostępy i wrócili nietknięci. Obudziła się przed nim, nakarmiła psy i wzięła prysznic. Potem pracowali w ogrodzie do dziesiątej trzydzięci. Nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się nocą. I nigdy się to nie powtórzyło.

Jak dotąd Bud zrobił trzy filmy, z których dwa wyprodukowano. Pierwszy obraz powstał we współpracy z Moną Stulen, kobietą o dziesięć lat od niego starszą, która przy każdej okazji niestrudzenie opowiadała o swoim eks-mężu albo wyczerpujące, długie anegdoty o Tołstoj. Bud zamieszkał z nią i przez następnych siedem lat przeżywali liczne wzloty i upadki, aż wreszcie rozstali się. Niestety, skłonność Buda do podstarzałych, szalonych pań została. Bud nie potrafił żyć w „normalnym” związku – nie był „normalną” osobą. W dodatku był „dwubiegunowy”, miał cechy osobowości maniakalno-depresyjnej. Brał lit przez ponad dziesięć lat. Właściwie nawet mu to służyło, lit miał tylko jeden negatywny skutek: Bud ciągle zapominał – może zresztą już taki był, a lit obwiniał zupełnie niesłusznie.

Pewnego razu podeszła do niego na przyjęciu ładna dziewczyna. Wyglądała znajomo, ale dla niego wszystkie ładne dziewczyny wyglądały znajomo. I pewnie z powodu litu, a może też i innych świństw, którymi się faszrował, nie mógł jej sobie przypomnieć. Stała przed nim, uśmiechała się i kiwała do niego, więc on też odśmiał się do niej i odkiwnął, po czym zapytał: „Czy my się skądś znamy?” Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech, odwróciła się i odeszła z miną Bazyliszka. Bud pobiegł za nią, zaczęli rozmawiać i okazało się, że spędzili ze sobą trzy upojne miesiące.

Tę historię Bud opowiadał jako anegdotkę, ale pamiętał ją coraz słabiej i

anegdotka powoli przestawała być śmieszna, a stawała się przerażająca.

– Pamiętasz Bryn? – zapytał sięgając po dwudniowy ryż. – Wiesz, moja pierwsza dziewczyna na poważnie. Kilka tygodni temu rozmawialiśmy i ona wspomniała coś o Londynie, a ja spytałem: „Co z Londynem?” Okazało się, że stało się tam coś zupełnie cudownego między nami, a ja o tym zapomniałem. Bryn się wściekła, nie odbierała telefonów całymi dniami, a kiedy wreszcie odebrała, powiedziałem jej o kłopotach z moją pamięcią i zmiękła. Ubłagałem ją żeby opowiedziała o tym Londynie i pogodziliśmy się.

– No i? – spytała Cora.

– I co?

– Co się stało w tym Londynie?

Gapił się na nią.

– Zapomniałem.

Cora próbowała go pocieszyć.

– Jak już ustaliliśmy, nie jesteś kimś zwyczajnym. W twoim życiu miała miejsce duża ilość niesłychanie intensywnych, krótkotrwałych związków emocjonalnych. Zapominasz stany napięcia emocjonalnego i osoby z nimi związane, tak?

– Tak – przytaknął poważnie.

– Miałeś po prostu więcej takich przygód niż inni ludzie i twoja pamięć może pozwolić sobie na to, żeby stracić jedną czy dwie. Dla tych kobiet to były ważne momenty w życiu – dla ciebie chleb powszedni. Większość ludzi zapomina codzienne sprawy.

– Ale ja je bardzo lubię! No wiesz, te „codzienne sprawy”.

Cora wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie zawsze się pamięta to, co się lubi. Wątpię czy sama pamiętam choć ułamek z tego, co lubiłam. Dlatego nie przejmuj się tym za bardzo. Znasz mojego dziadka, to już staruszek. On naprawdę cierpi na zaniki pamięci. W zeszłym tygodniu powiedział do mnie: „Vivian wyniosła popcorn na zewnątrz”. „Naprawdę? Dlaczego?” – zapytałam, a on na to: „Ze względów bezpieczeństwa. Ale ci hałaśliwi ludzie nadal są w salonie”. Do pięt mu nie dorastasz!

Zastanowił się przez chwilę.

– A z tym facetem to na poważnie, czy jak? – zapytał wreszcie z ustami pełnymi ryżu.

Cora westchnęła i szykowała się do wyjścia. Torebkę niedbale przewiesiła przez ramię i nałapała sobie szklanekę soku na noc. Bud szedł za nią z wyjętym z

lodówki pojemnikiem w ręku.

– Hej, czy to było zbyt trudne pytanie? A może powinienem inaczej je sformułować?

Zatrzymała się nagle w drzwiach swojej sypialni, Bud omal nie wpadł na nią.

– Słuchaj – zaczęła śmiertelnie serio – nie będę z tobą o tym rozmawiać, jeśli masz zamiar tak to trywializować. Jeszcze na to za wcześnie. W tym momencie on wydaje mi się – nie wiem – dżentelmenem. Nie jestem do tego przyzwyczajona, może wydaję ci się śmieszna, ale podoba mi się to. Jest uprzejmy, troskliwy, cierpliwy i przyzwoity. A zresztą po co ja to wszystko mówię!

Bud stał wstrząśnięty w półmroku korytarza. Telewizor Cory brzęczał cichutko w sypialni.

– Powiedz mi – poprosił, wycierając z ust i brody słodko-kwaśny sos. – Przrzekam, zachowam się przyzwoicie.

Westchnęła kolejny raz.

– Nie wierzę, że mógłby zrobić coś złego. W połączeniu z umiejętnością całowania to naprawdę niebezpieczna kombinacja. Gdyby jeszcze miał inny zawód...

Odwróciła się i weszła do pokoju. Bud odchrząknął.

– Czy próbował to zrobić palcami? – zapytał niewinnie. Cora zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i przekręciła klucz.

– Hej! – zawołał żałośnie. – Co ja takiego powiedziałem?

Tak więc Cora pojechała na cztery tygodnie do Paryża. Robiła tam niewielki film w telewizji kablowej i włóczyła się po ulicach z torbą zarzuconą niedbale i oczyma zażawionymi od wiatru. Oglądała wystawy sklepowe i eleganckie paryżanki, słuchała bicia kościelnych dzwonów, a o zmroku przedzierała się przez sznury samochodów do hotelu. Zatrzymała się w St. Pierre, na lewym brzegu Sekwany, w sąsiedztwie małych sklepików, piekarenek, „le drugstore’ów” i St. Germaine. Rankami pracowała w biurze reżysera, a popołudniami rozmyślała nad tym, że zarobione pieniądze wyda na podarunki świąteczne, materiały, ubrania, staroświeckie pozytywki i wypchane ptaszydła. Oglądała układanki roślinne opakowane w szeleszczący celofan, wachała zioła w ciemnych sklepikach o półkach pełnych szamponów, mydeł i perfum wyrabianych na zapleczu. Kieszenie miała pełne pieciofrankówek i centymów. To była jej kraina czarów.

– Puis-je vous aider, madame?

Cora uśmiechnęła się. Czy możesz mi pomóc? Pojęcia nie masz, jak bardzo. Marzyła o zakupach, a poprawianie skryptu wydawało jej się przy tej oszałamiającej perspektywie stosunkowo łagodną karą. Widziała oczyma wyobraźni wszystkie te przedmioty „którymi wynagrodzi swój wysiłek. Kontakty z ludźmi pracującymi przy filmie układały się jak najlepiej. Zaprzyjaźniła się ze szwedzką reżyserką, Charlotte, fryzjerem z Holandii o imieniu Paul i projektantką kostiumów, Virginią, pochodzącą z Alaski.

Pewnego popołudnia, kiedy już się zaaklimatyzowała i miasto zaczęło rzucać na nią swój czar, kupiła cudowną koszulkę nocną w sklepie z bielizną obok hotelu, rogalika i colę i wróciła do pokoju. Rozpakowała koszulkę całą z satyny i koronek, śmiertelny grzech przeciwko głodującym całego świata, i wsunęła na siebie. Gładki materiał otulił jej ciało przyjemnym chłodem.

Otworzyła puszkę z colą, rozpakowała rogalik, położyła się na łóżku i podniosła słuchawkę telefonu. Była gotowa na Raya, wiedziała, że on nie jest gotowy na nią, zważywszy różnicę czasu. Albo jeszcze śpi, lub właśnie otwiera oczy.

– Tak? – odebrał półprzytomny, jeszcze niedobudzony. Cora zwinęła się na boku i przytuliła telefon do ucha.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się. Czula przyjemny chłód poduszki na policzku.

– Hej – odchrząknął. – Czy to ty? – zapytał sennie.

– To zależy kogo masz na myśli.

Zaśmiał się.

– Cora. Nigdy jeszcze nie mówiłem twego imienia budząc się. Podoba mi się to.

– Flirtujesz ze mną?

– Myślę, że tak. To znaczy jeśli ty tak myślisz, na pewno tak. Znasz się na tym – ziewnął.

– A ty nie? – zapytała przeciągając się na plecach, dając mu czas, żeby się do niej dopasował.

– Chyba nie – odparł. – Nie tak jak ty w każdym razie.

– Czy to znaczy, że muszę cię nauczyć?

– Mmmm... Zdecydowanie tak, o tej porze.

– Zmuszę cię.

– Jak?

– Będziesz mi opowiadał historyjki.

Zaśmiał się.

– To sprytna sztuczka.

– Nie wiem, czy taka sprytna. Wolałabym mniej sprytną a bardziej zabawną. A jeśli jeszcze nie zauważyłeś, jestem niezorganizowana.

– Jesteś zapracowana.

– Zapracowana czyli niezorganizowana, czyż nie?

– Pewnie tak – zaczaj się śmiać. – Nie oczekuj po mnie, że będę prowadził taką rozmowę o siódmej rano.

– To nie rozmowa, to kiwi.

Opowiedziała mu jak siedziała na planie swojego pierwszego filmu (tego z Vincentem DiBiase) i obmyślała zakończenie kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zawołała. – Willkommen, bienvenu, welkome, wlaź!

Wiodący aktor otworzył drzwi i wetknął do środka przystojną głowę.

– Czy moglibyśmy... porozmawiać? – prawie błagał.

Cora roześmiała się i zdjęła z kolan klawiaturę komputera.

– Mówisz „porozmawiać” tak, jakby chodziło o jakiś rzadki, egzotyczny owoc. Jakby to było kiwi.

– W tym mieście tak właśnie jest – odparł aktor.

– Więc? – zapytała Raya. – Kiedy mogę oczekiwać kiwi z tobą?

– Kiedy mnie nauczysz – odpowiedział po prostu.

Najpierw rozmawiali co kilka dni, potem co drugi dzień, a wreszcie dziwnie się czuli, jeżeli opuścili chociaż jeden. Najłatwiej było go złapać o zmierzchu, jej nowa

ciemność była jego nowym światłem. Lubiła świadomość, że zawsze może go odnaleźć, nawet jeśli nie mogli rozmawiać długo. Chociaż Cora lubiła robić to długo. Naprawdę długo.

– Cora, mam coś ważnego do zrobienia – czy mogę zadzwonić później? O której się kładziesz?

– Kiedy już zadzwonisz – odpowiadała stoicko. – Kiedy już dostanę swoje kiwi. Nie ma przyjemności – nie ma mycia, nie ma kiwi – nie ma spania!

– Jejku, czy ty się nigdy nie męczysz?

– Cały czas. Ale to nie ma nic do rzeczy.

Tak naprawdę był poza jej zasięgiem jedynie w czasie posiłków. Ironia losu – zważywszy że wszelkie pierwsze skojarzenia z Rayem wiązały się z jedzeniem. Kiedy dzwoniła w czasie konferencji, Brenda, jego asystentka, mówiła: „Ma właśnie spotkanie”, jakby był to rodzaj wizji lub transu.

– Wyciągnij go stamtąd – ponaglała Cora. – Ogłoś alarm przeciwpożarowy albo przeciwlotniczy.

– Czy mam mu może coś przekazać? – grzecznie indagowała Brenda.

– Mmmmm... nie. Dziękuję!

I tak to mniej więcej wyglądało, byli daleko od siebie i jednocześnie bardzo blisko, niczym w zapomnianej książce Karen Blixen. Ze słuchawkami telefonicznymi przytulonymi do policzków, z twarzami ukrytymi w poduszkach toczyli długie rozmowy, rozwijali swoje historie jak drogocenne materie, z miną kupca na wschodnim bazarze – „dla ciebie, specjalna cena”.

Na początku miał pewne opory, jak gdyby nigdy przedtem nie rozmawiał w ten sposób.

– Nigdy nie byłeś u terapeuty? – zapytała go któregoś razu.

– Tak jakby – powiedział. – Zacząłem chodzić parę miesięcy temu.

– I o czym rozmawiacie?

– Mmm... o moim dzieciństwie i takich tam... Właściwie to on niewiele mówi.

– Bez kiwi?

– Bez kiwi – potwierdził. – Ty jesteś pierwszą osobą, z którą miewam kiwi. Wiesz... Tak naprawdę to wyjechałem z Południowej Karoliny żeby to znaleźć. Myślałem, że gdzieś na świecie ludzie naprawdę rozmawiają – ale nigdy sam tego nie zaznałem... aż do dziś.

– Wszystko przez to, że jesteś tak dobrze wychowany – potwierdziła łagodnie.

– Trzeba cię wygrzebać spod twoich manier jeżeli się chce poznać twoje prawdziwe myśli.

– Ale czy to nie jest męczące, tak zawsze mówić co się myśli?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – To może być jedna z najwspanialszych rzeczy w życiu. Mnie się wydaje, że to właśnie maniery są najbardziej męczące. Jakbyś stale się o coś ubiegał.

Wyczuła, że cały skulił się wewnątrz.

– Myślisz, że to właśnie robię?

– Owszem, czasami. Ściskasz ludziom ręce, uśmiechasz się, przytakujesz – a tymczasem czujesz zupełnie co innego. Musisz być taki w swojej pracy, czyż nie? Taki nadskakujący.

– Nie znoszę tego słowa – zachnął się. – Ale w takim razie czemu ty ze mną...

– Kiwi? Czemu mam z tobą kiwi? – przerwała mu. – Bo... bo większość ludzi mnie męczy, a ty... ty nie. Są rzeczy dziejące się między dwojgiem ludzi, nad którymi nie mamy całkowitej kontroli. Zaczynają się jakiś czas przedtem, zanim sobie uświadomisz, że się zaczęły, rozwijają się i trwają. Nie wierzę, że decydujemy, czego chcemy – odkrywamy co nam sprawia przyjemność i zastanawiamy się, jak to osiągnąć, ile to kosztuje. To wcale nie oportunistyczne – zamilkła na chwilę. – Nie śmiałam powiedzieć matce na głos, że byłam na randce z prawnikiem, musiałam to wyszeptać.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Ponieważ w moim domu prawnicy na ogół nie są lubiani. Mojego ojca oszukał kiedyś prawnik – ojciec stracił wtedy bardzo dużo pieniędzy. Ale to nieważne. Mam wrażenie – jeśli mogę o tym mówić – że każdy związek to kompromis. Coś za coś. I musisz się zastanowić czy to co dostaniesz jest warte tego, co stracisz. Związek ze mną byłby w najlepszym razie bardzo niekonwencjonalny. Jestem dosyć nieczuła, mam pracę, która wysysa mnie jak pijawka i nie potrafię prawić komplementów. Jeden z moich przyjaciół mówi, że mam „napięty program życia”. Przez wielkie „Ż”.

– Chcesz mnie zniechęcić?

– Próbuję cię tylko uświadomić. Nauczyc cię mnie, żebyś mógł zdecydować, czy zatrzymamy się na etapie rozmów telefonicznych, czy pójdziemy dalej.

– Zdaje się, że przed chwilą mówiłaś, że nie decydujemy o tym sami.

Roześmiała się i przesunęła dłonią po czole i włosach.

– Co? – dopytywał się. – Co cię tak śmieszy?

– Nic. Ta nasza „herbatka we dwoje”. Słuchaj, nie możesz decydować o tym, jak na mnie reagujesz, ale możesz zdecydować o tym czy chcesz mieć do czynienia z tym wszystkim co się składa na mnie. Poza tym... dużo można sobie wyobrazić

czy jak tam chcesz to nazwać po jednym pocałunku na podjeździe i kilku rozmowach przez telefon.

– Ale to był dobry pocałunek – zauważył łagodnie.

– Tak – odrzekła. – Dobry.

– Więc muszę tylko zmienić pracę i pogodzić się z twoim roztrzepaniem i brakiem czułości?

– Z grubsza biorąc, tak.

– To jeszcze jest coś z cieńsza? – zareplikował. – Muszę to przemyśleć.

Czekała niecierpliwie na jego telefony, zaczęła na nie liczyć i nie przeliczyła się. Mogła na nim polegać, był zawsze na czas, odpowiedzialny, sumienny, cierpliwy i zainteresowany. Zalety dobrego skauta? To było coś więcej, znacznie więcej. Głębia, ciepło i dowcip. To był mistrz skautów, zastępowy, skaut „z pieprzykiem”. I ona – zupełnie niezwykła, żywa, bystra, mówiąca kalamburami. Przypomniała sobie co powiedział jeden z przyjaciół Buda po tym jak Bud i Bryn rozstali się: „Byliście oboje tacy egzotyczni, jak dwa flamingi. Co by się stało, gdyby jedno z tych różowych dzieciaków zachorowało? Czy jest lekarstwo dla chorego flaminga?”

Było tak jakby ona i Ray utrzymywali swój związek przy życiu, uzupełniając niedobory bliskości fizycznej, hołubiąc tę niedojrzałą znajomość w chorobie odległości, pielęgnując pierwsze, ważne wrażenia o sobie. Byli odpowiedzialni za swoje niemal codzienne dawki czułości. Samotna w dalekim świecie, w Paryżu – mieście romansów, zakupów i ludzi, którzy patrzyli na Amerykanów z góry – Cora wiedziała, że Ray jak znachor uzdrawia jej flaminga, uspokaja, ucisza i kołysze do snu. On dawała mu strawę umysłową, on dbał o jej uczucia – dbał w taki dobry, staroświecki sposób, że czasem wstrzymywała oddech żeby lepiej to poczuć.

Tydzień przed jej powrotem zaprosił ją na przyjęcie bożonarodzeniowe do pracy. Namyslała się długo.

– Cora? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem, myślę. To nie będzie jedno z tych przyjęć, na których ludzie robią sobie po pijanemu ksero własnych tyłków?

– Twoja rodzina musiała się porządnie napracować żeby wpoić ci taką niechęć do prawników.

– Po prostu myślałam, że to będzie dziwne zobaczyć się po wszystkich tych naszych kiwi... Może mamy na siebie uczulenie? Wcale się nie znamy – poza tym, że oboje lubimy flirty telefoniczne na koszt firmy.

– Ty musisz zawsze wszystko skomplikować! Prosiłem tylko żebyś ze mną poszła na przyjęcie tego wieczoru, kiedy wracasz, a ty robisz z tego jakąś łąmigłówkę. Sprawa jest prosta – muszę tam pójść, przynajmniej się pokazać. Moglibyśmy wpaść tam razem. Jeżeli się nie zgodzisz, zobaczymy się dopiero następnego dnia.

Zamknęła oczy i skręcała sznur telefoniczny w dłoni.

– Czy dostanę korsarkę? No wiesz, taki bukiecik.

Roześmiał się, odprężony.

– Cokolwiek sobie życzysz.

– Chcę gardenię – oznajmiła. – Gardenię, lek dla flaminga i wielką miskę kiwi.

– Zrobione. – I wiedziała, że naprawdę będzie zrobione.

Późno poszła spać ostatniej nocy przed powrotem do domu. W towarzystwie Charlotty, Paula i Virginii pakowała swoje paryskie zakupy, kiedy zadzwonił telefon.

– To ten prawnik z Karoliny – krzyknął Paul.

Cora wykrzywiła się do niego i wzięła słuchawkę, zapalając papierosa.

– Vous etes sur la ligue – oświadczyła łamaną francuszczyzną.

– Właśnie pomyślałem sobie – zaczął bez przywitania, jakby wciąż toczyli tę samą, długą rozmowę, która właściwie nigdy się nie kończyła – pomyślałem, że mógłbym wyjść wcześniej z pracy i odebrać cię z lotniska. Jeżeli nie masz innych planów – a może nawet jeżeli masz...

– W imię nowych czasów, że tak powiem.

– Że tak powiem.

Wydmuchnęła kółko z papierosowego dymu.

– Będiesz musiał przyjechać dużym, ładnym samochodem – powiedziała. – Zrobiłam zakupy na święta i nie tylko.

– Przyjadę dużym samochodem.

– Tylko dużym?

– Sama zobaczysz.

– Widzisz, coraz lepiej ci idzie – to może być zła wróżba.

Podawała mu godzinę i numer lotu, czekała aż sobie zapisze.

– Chyba wypróbowaliśmy się już dostatecznie na odległość?

– Uhum.

– A co jeśli się znienawidzimy?

– Wsadzę cię w pierwszy samolot do Paryża i spróbuję odzyskać posadę.

- Dobry kiwi.
- Dobranoc – odpowiedział. – Do jutra.

Przyjęcie w firmie okazało się celebrowanym z wielką pompą wydarzeniem, rokrocznie odbywającym się w Hillcrest Country Club. Cora spędziła w tym miejscu wiele nieprzyjemnych niedziel jako dziecko. Pamiętała śnieżnobiałe rzeźby i stoliki i opowiadała o tym Rayowi po drodze. Jechali obok siebie w ciemnościach, gapiąc się przez okna. Musieli przywyknąć do swojej psychicznej bliskości, jak nieznajomi, którzy zwierzają się sobie w półmroku, ale w pełnym świetle odwracają twarze, zawstydzeni. Cora nerwowo bawiła się bukietem, myślała o tym, że nie pomalowała paznokci, nie wydepilowała pach i nie potrafi rozmawiać z ludźmi, mówić o wszystkim i niczym, flirtować z mężczyznami, z tym mężczyzną. Pachniał wodą kolońską, której zapach знаła, ale nie mogła sobie przypomnieć jej nazwy. Old Spice? Mennen? Pomyślała, że nie – miała nadzieję, że nie. Pół godziny później siedzieli obok okropnego portretu Clarence’a Darrowa i oglądali żartobliwą wersję „Dwunastu dni Bożego Narodzenia” w wykonaniu sekretarek, w której padały aluzje do pracowników biura. Wszyscy śmiali się do rozpuku – z wyjątkiem Cory, która nie wiedziała co jest śmiesznego w tym, że dziewiątego dnia ktoś dostanie „wyzutą podwójną świeżość mięty”. Ray był chyba zadowolony, obserwowała go, jak poklepuje znajomych po plecach.

– Witam, doktorze, co porabiamy? – Profesorze, dawno się nie widzieliśmy – jak córeczka? – Senor Wemmer, dobrze panu w tym garniturku!

Strój Raya Cora oceniła jako wybór niezależny od niego. Wypił podwójną wódkę i wypalił pół papierosa bez zaciągania się. Ale pomimo uczucia osamotnienia musiała przyznać, że Ray pewnie steruje nią przez morze garniturów i odświętnych sukienek, utrzymując ją cały czas na powierzchni zabawy, dumnie prezentując znajomym. Nie znała dotychczas nikogo z takimi zasobami dobrych manier, tak nią przejętego i uszczęśliwionego jej obecnością przy swoim boku. Był zrównoważony, cierpliwy i odgadywał jej zachcianki. Nie ukrywał swojego zainteresowania, pragnął jej względów i roztaczał perspektywy cudownej przyszłości. W trakcie obiadu ich nogi spotykały się pod stołem i zrozumiała, że ten wieczór nie skończy się tylko zwykłym uściskiem. Wydawał się tak przekonany o swoich uczuciach, że czuła się przy nim jak myszka przy słoniu. Emanowały z niego wartości, stałość i jak najlepsze intencje. Nikt, kogo w dodatku tak bardzo pragnęłaby całować, nie dawał jej tyle. Wieczór włókł się niemilosiernie, może dlatego, że wyobrażała sobie, co mogliby robić potem, po

przyjęciu.

Skończyło się pieszczotami na kanapce Cory, w trakcie których straciła kolczyk. Leżała na nim, a on gładził jej spódnicę i pończochy. Nacisnął na to, co jej matka określała mianem „holenderskiej bulwy”, dziedzicznej w jej rodzinie. Zesztywniała i zmieniła pozycję, żeby odwrócić jego uwagę od tego szkaradnego spadku po przodkach i skierować ją ku swym bardziej pociągającym cechom.

Ofiarą niefortunnych zalotów padł nieszczęsny kolczyk – drobna opłata za przepustkę do szczęścia.

## Kochana Esme,

wiele z tych przykrych rzeczy, które wyobrażałam sobie o ciąży, sprawdza się. Ludzie piszczą na Twój widok z zachwytu. Obcy bezkarnie poklepują Cię po brzuchu. Czujesz się tak, jakbyś straciła kontrolę nad własnym ciałem, a częściowo i nad umysłem. Wywołujesz entuzjazm tych, którzy dowiedzą się o Twoim stanie – bezdzielni traktują Cię jak jakąś króliczą łapkę, która ma im przynieść szczęście. Polubiłam ostatnio określenie „ciąża histeryczna”, choć w moim przypadku to lekka przesada (masz pojęcie? – „lekka przesada”). Raczej nie miewam dziwnych zachcianek. Zdaje mi się, że nieodparta potrzeba zjedzenia w środku nocy pikli czy lodów zdarza się w filmach Jamesa Garnera z początku lat siedemdziesiątych. Jedyną rzeczą, której ja naprawdę pragnę w nocy, jest trochę mniej niestrawności i trochę więcej snu. Chociaż rzeczywiście czuję dziwny pociąg do sera, mleka, jogurtu i innych wysokocholesterolowych przekąsek. I, spójrzmy prawdzie w oczy, uwielbiam jeździć po jedzenie samochodem – jedyny sposób przedarcia się przez tłumy ludzi zdecydowanie szczuplejszych ode mnie bez konieczności prezentowania światu mego kaczkowatego chodu.

Dużo pływam i jeżdżę samochodem. To jedyne czynności, przy których nie czuję swojej wagi. Prowadząc samochód jestem kompletnie nieważka, silna i wyzywająca. Jadę ulicą, wykrzykuję świństwa i pokazuję figę kierowcom, najchętniej tym facetom w dużych ciężarówkach. Jeżeli więc pewnego dnia zaczniesz w stanie śpiączki szaleć i wygadywać różne rzeczy, to nie będą to wspomnienia z poprzedniego życia. Ośluchałaś się z tym w okresie życia płodowego (szczególnie jeśli chodzi o inwektywy skierowane w stronę osobników pici męskiej, których – ogólnie rzecz biorąc – obwiniam o swój obecny stan). Milo jest niekiedy poczuć w sobie szal testosteronu – w tym naszym spokojnym, zdominowanym przez estrogeny życiu. Zamierzam nagrać poród na wideo, jak coś w rodzaju filmów dokumentalnych z Wietnamu. Poród to ekstremalny rytuał kobiet, podobnie jak wojna jest ekstremalnym rytuałem mężczyzn – a ja zawsze staram się osiągnąć równowagę jeśli to tylko możliwe. Poza tym myślę, że powinnaś zaznać uczucia androgyne, zanim przyjdzie Twoja kolej.

Ciąża jest dla mnie niczym głos wieloryba – niski, żaloszny, smutny. Ciało osiada na mnie jak kurz na meblach w długo nie sprzątanym pokoju. Czy wiesz, że kobiety mają dodatkowe komórki tłuszczowe, które mają chronić ich nie narodzone dzieci? To dlatego mężczyźni zaczynają wyglądać interesująco kiedy się starzejają,

*natomiast my stajemy się niewyraźne, rozlazłe, rozmamlane. Zatem – ciesz się młodością albo zmień pleć (choć podobno technika jest daleka od doskonałości). Tymczasem wszystko wkoło rośnie i robi się coraz bardziej okrągłe, a ja jestem w środku i zastanawiam się kim będziesz. Zadzwoiłam do astrologa podając przewidywaną datę urodzin – powiedziała mi, że jeśli przyjdiesz na świat dziesiątego, będziesz miała dołki w policzkach, jeśli dwunastego – nie. Powiedziała też, że będziesz nastawiona prospołecznie i będziesz się dobrze ubierać. Poświęcisz się ratowaniu ludzi w niebezpieczeństwie i będziesz czasami mówić do siebie. Zresztą nie wierzę w astrologię. Tak tylko sprawdzałam.*

*Twój motel*

*Mama*

Z początku Cora trochę głupio się czuła przy Rayu ze względu na to, że była od niego kilka lat starsza – jakby było to coś krepującego. Dorastała samotnie, ona i rodzice w dużym, kwadratowym domu, i po części dlatego bliskość z kimś przez dłuższy czas wydawała jej się dziwna. Pragnęła zmian, uczuć intensywnych, ale przemijających. Z drugiej strony Ray wydawał się taki opanowany, miał tak doskonałą prezencję – może potrzebowała kogoś takiego na dłużej? Może chciała żeby ktoś pilnował jej, strzegł i przepychał się za nią łokciami? Była na kilku innych randkach – z niezłym muzykiem i wziętym lekarzem. Ale uduchowanie jednego i przyziemność drugiego irytowały ją. Flirt trwał i co chwilę bardziej nie mogła się obyć bez Raya. Wreszcie stało się jasne, że się nie obędzie. Spokojnie kroczyli naprzód w swojej zażyłości, nie kochali się aż do szóstej randki licząc od powrotu Cory z Paryża, kiedy zaliczyli już temat AIDS i zwyciężyła spontaniczność.

Córa bardzo bolała nad tym, że ogólnie miły sposób bycia i dobroć wydawały jej się podejrzane. Niekiedy jednak działało to na nią inaczej. Czuła, że ludzie wpływają na nią w całkiem nieprzewidziany sposób, tak jak Ray, który był niczym orzeźwiający wiaterek w upalny dzień. Myśl o nim nie niepokoiła jej, ale jego cicha, spokojna siła wkradła się głęboko w jej serce, kiedy leżeli obok siebie pewnej nocy żarliwie pragnąc nasycenia. Myśląc o nim wyobrażała sobie werandę, z której ogląda niskie, pomarańczowe słońce i nagle słyszy skrzypnięcie deski w podłodze i czuje czyjeś usta na gorącej, nachylonej szyi. Teraz przy nim był jej dom – a ona nigdy nie należała do żadnego domu. Poddawała się jego dobroci i okazało się, że najważniejsze w życiu jest jedno – jak być kochaną. Jego władza nad nią wynikała z tego, że nigdy nie dążył do władzy. Nie nalegał, nie żądał, nie przekonywał. Jego chłodna, opanowana twarz bardzo lekko odciskała się na poduszce – w jej sercu bardzo mocno. Jego zapach przenikał ją po czubki palców, jak chłodny powiew studził jej nieposkromiony charakter. Krótko mówiąc – lubiła go.

Nie znajdowała w nim wad, no może gdzieś bardzo głęboko, gdzie jeszcze nie dotarła. Przestała zatem szukać, odetchnęła z ulgą i oznajmiła przyjacielom: „Jest świetny. Prawnik, ale świetny”.

Była jak żołnierz, weteran wielu sercowych kampanii, leczących zadane rany.

On obchodził się z nią ostrożnie, niczym z chińską porcelaną, którą łatwo uszkodzić. Kiedyś powiedziała sobie, w jakiejś strasznej, przeklętej chwili, że nie ma już nadziei. Teraz śmiała się z tych słów. Jak Indianie, na paluszkach skradali się wokół pewnych spraw, nie chcieli budzić tego, bez czego lżej żyć. To był jej mężczyzna, spali razem sztywni jak kolby kukurydzy, gromadząc czas. Nazbierają dosyć – dostaną nagrodę.

Było tak, jakby obudziła się nagle w samym środku czyjś życia, czyjejś miłości. Aklimatyzowała się powoli, przyzwyczajała się do innego krajobrazu. Próbowwała przywyknąć. Początkowo wraz z grupką snobistycznych przyjaciół uznali tę znajomość za rodzaj eksperymentu. Jeżeli pozwoli się kochać Rayowi w jego pełen rezerwy, bezkompromisowy sposób – kto wie, co z tego wyniknie? Jakaś część w niej uznała, że to rodzaj przygotowania, przygotowania do związku, jakiego jeszcze nie знаła, w którym zamiast dysonansów będzie harmonia, zamiast współzawodnictwa współdziałanie, zamiast rozczarowań akceptacja. Na początku to wszystko znaczyło dla niej jedno – nie był dla niej dostatecznie dobry. Za łatwo go osiągnęła, za niską cenę musiała zapłacić – a nie lubiła rzeczy z przeceny. Ale ponieważ nie potrafiła wyrwać się z zakłętego kręgu jego hipnotycznej dobroci i siły, zdecydowała się zostać z nim aż do chwili, kiedy poczuje, że dłużej tego nie zniesie. Albo kiedy trafi się ktoś lepszy. Bardziej znany, krzykliwy i chory.

Co wieczór szykowała się na jego przyjście. Chciała się przekonać, czy wciąż pragnie go tak samo jak poprzedniego dnia, a on jej. Jakby umówili się co do tego, ślizgając się po powierzchni spraw, dopóki im się to opłacało. Nie wiedziała skąd to wie, ale jednak wiedziała. Prawdopodobnie Ray jej powiedział, a co do faktów – wierzyła mu.

Widywali się już od kilku miesięcy kiedy jeden z jej psów uciekł i nie wrócił. To było niepodobne do Stelli, niemieckiego owczarka alzackiego (jej ulubiony rodzaj Niemca – urodzony po wojnie, niski i głupi). Pojechali z Rayem samochodem, żeby jej szukać. Jechali wolno, żałośnie nawołując.

– Stella! – intonowała Cora.

– Stella! – powtarzał Ray. Wiatr zrywał się coraz silniejszy, a oni wciąż krzyczeli.

– Stella! Stellaaa!

Nagle na środku jezdni zobaczyli coś białego i kosmatego – właściwie dwie takie rzeczy. Serce podeszło Córce do gardła. Nie była przygotowana na ciało Stelli, czy jakiegoś innego zwierzęcia rozciągnięte bezbronne na ulicy. Kiedy

podjechali bliżej, okazało się, że są to dwa pokrowce na siedzenia z owczej skóry. Jakby ktoś przejeżdżając wyrzucił je z samochodu, pozbywając się oznak luksusu, których nie mógł dłużej znieść. Cora odetchnęła z ulgą, czekała na fizjologiczną reakcję swego ciała na te „owcze” fakty.

– Nie jestem przygotowana... – zaczęła. – Nie mogłabym znieść jej... no wiesz, przejechanej.

– Niestety ja mógłbym – stwierdził z niezamierzoną ironią Ray.

– Mógłbyś co?

– Znieść ją przejechaną. W domu pochowałem trzynaście psów, z których trzy przejechała moja matka. Stella! – zawołał kończąc zwierzenia ze swoich dość niezwykłych doświadczeń.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – zdenerwowała się Cora.

– Nie? – zmarszczył brwi. – Zdawało mi się, że mówiłem.

Potrząsnęła głową.

– To po prostu nie do wiary.

– Powinniśmy pojechać do centrum – zasugerował skręcając w kolejną uliczkę.

– Jeśli Stella gdzieś pobiegła, to prawdopodobnie tam.

– Tak. – Cora poważnie skinęła głową. To była jeszcze jedna z rzeczy, które wiedział Ray. Miał w głowie mapy terenów, z których istnienia Cora ledwo zdawała sobie sprawę, znał aktualne kursy walut, miejscowe zwyczaje i przyjęte kwoty napiwków. Czasami trochę narzekał, że jest „wykorzystywany”, ale bardzo lubił mieć poczucie, że robi to, co należy, dobre, przyzwoite rzeczy. Wprawiało to innych w osłupienie, ale on uwielbiał taki być – robić swoje, upewniać się tysiące razy, że wszystko jest jak trzeba, sprawdzać instrukcje obsługi. Był takim... harcerzykiem. Harcerzykiem, który chciał się wykazać, w podskokach obiegającym teren w poszukiwaniu dobrego miejsca na obozowisko, czuwającym nad bezpieczeństwem, higieną i zaopatrzeniem. Cora nie знаła wcześniej wielu takich ludzi, właściwie to chyba nikogo takiego. Jej przyjaciele, podobnie jak i ona, skupiali się głównie na sobie. Nie poświęciłaby przedtem uwagi osobie, która poświęcała swą uwagę jej. Mężczyźni z jej otoczenia byli utalentowani, sławni i zadufani w sobie – zawsze trochę poza jej zasięgiem. Musiała bardzo energicznie zasypywać przepaść między nimi a sobą, wciąż myśląc o tym, co musi zrobić, żeby przyciągnąć ich uwagę. Kochała ich z ukrycia, dopóki nie udało jej się ich schwytać. Z Rayem czuła się tak, jakby trzymała go na wodzy, do czasu aż jej dość przyjemne, ale w gruncie rzeczy letnie uczucie do niego przybierze kształt bardziej podobny do miłości.

Widziała, że Raya przygniata jego uczucie do niej, że czeka niecierpliwie na moment, w którym wiadomo będzie, że z jej strony wszystko jest w porządku. Mówiąc staroświecko – aż ona okaże mu swe względy. Musiał walczyć z uporczywymi zmorami jej dawnych miłości, a ona zmagala się z jego wzniosłymi ideami. Tak trudno było jej zrozumieć jak inni ludzie mogą żyć razem, tworzyć harmonijne, trwałe pary. Jak z dwóch indywidualności powstawała jedność, mówiąca o sobie „my”. Nie mogła pojąć ludzi takich jak Bud, którzy zakochiwali się w kimś, z kim cały czas rozmawiali o swojej miłości. Myślała, że trzeba odnaleźć kogoś, z kim można spędzić dużo czasu nie kłócąc się zbyt często i naprawdę cieszyć się życiem. To była miłość – leniwe uczucie przyjemności, które ogarnia człowieka na plaży o piątej po południu, kiedy słońce już nie praży. Chciała leżeć z nim na słońcu, noga zarzucona na jego nogę, słuchając radia. Chciała się przy nim ogrzać i opowiadać historie. Chciała oglądać jego pełne miłości oczy.

Psy Cory przeniosły się na drugą stronę łóżka. Nawet lojalny Jim wyczuł sprawę i od razu przylgnął do Raya, swego pana i bohatera psich eposów.

Sama Cora tak naprawdę nigdy nie była związana ze swymi psami. Nie potrafiła opiekować się nimi z oddaniem i pasją. W jej własnym mniemaniu niezbyt dobrze to o niej świadczyło i nic nie wskazywało na to, że to się kiedyś zmieni.

W pewnym sensie kiedy posiadała Raya a on ją, straciła jakąś część siebie, a on jakby kochał ją mniej starannie. Dobili targu, i chociaż negocjacje były tak długie i burzliwe, umowa została zawarta i obowiązywała. A teraz przyszła kolej na następną fazę. Na wszelki wypadek jednak poprawiała makijaż przez pójściem z nim do łóżka.

Zdawało jej się, że nie pasuje do misterium „związku”. Związek – po drugiej stronie lustra wpadła do króliczej nory, a drzwi zamykały się za nią cichutko, ale bezpowrotnie. Jeśli nie zabijała jej niepewność, to coś innego. Schwytna w niewidzialne pęta nie mogła się swobodnie poruszać. Stwierdziła, że ma wrodzony talent do sprawiania innym zawodu. Rozczarowywacz światowej klasy, szła przez życie zawodząc ludzi i nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Rozwinęła ten talent doskonale, ale talent, jak każdy talent – zobowiązywał. Cóż by się stało, gdyby Debussy przestał grać na pianinie, bo znudziłoby mu się coś, co przychodziło z taką łatwością? Cora była Debussym rozczarowana.

Wypracowali z Rayem pewne cechy wspólnoty, choć naprawdę nie tworzyli wspólnoty. Mieli swoje sprawy jeżeli tylko mogli. Ray szukał miłości, Cora krążyła wokół niego ze swoją listą oddanych przyjaciół. Ray nigdy przedtem nie czuł do nikogo tego co do niej i był podniosły, pełen nadziei i lekko rozczarowany. Ona też nigdy nie czuła tego co teraz i zastanawiała się, czy ten spokój będzie trwał wiecznie.

– No wiesz, może mnie nie stymuluje, ale dosyć mam już stymulujących facetów – powiedziała Budowi.

– Uwielbiam, kiedy świętuszysz – odrzekł ochrypłym głosem.

– Jezu, po co ja w ogóle z tobą rozmawiam – gżisz się z jakąś podstarzałą aktorką, która nie przyznaje się do swego wieku i którą, mówiąc eufemistycznie, można by określić jako tępą, przemądrzałą babę. Nie widujemy się od miesiący, bo jesteś „zbyt zajęty” żeby... zresztą, co tam. Nie można z tobą szczerze i normalnie

porozmawiać na takie tematy.

Bud roześmiał się chrapliwie i głośno. Cora rozgniewała się.

– Co, do diabła, tak cię śmieszy!

– Ty – odparł chwytając powietrze. – Jestem ostatnią osobą, która mogłaby ci odpowiedzieć – sama tak twierdzisz – a pomimo to pytasz i wściekasz się, że nie odpowiadam.

Cora milczała przez chwilę.

– Cezar? – słodkim głosem zaczął ją Bud.

Cora wydeła usta.

– Co? – zapytała.

– Czy musisz dzisiaj podejmować jakieś decyzje?

– Niedługo. – Omal się nie rozpląkała. – Ma już tutaj pięć garniturów. – Przebierała palcami.

– Zostań z nim – powiedział Bud. – Hej, ja nie rozumiem jak można z kim być – więc cóż ci mogę poradzić? On przynajmniej przyznaje się do swojego wieku...

Z trudem powstrzymała się od uśmiechu i umówiła się na następną dzień.

Zadzwoiła do swojej przyjaciółki Normy.

– Właściwie to nie masz nic do stracenia. To chyba spokojny, dobry facet – ale z drugiej strony, dlaczego taki facet jest prawnikiem?

Zatelefonowała do matki.

– Kochanie, prawnicy to mordercy – muszą tacy być w ich zawodzie. Tylko popatrz co mi zrobili. Ale ten pochodzi z dobrej rodziny i zdaje mi się, że cię uwielbia. Rób, co chcesz – ale wszystko miej na piśmie. Nie chcę żebyś się zawiodła i załamywała.

Cliff powiedział:

– Kotku, pozwól, że ci coś powiem o prawnikach. To oportuniści. Liczą na innych ludzi, na ich kłopoty albo talenty. To daje mi pieniądze – a zawsze żądają więcej, niż są warci. W dodatku potrafią uczynić się niezastąpionymi i bezcennymi i wywołać na siebie popyt.

Cora ścisnęła sznur telefoniczny w dłoni.

– Ale ty sam byłeś na początku prawnikiem – przypomniała mu nieśmiało.

– Bardzo krótko – odpowiedział oschle. – Kiedy zdałem sobie sprawę z tego wszystkiego, rzuciłem to. – Nastąpiła chwila ciszy. – Słuchaj, kotku, to chyba miły człowiek. Jeśli przy nim czujesz się szczęśliwa – nie słuchaj mnie. A może byś go tak przyprowadziła do mnie jutro? Będzie Ron i Harry. Denny przyniesienie zdjęcia swego nowego samolotu. Przyjdź. Zaczynamy o wpół do ósmej. Uwielbiam

cię, serduszko, O. K. ?

– O. K. – odpowiedziała łagodnie i odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiła do swojej przyjaciółki Melissy, która robiła film na przedmieściach, w Hancock Park.

– No tak, ale o jakim związku myślisz, jaki by ci odpowiadał tak w ogóle? A poza tym, co robisz w sierpniu? Może przyjechałabyś do Canyon Ranch?

Kiedy już obdzwoniła cały Komitet, zorientowała się, że Ray powinien wrócić za godzinę. Zaczęła swój wieczorny rytuał poprawiania makijażu – „tak na wszelki wypadek”. Była w trakcie nakładania tuszu do rzęs, kiedy zadzwonił telefon. To była jej sławna przyjaciółka, Joan. Za każdym razem kiedy Cora ją widziała, przypominała sobie jak bardzo Joan jest sławna. Sława goniła za Joan, a Cora za sławą. Była wdzięczna, że ją zna, inaczej zazdrościłaby Joan sukcesów w praktycznie każdej dziedzinie: kariera, mąż, dzieci, wspaniały dom. Ponieważ jednak ją znała, nie chciała żeby Joan powinęła się noga w drodze do kolejnej nagrody.

– Nie lubię jego pracy – wyznała. – To mnie krępuje. Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?

Joan roześmiała się.

– To znaczy, że jesteś snobem, mała, to wszystko.

Cora przygryzła wargę.

– To pewnie dobrze, że się spotykamy, tak? Mogę trochę się podleczyć ze swego snobizmu. Nie chciałabym, żeby ktoś mnie osądzał. No, może bym chciała, ale tylko w dobry sposób. Pamiętasz, cała Konwencja Republikańska była o tym, jak okropni są prawnicy. Ich fikuśne buciki, chciwość – no wiesz?

– Czy Lincoln nie był prawnikiem?

– Oprócz tego, że „Lincoln” to pień, miasto i samochód?

– Cóż, nie umówiłabym się z pniem!

– Masz męża.

– Ale on nie jest pniem!

– Jeżeli więc będę z tym czymś – pniem czy jak tam – to może będę lepsza?

– Jesteś lepsza – poza tym jesteś snobem.

Ray w pewnym sensie przypominał Córce męża Joan, Michaela – przystojnego, uważnego, rozsiewającego dobre rady z głębi uprzejmych, cierpliwych oczu. Ray mógłby być Michaeliem – pomyślała – a Cora Joan. Mogliby popłynąć razem, jak para łabędzi, w stronę Tajemnicy.

Cora zadzwoniła do Noela.

– Jest bardzo przystojny – powiedziała i czekała na reakcję.

– Lubi gadać? – spytał Noel, żując obiad.

– Raczej nie – przyznała. – To znaczy rozmawia, ale nie przepada za tym. Nie otwiera się. Rozumiesz?

– W takim razie jak to funkcjonuje?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Albo mówię do niego, albo po prostu go biorę.

Omal nie zakrztusił się jedzeniem.

– Co to znaczy?

Cora owinęła sobie sznur telefoniczny wokół palców i uśmiechnęła się.

– Zadaję mu pytania, mówię to, co on powinien mówić – i robi to. Poza tym, świetnie całuje.

– Domyślałem się, że musi chodzić o coś takiego. Poczekaj chwilę... nie rozłączaj się. Muszę iść, czekają na mnie na dwójce.

– Co będziesz robił?

– Przecież wiesz, że nie mogę podać ci nazwiska pacjenta, to nieetyczne.

Cora postukała palcem w słuchawkę.

– Halo, Doktorze Dyskretny, nie pytam kogo, tylko co. Kolagen w usta? Kolagen w twarz? Skóra? Co?

– Przykro mi.

Westchnęła z rozczarowaniem.

– Zadzwoń do mnie, jeżeli będziesz potrzebował dobrego prawnika.

– Dobrego w czym? – roześmiał się. – Słuchaj, muszę iść. Zadzwonię później.

Cora zatelefonowała do Williama, swego przyjaciela bardzo chorego na AIDS. Kilka miesięcy temu miał dwie komórki T, które nazwał Mutt i Jeff – Dobrana Para. Teraz nie miał już żadnej. Ale wciąż z optymizmem patrzył w przyszłość, czekając na wynalezienie leku na AIDS i powrót zdrowia i urody.

W tej chwili jednak jego głos brzmiał tak, jakby przygniatał go ciężar nie do zniesienia.

– W porządku, Cor, naprawdę – zapewniał ją. – Nawet trochę przytyłem i odrosła mi część włosów.

Zapomniał tylko powiedzieć o tym, czego Cora dowiedziała się od Andrew, ich wspólnego przyjaciela – że nie mógł już chodzić.

– Chciałabym żebyś poznał mego nowego chłopaka. Nie mogę się dalej posunąć, dopóki nie udzielisz nam swego błogosławieństwa, naprawdę.

William roześmiał się, ale śmiech przeszedł w okropny kaszel.

– Poczekaj chwilę – poprosił. Cora tuliła słuchawkę i zaciskała oczy dopóki nie wrócił do telefonu, wycieńczony.

– Nie wie jeszcze o nas, prawda? – zapytał. Cora nie rozumiała z początku o kogo chodzi, dopiero po chwili dotarło do niej, że rozmawiali o Rayu.

– Nie, nie wie – chciała być ironiczna. – Tak chyba będzie najlepiej dopóki nie zdecyduję co mam o tym myśleć.

– Pewnie jak zwykle masz rację. Mógłby tego nie zrozumieć. Czułby się zagrożony i zmieszany i co byśmy wtedy zrobili?

– Przyjedź mimo wszystko, dobrze? – prosiła go. – Wiesz, że bez ciebie nie mogę się umawiać. Myśl o tym jak o przywileju albo obowiązku – ale przyjedź. Czekam.

Obiecał, że przyjedzie jak tylko lekarz mu pozwoli.

– Kocham cię, tatuśku – powiedziała i skończyli.

Córa w gruncie rzeczy nie wierzyła, że może kogoś kochać. Wątpiła czy ma do tego predyspozycje. Czułaby się dużo lepiej, gdyby tak nie sądziła. Ale zdawało jej się, że to w jej życiu, co dotychczas uznawała za najważniejsze – przyjaźń, rozmowy, praca – uniemożliwia docenienie tego, co osiąga się w wyniku udanej kombinacji dwojga. Polegać tak bardzo na jednej osobie znaczyło dla niej być z góry skazanym na przegraną. Za każdym razem miała nadzieję, że nie dojdzie do takich wyborów, ale z jakichś powodów zawsze dochodziło. Najwyraźniej miało to jakiś związek z mężczyznami, których wybierała, ale nie zależało to przecież od niej. Za każdym razem zdawało jej się, że to ktoś zupełnie wyjątkowy, inny. Może i tak było, lecz zniemacka coś zaczynało pękać i pozbawiać ją złudzeń. W końcu widziała już uderzające podobieństwa, a każdy kolejny raz sprawiał, że czuła się coraz bardziej zawiedziona. Pomimo to jednak coś w niej wierzyło, że można przeżyć z kimś całe życie. Wierzyła, choć nie miała powodu wierzyć, jej wiara opierała się na pobożnych życzeniach. Opierała się na potrzebie posiadania rodziny, której nigdy nie miała. Wyczytała gdzieś, że ludzie żyją dłużej i lepiej radzą sobie z problemami jeżeli nie są samotni.

W rodzinie Raya wszystko układało się doskonale. Jego rodzice byli razem, tak samo dziadkowie. Miała nadzieję, że Ray przezwycięży jej wahania, że zarazi ją „rodziną” jak grypą. Wszystko z czego ona i Bud tak się naśmiewali zbliżyło się do niej na odległość wyciągniętej ręki. Ale to dość często jej się zdarzało, o wiele częściej niż miałoby się ochotę przyznać. Czasami zapominała kim jest – choć cały czas była tylko i wyłącznie sobą, dziwnym zlepkiem różnych osobowości,

zachowań, słów-pułapek, smaków, osobowości i wspomnień. Mimo to nie potrafiła robić dobrej miny do złej gry i przyjmować pozy odpowiedniej do sytuacji.

Zawsze porównywano ją do innych ludzi – tak to bywa z daniami, do których dodano za dużo przypraw. Jej charakterystyka przesłaniała charakter, fragmenty dominowały nad całością, knuły wewnętrzny spisek przeciwko niej samej, odmawiały dalszej współpracy. Jej osobowość była nieprzewidywalna nawet dla niej samej.

Pielęgnowała wątpliwości co do Raya właściwie dla zasady. Tak naprawdę zaczęła już liczyć na jego miłość – tyle w nim było cierpliwości i odpowiedzialności, że przestała gnębić się ponurymi rozważaniami o sobie. Może jednak można jakoś nauczyć się kochać?

Ray uwielbiał pokazy filmowe i przyjęcia, a także śniadanka w „La Lunę Qui Rob”. Cora nie podzielała jego entuzjazmu i z tego powodu czuła, że kocha go troszeczkę mniej. Zdawała sobie sprawę, że jeśli się kochają, nieważne co robią, ważne żeby byli razem.

– Jeśli to prawda, Ray, moglibyśmy zostać w domu.

Ale on chciał, żeby wychodzili razem. Jeżeli nawet nie lubiła pokazów, przy nim na pewno polubi. On zrobiłby to dla niej.

– Chętnie będę z tobą robił coś, czego nie lubię. Ale może... zresztą zapomnij o tym. Może za bardzo różnimy się od siebie?

Wreszcie szła z nim, w pewnym sensie czując się bardzo nieważna, a w innym – cóż, nie myślała o tym. Jechali do studia, wkradali się do małej salki projekcyjnej w połowie wypełnionej ludźmi.

– Cześć, szefie! – Ray spotkał znajomego i mocno uścisnęli sobie ręce. – Córo, to Brad Middletown. Pracuje w...

Brad przerwał mu.

– Tak, tak. Cora Sharpe. To ty robiłaś „Watertown”, tak?

Uśmiechnęła się, trochę zagubiona.

– Tak. Jak to idzie?

– Świetnie, podobno dają doskonałe dniówki – odpowiedział potrząsając głową. Cora zrobiła zadowoloną minę.

– Marcus jest doskonałym reżyserem – stwierdziła bez większego entuzjazmu. W tym momencie ktoś chwycił ją nagle za rękę.

– Serduszko! – usłyszała swojski głos Cliffa. – Co ty tutaj robisz? – Odwrócił ją do siebie i uścisnął mocno. – Kochanie, jak miło cię zobaczyć – puścił ją i raczył dostrzec Raya.

– Hej, Ray, jak ci leci?

Uścisnęli dłonie.

– Cześć, Cliff.

Cliff znowu zajął się Córą.

– Pszczółko, zamierzałem do ciebie dzwonić w sprawie tego tam. No wiesz, tego co mają mi dać. To będzie w przyszły czwartek i jeżeli Ray cię puści, chciałbym, żebyś poszła ze mną. Wiesz jakie to krepujące.

Stała bez słowa, pomiędzy młotem a kowadłem, pomiędzy Rayem a Cliffem.

– Co o tym sądzisz, Ray? – zapytała wreszcie swoim najśłodszym, najbardziej niewinnym głosikiem. Ray wzruszył ramionami i wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Jeśli o mnie chodzi, w porządku – wymruczał rozglądając się dookoła.

– Świetnie, porozmawiamy jutro. – Cliff przytrzymał jej twarz w dłoni. – Uwielbiam cię! – puścił ją. – Do jutra, pa. – Odwrócił się i zaczął się przeciskać przez coraz większy tłum. Ray nie patrzył na nią.

– Lepiej poszukajmy miejsca – powiedział rozglądając się uważnie.

Cora ścisnęła go za ramię.

– Jesteś wściekły?

Odsunął się od niej i zaśmiał ironicznie.

– O nie, wcale. Ja musiałem cię błagać niemal na kolanach żebyś tu ze mną przyszła, ale wystarczyło, że Cliff podszedł i zaprosił cię na wielką imprezę, a ty od razu, nie wahając się ani przez chwilę, zgadzasz się z nim iść. Czemu miałbym się wściekać?

– Ray, przecież on dostanie nagrodę!

Przerwał jej: – Nie tłumacz się, proszę. Im bardziej się tłumaczysz, tym bardziej się złościę. Zostawmy to.

Czasami zdawało jej się, że Ray odpływa gdzieś bardzo daleko. Myślała, że to ostrożność, małomówność, zniecierpliwienie – może się myliła. On posługiwał się innym kodem, kodem uczuć. Kiedy był z kimś w stanie wojny, miał tendencje do gubienia się. Postrzegano go jako pocziwca, dobrą duszę przejmującą się innymi i ocierającą im łzy z oczu. Co prawda, odpowiadało mu to i robił co mógł żeby podtrzymać ten wizerunek. Gdzieś na dnie tych dobrych manier, współczucia i innych „poprawnych” uczuć Cora przeczuwała terytorium nie zaznaczone na mapach Raya, obszar rozczarowania, zmieszania, rozpacz – wszystkiego od czego się tak uparcie odżegnywał. Zbyt długo ubiegał się o coś, zbyt dużo rozdał dookoła. Cora nie umiała zwrócić mu tego, co stracił, a on tego oczekiwał. Wiedziała podświadomie, że go zawodzi, a jego rozczarowanie rośnie.

Pewnego ranka zapytała go co jest nie tak. Nie patrząc w jej stronę odpowiedział:

– Nic.

Przekładał pasek przez szlufki spodni. Cora przygryzła wargę i poprawiła się na krześle.

– Co nic? – zapytała troskliwie, pochylając głowę żeby zobaczyć jego szczupłą, odwróconą twarz.

– Wydaje mi się, że nie ma co o tym mówić. Nie teraz.

Podszedł do swojej szafy i wyjął stamtąd błękitną marynarkę. Cora otarła usta dłonią i patrzyła na niego uporczywie.

– Myślę, że nie ma co o tym w tej chwili mówić, rozumiesz? – powtórzył.

Zadzwonił telefon. Zignorowała go. Dzwonił natarczywie. Ray zmagął się z marynarką, wreszcie wcisnął ją na siebie rozpruwając przy tym rękaw.

– Nie odbierzesz?! – prawie krzyknął. Podszedł znowu do szafy, szukając tam samotności, współpracy i wszystkiego czego można oczekiwać od ubrań.

– Ray, powiedz mi.

Odwrócił się od ściany, odrzucił głowę do tyłu.

– Co z nami. Boże, co z nami! Mieszkamy razem, wiem o tych twoich okropnych romansach i w ogóle, ale... Zresztą zapomnij o tym! To mnie upokarza.

Cora wstała i podeszła kilka kroków w jego stronę, potem zatrzymała się i skrzyżowała ramiona. Zastanawiała się.

– Myślałam, że między nami... jest dobrze. To znaczy... – umilkła i drapała się po uchu, zupełnie zdezorientowana.

Ray odwrócił się w jej stronę, oszołomiony, obrażony, piękny.

– Nie może ci to przejść przez gardło, tak? Mnie przechodzi. Kocham cię. Nigdy przedtem nie czułem tego, co teraz. Chcę być z tobą przez całe życie. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Cora zaśmiała się nerwowo.

– Trzeba było bardziej się starać. Słuchaj, Ray – mówiła. – Zabawna ze mnie dziewczyna, ale jako żona... Jako żona zupełnie się nie sprawdziłam. Proszę, nie myśl sobie...

– Co mogę myśleć? – Usiadł ciężko na łóżku. – Mam cierpieć tylko dlatego, że nie wyszło ci w małżeństwie? Byłaś żoną samolubnego faceta, innego faceta. Nie moją... – Patrzył przygnębiony na swoje ręce. – Nie moją – powtórzył beznamiętnie, jakby coś się w nim wypaliło.

Cora nie chciała wychodzić za męża. Spróbowała raz i stwierdziła, że nie nadaje się do tego. Śluby intrygowały ją – za pierwszym razem nie miała uroczystego ślubu ani przyjęcia weselnego, wydała tylko tysiąc sto dolarów na urządzenie kuchni. Ślub kojarzył jej się z prezentami, uśmiechami, białym welonem, wzruszającymi melodiami na organach i kiepską weselną orkiestrą. Ślubne przysięgi śmieszyły ją – tak trudno dotrzymać zwykłych umów. Sprawiało jej przyjemność, że Ray chce ją poślubić, ale perspektywa związania się z kimś na całe życie przez kogoś, kogo wcale nie знаła, przerażała ją. Nie chciała jednak pozbawiać Ray a wesela, którego zawsze pragnął. Może mogli znaleźć jakiś

kompromis?

Podeszła do niego powoli i usiadła na poręczy jego krzesła.

– Jeśli chcesz, możemy się zaręczyć, a potem zobaczymy. Przysunął głowę do jej głowy i uśmiechnął się lekko.

– Bądźmy sobie przyrzeczeni, bądźmy narzeczonymi, dobrze? – Zsunęła się na jego kolana. – Jak za dawnych lat, jak w starej książce Henry’ego Jamesa.

Przytulił ją i odwróciła twarz w jego stronę czekając na pocałunek. Pocałunek, jak pytanie, odpowiedział sam sobie i zamienił się w długi rozdział powieści, którą mieli zamiar pisać w nieskończoność, coraz czulej, nie dbając o interpunkcję.

Dwa dni później podarował jej pierścionek, okrągły, błyszczący i przerażający.

## Kochana Esme,

*mam nadzieję, że Twój ojciec odczekał po moim tragicznym odejściu (patrz: babcia) ile nakazuje przyzwoitość, zanim się ożenił. Możliwe, że poślubił kogoś, kogo oboje znaleźliśmy, na przykład Melissę. Zawsze mu się podobała. Jest głośna – ale nie za głośna. Zdecydowanie za chuda. Kiedy siedzi na krześle, to wygląda jak udrapowana na nim suknia. Śmieje się z odchyloną głową, bo dba o światło – żeby dobrze przeświecało się przez włosy. No i ten głos, zawsze lekko ochrypnięty, jakby spędziła całą noc krzycząc na wyścigach. A może będzie to ktoś zupełnie obcy? Ktoś poznany przypadkiem, na przykład w wypadku samochodowym? Stuknie jego samochód po drodze na przyjęcie z okazji wydania swojej książki kucharskiej, drugiej po kontrowersyjnym zbiorze nowelek. Oczywiście, to będzie południowa książka kucharska. Ona – wzburzona i bardzo skruszona. On – zły, dopóki ona nie zwróci ku niemu swej anielskiej twarzy okolonej lśniącymi włosami, opalizującymi niczym wewnątrz egzotycznej muszli. Powie mu swoje imię miękkim, subtelnym głosem, a jej twarz rozświetli ciemną ulicę, rozkwitając pod jego spojrzeniem. Mary Louise. Powie jej, żeby się nie przejmowała, przecież i tak nigdy nie ogląda swego samochodu z tyłu. Będzie mu bardzo wdzięczna – bardzo wdzięczna i bardzo młoda. Młoda ale mądra. Okaze się, że dorastała dwadzieścia minut drogi od jego miasta rodzinnego, że oboje uwielbiają Lily Lovett, starocie i dziwaczne muzea w deszczowe popołudnia. Zapisze sobie jej numer i będzie na niego patrzył, zanim zdejmie okulary kładąc się spać.*

*Od tego dnia niemal każdą chwilę będą spędzać razem. Ona pachnie hiacyntami i jaśminem, tak jak pachniała jego matka, kiedy zasypiał na tylnym siedzeniu samochodu. Senny, południowy, miłosny zapach. Jej twarz wygląda jak mewa lecąca w chmurze, chwytająca wiatr w szeroko rozpostarte skrzydła. Ludzie często ją biorą za Meryl Streep.*

*Na ślubie zagrają Erika Satie, ona włoży suknię z kremowej satyny i koronki, która należała do jej babci. Będzie dla ciebie wspaniałą matką, szanującą moją pamięć.*

*Byłoby szaleństwem, gdybym próbowała nastawić Cię przeciwko niej – szczególnie po tym, jak dała ci ten list, świadoma jego treści. Tak, oczywiście, rozumiem – ona jest aniołem – nie mam nic przeciwko niej. Ale niezależnie od tego, jak bardzo lubisz swoją nową mamę, proszę, nie dawaj jej mojej biżuterii. Szczególnie kryształowej obróżki dla psa z Essex i mojej angielskiej szpilki.*

*Szalenie bym to przeżywała – niezależnie od tego, jak bardzo jestem martwa.*

*Z nieśmiertelną miłością*

*Mama*

Bud ogromnie polubił zegarki Raya, wśród których było kilka antyków i złoty rolex. Ale największe pożądanie wzbudzał w nim jeden, prezent od Cory – platynowy, z delikatną bransoletką z oczek. Czasami prosił Raya, czy nie mógłby go założyć na przyjęcie, na co Ray chętnie się godził. Kiedy Raya nie było, Bud myszkował po jego szafie i szufladach w sypialni, co nieuchronnie kończyło się oglądaniem zegarków i spinek.

Z namaszczeniem wyjmował wtedy swego kruchego ulubieńca i z błyszczącymi oczami wkładał na rękę.

Cora próbowała w delikatny sposób odwieść go od tych praktyk, ale bezskutecznie. Z biegiem czasu jego zakusy objęły także koszule, marynarkę od Armaniego i inne godne uwagi rzeczy Raya. Córce bardzo trudno było wytłumaczyć Budowi niestosowność takiego postępowania, szczególnie że swoje niekłamanie zainteresowanie rzeczami Raya uważał on za rodzaj wyrafinowanego komplementu i nie mógł się powstrzymać od jego wyrażania. Nie rozumiał, jak można widzieć to inaczej.

Kolejną przyjemnością Buda było dopominanie się o masaż. Ray nie znosił widoku Buda przechadzającego się po domu w samym ręczniku, nawet mieszkanie z Córá nie stanowiło za to dostatecznej rekompensaty.

Cora uważała w skrytości ducha, że było coś wyzywającego w zachowaniu Buda, coś co śmiało się bezczelnie za każdym razem, kiedy Ray puszczał jego wybryki płazem. Nie przyszło jej do głowy, że nad głową Buda zbierają się ciemne chmury, że skrywający uczucia, opanowany i uprzejmy Ray jak wulkan szykuje się do wybuchu. Za każdym razem kiedy Bud paradował w swojej naprędce zaaranżowanej todze, za każdym razem kiedy szła gdzieś z Cliffem czy prowadziła nie kończące się rozmowy telefoniczne, Ray sztywniał coraz bardziej, nie odzywał się, przybierał pozy. Cora wymyśliła przezwisko na takie nastroje: Edwin Obrażony.

Pewnego piątku Bud wylegiwał się jak zwykle zlany wonnymi olejkami, a Cora rozmawiała przez telefon z nieszczęsną Normą, niepocieszoną po wiarołomstwie męża. Burta.

– Nie ingeruj, zostaw sprawy ich biegowi – radziła. – Niech ma swój romans. Zobaczysz, znudzi mu się. Ona zrobi się wymagająca, a ty będziesz taka jak

zawsze – obojętna na jego schadzki, matka dzieciom, towarzyszka życia. Ona musi być wymagająca, ma trzydzieści pięć lat a on pięćdziesiąt cztery. To są ostatnie lata jej uroku. Uwierz mi, ja to wiem.

Tak skoncentrowała się na tej rozmowie, że nie usłyszała kiedy wszedł Ray, zmęczony po pracy.

– Hej, wiem co możemy zrobić! – mówiła właśnie. – Może wydam dla ciebie przyjęcie? Najważniejsze, co on może stracić to wasze wspólne życie. Wiesz, przyjaciele, których znacie od lat, ludzie którzy pamiętają go z młodości. Ja wydam przyjęcie, zaproszę go i przypomnę, że z nią nigdy nie zostanie zaproszony.

Zmieszała się słysząc nagle głos Raya za plecami.

– Może on tego wcale nie chce – powiedział ponuro. – Może chce zacząć od nowa?

Cora przykryła membranę dłonią i spojrzała na niego. To spojrzenie miało mu powiedzieć wszystko: zadowolenie z tego, że go widzi, delikatną materię rozmowy, którą toczyła i przypomnienie że ona, jego narzeczona, powinna być traktowana z nieskończoną galanterią. Niestety usiadł na krześle odwrócony do niej plecami. Ściągnął buty z cielej skóry i rzucił je jak zwykle na dywan. Niewzruszony – pomyślała. Z tyłu jego głowa wyglądała na bardzo pewną siebie. Pewna siebie i uszata, po jednym uchu odstającym z każdej strony.

– Muszę kończyć – powiedziała do słuchawki. – Jutro zadzwonię. – Przez chwilę słuchała. – Tak.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Raya:

– Kiedy wszedłeś? – zapytała mając nadzieję, że grymas na jego twarzy to tylko jej przywidzenie.

– Wszedłem w momencie kiedy planowałam ocalić małżeństwo Normy i Burta przy pomocy przyjęcia – powiedział ściągając sweter przez głowę. Naelektryzowane, złote włosy stanęły na baczność.

– Cóż innego mogę zrobić? – Zdezorientowana wstała z łóżka i usiadła z powrotem.

– Nic nie możesz zrobić – stwierdził beznamiętnie. – Każdy musi sam rozwiązywać swoje problemy.

W tym fatalnym momencie w przejściu stanął Bud, jak zwykle przysłonięty skromnym ręcznikiem.

– Cześć, facet! – zawołał jak do swego koleś. Kiedy podawał Rayowi rękę, ręcznik zaczął zsuwać się niebezpiecznie i Bud musiał złapać go drugą ręką, na której dumnie tkwił zegarek Raya.

– Och! – wykrzyknął, skromnie spuszczać wzrok. – Prawie obnażony. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, facet – ciągnął jakby nigdy nic. – Znowu pożyczyłem twój zegarek – uwielbiam go.

Podniósł rękę, platyna złowrogo zalśniła w półmroku, odwrócił powoli dłoń w jedną i drugą stronę delektując się matowym połyskiem.

– Właśnie przyszedł mi do głowy dowcip. Gotowi?

Ray słuchał nie odzywając się ani słowem.

– Dlaczego antysemityzm jest na całym świecie? – zawiesił głos. – Bo agenci podróżują.

Zadowolony, klepał się po brzuchu. Cora uśmiechnęła się blado.

Ray wstał.

– Czuję to – stwierdził, jednym ruchem wyciągając z szafy szlafrok. – Śmieszne – dodał nakładając go.

Bud czknął delikatnie i ruszył do drzwi.

– Zamierzam podgrzać trochę kurczaka – oznajmił jowialnie. – Przynieść coś komuś? Cora? Ray? Colę? Kurczaka? Sałatkę?

Cora wolno pokręciła głową.

– Dzięki – pośpiesznie rzucił Ray. – Wielkie dzięki, ale nie.

Bud odchylił głowę „swoim” ruchem. Wychodząc z pokoju zawołał:

– Popelniacie błąd!

Ray tkwił w miejscu jak kłoda, póki nie był pewien, że Bud nie może go słyszeć. Wtedy powiedział, nie patrząc w stronę Cory.

– Wyrzuć go stąd.

Wyjaśniła to Budowi. – Słuchaj, rozumiem, że do tej pory było inaczej. Ale teraz dużo się zmieniło. Nie możesz tak po prostu tu wpadać bez zapowiedzi. Musisz go traktować jak... swojego męża czy kogoś takiego.

Bud był przybity.

– Myślałem, że tak go właśnie traktuję.

– W takim razie musisz go traktować jak męża kogoś innego.

Wiesz co mam na myśli. Nie może być tak, jak przedtem – no, czasami, od święta.

– Kiedy? – marudził. – W rocznicę urodzin Martina Luthera Kinga? Tylko nie jedźmy wtedy do Arizony, tam nie uznają tego święta.

Cora westchnęła, otarła brwi wierzchem dłoni.

– Chcę żeby to się udało, pamiętasz? To sprawa czysto terytorialna.

Poza pracą widywała Buda coraz rzadziej. On zaczął się spotykać z aktorką,

Camille Fielding, która zaczynała karierę w jego pierwszym filmie, „Krajobraz smutku”. Camille przyznawała się do trzydziestu czterech lat, a w rzeczywistości miała około czterdziestu pięciu. Z tego co Cora wiedziała, ich znajomość była bardzo burzliwa – ale nie wiedziała tego od Buda.

Tęskniła za jego zwierzeniami – mówił jej wszystko o swoich romansach, nie ukrywając najintymniejszych szczegółów, tak jak wtedy, kiedy pomógł popularnej artystce wyzwolić się z kazirodczych urazów serią pełnych pasji wzajemnych klapsów, w trakcie których wołali do siebie imionami rodzeństwa. Nie wspominając (choć on wspominał) o szczegółach okresowych zaburzeń jego funkcji nerek i powtarzających się obstrukcjach. Teraz był skryty, małomówny, daleki. A ponieważ Cora przeżywała niewiele lepsze nastroje, komedia, którą akurat poprawiali, zatytułowana „To wszystko co mam do powiedzenia” wcale nie była do śmiechu. Cora wspomniała nawet ich agentowi, że może byłoby lepiej, gdyby zajęli się czymś innym – może horrorem?

W tym samym czasie Ray zaczął być coraz bardziej zazdrosny o jej czas, o ludzi, którzy rościli sobie prawo do poufałości z nią. Coraz rzadziej okazywali sobie uczucia, coraz częściej zapadała cisza.

Powiedziała swoim przyjaciołom żeby przez pewien czas trzymali się z daleka. Zapowiedziała Cliffowi, że nie będzie żadnych wyjść bez Raya. Nie dotykała telefonu, kiedy on był w domu. Próbowwała okazać mu, jak dużo dla niej znaczy. Chciała żeby poczuł się ważny, żeby oboje upewnili się, że to jest właśnie to, czego pragną.

Pierścionek zaręczynowy darł jej rajstopy i zapłaty wał się we włosy. Chodziła na paluszkach wśród tej ciszy. Bała się zatargów, nieporozumień, wyczuwała koniec. Wahala się czy wejść w chłodne, jasne światło w którym stał Ray, w rzędzie z jej innymi kochankami, wszyscy rozczarowani nią, skłonni obwiniać o rozczarowanie. A przecież ona tak niewiele chciała, oni – tak dużo.

Cora nie miała wielu problemów z Rayem – ale lubiła problemy. Powstawały z niczego, rodziły się nagle w uładowym, spokojnym świecie. Widziała je tak wyraźnie jakby nosiły aureole.

– Po co ty tak wszystko komplikujesz? – narzekał Ray.

– Wcale nie komplikuję – to się samo komplikuje.

Może oglądała świat pod innym kątem, dostrzegała inną stronę: zgiełk, płacz i blichtr.

– Co dzisiaj robiłeś? – pytała.

– Och, wiesz przecież. To co zwykle.

Ale Córze nie wystarczała taka odpowiedź, nie rozumiała jej. Chciała więcej.

Ray umiał inaczej – niektórzy mówili, że jest „fajny”, kłócił się z ojcem tylko dwa razy w życiu, czasami szczerze rozmawiał z krewnymi i przyjaciółmi.

Ale kiedy Cora mówiła, patrzył na jej usta, jakby słowa miały kształt oraz wagę i latały dookoła jej nieuleadzonej głowy. Patrzył trochę zmieszany, mówił: „Kocham cię kiedy... mówisz”. Mówiła więc do tego blasku, który krył się w jego oczach, a on oddawał jej część swego promiennego uroku. Dawanie tej części siebie stało się dla Raya ważne, a jego rzadko wyrażane „ja” znalazło ujście w słowach Cory. Bardzo kochała te wymiany.

„Dobrze” i „niedobrze” istniało w ich związku, niemożliwe do rozdzielania, konieczne, niezbędne, uzupełniające się, mistyczne. Cora nie studiowała Zen, ale rozumiała tę zgodną antynomię, wspólnotę przeciwieństw – była królową przeciwieństw. To prawda, jej zamek gościł zbyt wielu dworzan, ale to przecież dla nich uprawiała swą słowną zonglerkę, byli jej potrzebni, a ona potrzebowała ich.

Przyjaciele Raya byli zupełnie inni. Wylegiwali się na werandach, łapiąc muchy i czekając na podmuch wiatorku. Cora lubiła ich i mogła spędzać z nimi czas – ale czegoś jej brakowało, nie potrafiłaby się z nimi tak naprawdę związać. Gdyby to był jedyny problem, to niech tam. Było jednak coś jeszcze, wyczuwała w nich wrogich sprzymierzeńców „Niedobrze”. Byli nijacy, takich wybierał Ray.

– Jeżeli będę chciał wysłuchać twojego zdania na ten temat, dam ci znać – powiedział oschle. Obiad kończyli usiłując ominąć sztorm, żeglując ku spokojniejszym wodom.

– Czy byłem niegrzeczny? – zapytał kiedy siedzieli już w samochodzie.

Patrzyła na jego twarz oświetloną tylko nikłym światłem tablicy

rozdzielczej.

– Jeżeli już pytasz – zaczęła łagodnie – najbezpieczniej odpowiedzieć tak. Jesteś jak ludzie, którzy popijają sobie w towarzystwie i nie zastanawiają się czy są alkoholikami, aż jest już za późno.

Dodał gazu i przejechali na czerwonym świetle.

– Wystarczy zadać ci proste pytanie, a ty natychmiast zmieniasz je w uroczy przyczynek w cyklu swoich bieżących wykładów o życiu.

Odwróciła się od niego i zdołała tak wytrzymać aż dojechali do domu.

Ray szedł za nią, ciężko stąpając po schodach.

– Kochanie? – zapytał cichutko.

– Tak? – odpowiedziała.

– Czy wiedziałaś, że masz maleńką łezkę z tyłu sukni?

Pierwszy raz zdała sobie wtedy sprawę z tego, że Ray ma trudności z powiedzeniem „przepraszam”. Nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że w jakikolwiek sposób jest nie w porządku. Zawsze był w porządku, musiało tak być. Jeżeli nie, to nie on ponosił winę, jakiś szmondak go po prostu wrabiał.

Cora odczuwała ogromną potrzebę rozmów z ludźmi, delektowania się tym, co wspólnie mogli wymyślić. Jak sęp rzucała się na idee, z błyskiem w oku pytała „dlaczego?”, ogryzała argumenty do kości, wysysała każdą odrobinę sensu. Aż najedzona, napchana rozmową obojętniała – przynajmniej w połowie przypadków.

Różnica w tym, jak sobie dobierali przyjaciół i do czego im oni służyli, nie była istotna, dopóki nie zdecydowali się związać się ze sobą i być razem – może przez całe życie. Wtedy w miejsce słodkiej harmonii nocy pojawiło się „wszystko po staremu” i małe listy, które robili nawet o tym nie wiedząc, rozwinęły się, zaścielając długi hol.

Śniło jej się, że ma na sobie ciężką, białą suknię z satyny. Dookoła niej, na trawniku stali ludzie, ale nie była pewna, co to za okazja, czy była panną młodą czy zmarłą, świeżo poślubioną czy właśnie zeszlą. Szła wśród tłumu zebranego z okazji święta czy pożegnania, mrużąc oczy w słońcu szukała Raya. Był tam David Letterman z żoną i czwórką dzieci, nieżyjąca babka Cory i jej były mąż, Ben. Nikt się do niej nie odzywał, ani jej nie zauważał. Pomyślała, że Ray zauważyłby ją, ale nie wiedziała czyby się do niej odezwał. Pomimo że była głodna, nie miała ochoty na nic szczególnego, może najbardziej na słodkie ziemniaki.

Ktoś dotknął jej ramienia – obok niej stał William.

Próbowała odezwać się do niego, zawołać go. Powstrzymał ją.

– Chcę powrócić przez wodę, nie przez atrament – odezwał się.

Pomyślała, że to może mieć jakiś związek z narodzinami i z artykułem w gazecie. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć o Rayu, ale nie mogła tego zrozumieć.

– To sekret – wyszeptał.

Wreszcie znalazła Raya. Stał na trawie z rękami głęboko w kieszeniach. Szła coraz szybciej, ale uprzedziła ją matka Raya.

– Jestem taki nieszczęśliwy – mówił do niej. Matka wyciągnęła rękę i dotknęła jego brwi. Cora spojrzała na swoją dłoń i zobaczyła na niej obrączkę. Zrozumiała, że wzięła ślub.

Kiedy się przebudziła, ramię Raya obejmowało jej talię, spał z twarzą wtuloną w jej plecy.

– Ray – zaczęła cichutko.

– Mmmm? – odetchnął ciepłym powietrzem prosto w jej wilgotne włosy.

– Ray, myślę, że cała ta sprawa z małżeństwem to zły pomysł, wiesz? – usiłowała powiedzieć to łagodnie. Ray wolno zabrał swoje ramię i położył się na plecach. Odwróciła się żeby widzieć jego twarz.

– Chciałam powiedzieć, że przecież tak naprawdę to nic nie znaczy, prawda? Jesteśmy razem, tak? Więc potem bylibyśmy legalnie razem. Co by to zmieniło – musielibyśmy być sobie wierni? Małżeństwo jest głównie dla kobiety – żeby czuła się bezpiecznie i cieszyła się większym szacunkiem. Albo żeby jego pieniądze były także jej. Bez obrazy, ale moje nazwisko zarobiło już sobie na trochę szacunku – twoje też. I nieźle zarabiam.

Podniósł się na łokciu i patrzył na nią.

– Skończ już – ostrzegł gniewnym głosem, skrywając za nim swój ból. – Jeżeli nie chcesz wychodzić za mąż, w porządku. Nie potrzeba mi wykładu na ten temat.

– Położył się na plecach i odsunął od niej. Teraz to ona przytulała się do niego, obejmowała go. Pocałowała go w bark, ale odsunął się od niej.

– Nie chciałam przez to powiedzieć, że jest nam źle. Uwielbiam być z tobą, przecież wiesz.

Zaśmiał się ironicznie.

– Nie chcesz mnie poślubić jak należy. Dobrze. – Podciągnął kolana pod brodę.

– Może tak będzie dobrze – drażyła. – Spróbujmy. Jeśli nie, zawsze możemy się pobrać. W każdej chwili możemy mieć przysięgi i ryż. – Czuła, że zaciska zęby.

– Nie kochamy się tak samo – powiedział beznamiętnie, zmartwiony.

Próbowała jakoś go otworzyć.

– Nie tak samo, ale oboje dostatecznie mocno.

Usiadł i niezdarnie szukał okularów.

– Dostatecznie żeby co? – zapytał pogardliwie, wstając.

– Dostatecznie żeby nam wyszło – powiedziała czując jak zimny strach chwyta ją za szyję. Podniósł slipy z podłogi i naciągnął je.

– Dostatecznie żebyś nie wychodził. – Złapał koszulę i mocował się z nią w poszukiwaniu rękawa. – Ray, nie wychodź. – Zgarnął swoje buty i skarpetki. Naciągnęła koc na ramiona, żeby uciszyć walące serce.

– Jeżeli teraz odejdziesz, lepiej już nie wracaj.

Wepchnął portfel do kieszeni i ruszył w stronę drzwi.

– Dobrze! – krzyknął na odchodnym.

Zawsze myślała, że idealny związek ma miejsce wtedy jeżeli czujesz się wolny żeby być tym, kim naprawdę jesteś. Bez sensu zakochiwać się w kimś, kto wierzy w zasadnicze zmiany twojej osoby, umożliwiające niewzruszoną miłość. Nie można czekać ze swoją akceptacją aż ktoś stanie się taki, jaki powinien być, aż zegniesz go i złamiesz, nauczysz swojego prawa miłości. To wszystko wina fatalnego, cholernego przekonania, kulawego przekonania, że wszystko może być – powinno się stawać – lepsze. Kalekie, bezrozumne przywiązanie do idei ulepszeń.

Czy jest gdzieś prawdziwe zadowolenie? Może w Tybecie lub wśród małych dzieci. W szczęśliwej krainie prostych i pokornych. Zapatrzeni w cuda dzwonek na czapce błazna, kolorowej chorągiewki, błyszczących kolczyków, oglądają świat niezdolni postrzegać go jako skomplikowaną, zawikłaną całość, niezdolni do przewidywania skutków, komplikacji. Mogliby wyciągać wnioski, stwierdzić, że świat jest dziwnym miejscem, gdyby potrafili spamiętać, co widzieli przedtem – ale nie potrafili.

Gdybyśmy zaczęli od początku, umieli cieszyć się tym, co mamy. Wspólnymi decyzjami, kompromisem.

## **Kochana Esme,**

*a co jeśli okażę się typem człowieka, który mówi jak dorosły do dzieci, a jak dziecko do dorosłych? Nie możesz się po mnie spodziewać że będę wydawała z siebie dziwne odgłosy, że wyjaśnię Ci świat gaworząc. To jest przesłanie do tej skomplikowanej (lub nie) osoby, jaką się stałaś do osiemnastych urodzin, ukształtowanej bez wątpienia przez rzeczy jakie zrobiłam lub nie, powiedziałam (za wolno lub za cicho lub w zły sposób) lub nie.*

*Tak czy siak, to dla Ciebie – kimkolwiek się stałaś, dorósłszy w rodzinie albo w jakimś innym, mniej przyjemnym miejscu, o jakim nie chcę w tej chwili myśleć. Trudno mi się skoncentrować będąc w ciąży. Nie dbam o to co mówią inni – robisz się głupsza, kiedy ktoś rozrasta się w twojej macicy od rozmiarów jaja. (To przykład humoru samoniszczącego – należy go unikać) o ile prawdziwy humor jest w ogóle możliwy).*

*Rzadko myślę o moim dzieciństwie. To śliska sprawa, która wymyka mi się z rąk. I częściej pamiętam, czego mi brakowało, niż co było. Jestem kronikarzem nieobecności. Było tak, jakby moja rodzina zapuściła korzenie w naszym domu i rosła obok siebie – nie razem – jak drzewa. Spędzaliśmy wspólnie czas, zabijaliśmy czas, póki nie mogliśmy odejść (rozumiesz? – odchodzące drzewa). Byliśmy współlokatorami, łączył nas adres. Wyrażaliśmy uczucia niezbyt często je okazując. Ponieważ moje otoczenie nie dawało mi tego, czego potrzebowałam, powoli odchodziłam w swoje wnętrze. Jak mawiał mój dziadek? Masz robaka – idź na ryby. I poszłam.*

*Na zewnątrz wszystko było jak zwykle, sprawy szły po dawnemu. Nadal poruszaliśmy się obok siebie, czasami we mgle pojawił się kryzys – jak przykry zapach o którym się nie mówi. Wyrosłam na gorliwego rozmówcę, ale pozbawionego narzędzi walki. Walczyć to tak jakby ktoś kazał mi latać. Lepiej zamieść problem pod dywan i zachowywać się tak, jakby nic się nie działo. I może w końcu nic się nie będzie działo. Zajmij się pozorami, prawda przyjdzie potem – to mogłoby być motto mojej rodziny. Gdybyśmy w ogóle mieli mieć jakieś wspólne motto, pewnie mielibyśmy tylko motto i nic więcej. Motto, kredo i dom.*

*Próbowałam powiedzieć Twojemu ojcu, że jestem zbyt zajęta szukaniem po omacku w swoim wnętrzu, że nie mam czasu na celowe okrucieństwo. Przypuszczam, że jedyne okrucieństwa na jakie mnie stać mogą wynikać z nieświadomości różnego rodzaju, negacja innych może być spowodowana zbytnim*

*skupieniem na sobie. Okreźnym sposobem przyznałam się do samolubstwa. Ale intencje mają ogromne znaczenie. Nigdy celowo nie zaprzeczyłabym prawom moich bliskich – albo moich współlokatorów (bliskich bez legalnych związków). Mogłaś dojść do wniosku, że niedostatecznie okazywałam uczucia, chociaż pewnie wymyślili już jakiś preparat witaminowy od tego. Pamiętaj – dałam co mogłam, przepraszam za resztę.*

*Mam nadzieję, że Twoje dorastanie było lepsze niż moje.*

*Kocham*

*Cora*

Cora zaprosiła swego przyjaciela Williama do siebie. Był tak smutny, kiedy rozmawiali ostatnio, że powiedziała mu, iż zarobiła mnóstwo pieniędzy i pójdzie do piekła, jeżeli się tym z kimś nie podzieli. Z kimś dla kogo będzie to ważne. Unikali rozmowy o wielkim przyjacielu Williama, Allanie, który praktycznie porzucił Williama, kiedy ten zachorował. Allan, pomimo że miał pieniądze, żeby pozwolić mu umrzeć w Nowym Jorku, bał się zarażenia – w sensie psychicznym czy fizycznym – tak bardzo, że nie pozostawił Williamowi innego wyjścia jak tylko jechać od Kalifornii, do Cory.

Przyjechał więc, z oczyma ciężkimi i błyszczącymi od kodeiny. Kilka dni wcześniej przysłano z Nowego Jorku kilka kartonów pieluch dla dorosłych – nie wróżyło to niczego dobrego.

Cora nie mogła stwierdzić z całą pewnością, że William zamierza umrzeć w jej domu, ale nie mogła też stwierdzić, że nie zamierza. Może ta podróż wycisnęła z jego ciała ostatnie żywotne soki? Od pewnego czasu wyglądał mizernie. Chudy i żądny – żądny życia, bycia żywym. Jak pisklę wołające o pokarm, o robaki. Znajdziesz robaki – idź na ryby. Osiedlił się więc na krótki czas w końcu głównego korytarza, obok pokoju dziecinnego. Z jego ubezpieczenia opłacali opiekę pielęgniarek przez dwanaście godzin na dobę. Za pozostałe dwanaście płaciła Cora.

Wieczorem w dzień jego przyjazdu usiadła z nim w swoim pokoju, przy kominku i opowiadał jej o swoich planach, o przyszłych podróżach. Kiwała głową, uśmiechała się, a potem odprowadziła go do pokoju. Rozpakowała jego rzeczy, podczas gdy on walczył ze swoimi ubraniami, pidżamą i chodnikiem. Podała mu swoją szarą podomkę przez szparę w drzwiach i ciarki przeszły jej po plecach. Przygotowała jego kolację – worek z płynem odżywczym, który dostawał się do środka przez założony na stałe w klatce piersiowej dren. Swój kateter Hickmanna nazywał pieszczotliwie Cathy, „jedyną miłością”.

– Obyś nie zmienił się w Heathcliffa! – ostrzegła go złowieszczą. – Patrz co się z nim stało.

– Zmarł na AIDS? – zapytał z kamienną twarzą.

Cora uderzyła go w stopę siląc się na żart.

– Żadna z postaci sióstr Bronte nie zmarła na choroby związane z AIDS. Umierali przy porodzie, w wyniku odmrożenia, pijaństwa, czy po prostu skrajnej niegrzeczności, która wywoływała apopleksję. Jeśli chodzi o Heathcliffa, to było

odmrożenie spowodowane przez Cathy – Catherine Earnshaw odwiedziła go w nocy a on gonił jej ducha po śniegu. Rano zmarł.

Przestrzegała go przed ganiem worka ze środkami odżywczymi:

– Niezależnie od tego, jak bardzo ci pomagają.

Kiedy William zasnął wreszcie, Cora wśliznęła się do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Będzie dobrze, będzie tak dobrze jak to możliwe.

Ale było jeszcze coś. Jeżeli ona miała opiekować się Williamem, kto zajmie się nią? Kto będzie jej oparciem, jej cichym doradcą?

Myślała kiedyś, że odczuje ulgę, kiedy rozstaną się z Rayem – tak już zmęczyła się tym, że się od niej odsuwa. Ale teraz zaczęła patrzeć na te sprawy z jego punktu widzenia. Dlaczego wszyscy jej partnerzy czuli, że są tak nisko na jej liście priorytetów? A najgorsze było to, że zazwyczaj mylili się co do jej miłości – zawsze okazywało się, że ich utrata dotykała ją do żywego. Kiedy kochała ludzi, kochała ich jak aksamit, jak aksamit i długo, bardzo długo.

Może teraz, kiedy William tak bardzo jej potrzebował, Ray uwierzyłby jej słowu. Jeżeli nie słowu, to może potrzebie. Nie przychodził jej do głowy nikt lepszy, jeśli chodzi o wychodzenie naprzeciw potrzebom. Ona mogła mieć barwniejszą osobowość, ale Ray był lepszym człowiekiem. A jeśliby się okazało, że nie był, to ona jest po prostu barwną osobowością, która nie zna się na ludziach. Owinęła się kołdrą i przytuliła nagie ramię i podbródek do słuchawki.

– Halo? – zapytał Ray ze swego ciemnego, pustego domu w Beechwood.

– Obudziłam cię? – powiedziała cichutko jak myszka.

Roześmiał się i usłyszała jak echo odbija się od kremowych ścian w jednym z pustych pokojów.

– Masz zmiętoszony głos – powiedziała uśmiechając się.

– Zadzwońiłaś żeby mi to oznajmić? – Patrzyła jak moskit rozbija się o ścianę, a jego wrzecionowate nogi plączą się z cieniem.

– Kochanie?

Cora wciągnęła powietrze i przekręciła się na brzuch, uwierał ją sznur od aparatu. Twarz przytulała do poduszki i do słuchawki.

– Powtórz to – wyszeptała sennie, zamykając oczy.

– Powtórz co?

– Spotkajmy się – westchnęła zirytowana. – Bądźmy razem. To głupie.

Wyobrażała go sobie, na pewno owijał sznur wokół dłoni. Niski głos wyszeptał:

– Masz rację.

– Więc?... – zaatakowała.

– Wezmę swoje rzeczy.

Mniej więcej czterdzieści minut później wszedł do ciemnej sypialni Cory. Usiadł na krześle i rozwiązał buty.

– Maluszkule – wyszeptał do kształtu w łóżku. To było „jego” słowo, południowe słowo. – Maluszkule, śpisz?

Cora poruszyła się i usiadła, chciała przetrzeć oczy.

– William jest tutaj – powiedziała. – Przyjechał dziś wieczorem.

– Co z nim? – zapytał, kładąc się do łóżka, otaczając ją ramionami.

– Może zostaniesz i pomożesz mi się dowiedzieć – zaproponowała, lekko przesuwając dłońmi aż do jego bioder, całując jego oczy – intymne gesty, które rezerwowała tylko dla bliskich. Zapewnienia, że zrobiłeś coś albo robisz dobrze, uspokajające oznaki bezpieczeństwa. Czeszesz komuś włosy, dotykasz, dajesz znać, że jest dobrze.

Ray pocałował ją, ich oddechy się złączyły. Dotykali się coraz bardziej aż załsnili, rozbłyśli w ciemnościach.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział kiedy poczuł łzy zmieszane z pocałunkiem nocnej godziny czułości. Pokiwała głową i chociaż gardło miała ściśnięte a ręce wciąż czegoś szukały, wyszeptała:

– Wiem.

I wiedziała.

Ray powiedział jej później, że płakała przez sen. Kiedy mu wreszcie uwierzyła, zastanawiała się, czy płakała za snem czy za przebudzeniem. Może kiedy płakała na jawie, płakała za snem – ale czy sen był wart łez?

Jest artysta o nazwisku Morandi, który maluje przestrzenie pomiędzy przedmiotami – powiedział Córce kiedyś późną nocą pewien reżyser. I coś jeszcze, o błękicie i pudełkach Cornella, tych z małymi, śniegowymi aniołkami, takich niebieskich, ładnych i bożonarodzeniowych.

Dom Cory był takim pudełkiem Cornella, z masą rzeczy w różnych zakamarkach – lśniących, uśmiechniętych, przypominających ją. Zamknęła się w wygodnym rozgardiaszu koloru, żartu i blasku, istniała w ten sposób. Była szczęśliwa w swoim domu, w którym ściany wibrowały muzyką. Reżyser powiedział jeszcze: „Myślę, że rzeczą, na którą warto pracować i czekać z nadzieją, jest zapomnienie”. To zabrzmiało naprawdę poważnie, ale Cora nie miała przy sobie pióra, żeby zanotować, a potem była pewna, że reżyser powie to jeszcze raz,

a ona będzie wtedy miała coś do pisania.

Nagle zapragnęła zobaczyć obrazy Morandiego bardziej niż wtedy chciała mieć pióro. Chciała wiedzieć co namalowałby Morandi pomiędzy Williamem a tym z góry skazanym na przegraną wyścigiem, w którym przyszło mu startować. Zastanawiała się ile by tam było smutku i błękitu. I czy ten błękit wymyśliła sama, czy też reżyser jej o nim powiedział.

Przez następnych sześć tygodni stan zdrowia Williama pogorszył się znacznie w bardzo fundamentalnych dziedzinach, ale w sensie społecznym prowadził życie mieszkającego na przedmieściach sułtana show-businessu. Będąc tak blisko tragedii, Cora dowiedziała się, że to wcale nie tak, jak sobie wyobrażała. William szykował się do ostatniej drogi, ale wciąż wymagał manicure, pedicure i masażu. Szykował się na przyjęcia i pokazy filmowe, starał się być ciągle w ruchu. „Co robimy wieczorem?” – pytał i wciąż coś planował, gdzieś wychodził – z laską, puszką bezcukrowych cukierków i wózkiem na srebrnych kołach. Cora dzieliła czas pomiędzy pracę, z której opłacała ostatnie zachcianki swego sułtana, i przejażdżki po dolinie. Słuchali Joni Mitchell, drobny deszczyk wpadał przez okna samochodu. Nic nie można było zobaczyć przez tylną szybę, bo zasłaniał ją wózek upchnięty w bagażniku.

Początkowo Ray przywiózł dosyć ubrań na tydzień, potem na dwa, trzy, cztery, sześć. Cora zajmowała się Williamem, robiąc to tak, jakby się nim wcale nie zajmowała, a Ray zajmował się Corą, trzymał ją za rękę i dodawał otuchy. To była jej życiowa rola. Doceniała, że wciąż przy niej trwał, choć większość ludzi pewnie by odeszła – choć kto wie co zrobiłaby „większość ludzi”. Trwał – to była przyzwoita rzecz, to, co uczciwy człowiek powinien zrobić. William był porządnym facetem i oboje robili ostatnią, cholernie dobrą i cholernie ciężką przysługę dobremu facetowi.

William powoli wracał do domu. Przebył długą drogę, pokrętną, dramatyczną, ostateczną – Cora i Ray wyruszyli na przejażdżkę. Cora wymyśliła grę, nazwała ją „Spanie na Tylnym Siedzeniu”. Reguły gry były proste, William leżał albo drzemał na tyle samochodu, przysłuchując się albo nie rozmowie Raya i Cory, ich „kiwi”. Około północy, kiedy zasypiał na dobre, a kropelki płynów sączyły się do tego co jeszcze w nim nie zasnęło, Cora i Ray wracali do domu.

Kiedy znajdziesz się tak blisko śmierci, wszystko, co żyje, żyje jakby odrobinę mocniej, wygląda zdrowiej, i kochasz to żywe tak bardzo, że pragniesz mieć je przy sobie. Cora pragnęła zatrzymać przy sobie Raya i zatrzymać Williama, choć

na chwilę ocalić go od śmierci. On był od śmierci o krok – to pogłębiało ich bliskość, znów mocniej przytulali się do siebie wieczorem.

Pewnego dnia Ray wykapał ją. To do niej przemówiło. Odkryła, że naprawdę trudno być daleko od kogoś, kto cię wykapał, odświeżył niczym nowa muzyka. Patrząc z perspektywy czasu to prawdopodobnie wtedy zaszła w ciążę. Piana, wonna i miękka, szorowanie gąbką – żadna antykoncepcja nie chroni przed wodnym voodoo i przed Rayem otulającym jej jeszcze wilgotne ciało białym płaszczem kąpielowym. Jak z kimś takim nie mieć dziecka?

Wędrowała wieczorami po domu, gasząc światła. Rytuał nadchodzącej nocy, codziennie powtarzany. Potem szła po omacku do ciemnej sypialni, gdzie on już czekał. Przytulny spokój zadomowił się wśród nich. Cisza, która była jak świeżo spadły śnieg. On nucił sobie w tej ciszy, nie niszcząc jej – szła coraz większa przez długie tygodnie, była i trwała.

Czuła, że teraz go zna. To się liczyło, pomagało przedrzeć się przez ciężkie czasy.

Mogła polegać na jego słowie, na jego punktualności, na rozmowie z nim. Może rozmawiał inaczej niż jej Komitet, ale był przy niej, przeprowadzał ją przez cierpienie w sposób, jaki uważał za najlepszy. Doceniała jego starania, szanowała szczerość. Codzienną porcję Ja-cię-kochania. Uważne, czułe oczy.

Kiedy Cora nie mogła zasnąć, Ray utulał ją do snu, związał się obok i zasypiała. Kto robiłby coś takiego? Na pewno nikt z jej znajomych. Kroplówka Williama kapała powoli przez dziurę w jego piersiach, kiedy śnił swoje krótkie sny na przedmieściach ich nocy.

Pewnego ranka ktoś bardzo grzecznie obudził ją o piątej rano.

– Zwymiotował pół litra krwi – oświadczyła rzeczowo pielęgniarka. – Muszę panią prosić żeby posiedziała pani przy nim podczas gdy ja zadzwonię po pogotowie.

Cora włączyła lampkę i usiadła, starając się z głębin snu dopłynąć do rzeczywistości najszybciej jak tylko mogła.

– Co się stało? – pytał Ray, mrużąc oczy po swojej nie zgniecionej stronie poduszki.

– Musimy jechać do szpitala – odparła, chwiejnym krokiem idąc do szafy. – To znaczy ja muszę. Coś się dzieje.

Ray odrzucił nakrycie jak anioł chwytający wiatr w skrzydła i zstąpił z łóżka.

– Nie, ja pojedę – powiedział. Siedział na brzegu łóżka i rozglądał się za swoimi okularami.

Biegli razem w ciemny hol, do jasno oświetlonego pokoju, w którym czekał rozdygotany William i pół miski jego jasnoczerwonej krwi.

– Będzie dobrze – wyszeptał Ray. Ciało Williama wisiało nad miską, zgięte w kształt litery V, jego zęby wydawały się wielkie i nienaturalnie białe w ustach otoczonych różowawymi pęcherzykami krwi, w okrągłej, szarej twarzy.

Wszystko stało się jasne, wiedzieli, co mają robić, dokąd iść, co może się wydarzyć. Białka oczu Williama wydawały się jeszcze bielsze w ostrym świetle. A może to co się działo, nadało im tę lśniąca, bijącą biel. Cora myślała o zdumiewającej precyzji otoczenia – łóżko w miejscu łóżka, telewizor pod ścianą. Tylko ludzie poruszali się inaczej, naznaczeni śmiercią, która mogła być blisko. Popatrzyła na Williama unikając widoku krwi. Jego włosy, które wypadły w poprzednim stadium choroby, odrastały teraz małymi kępkami. Głowa wyglądała jak głowa lalki ogolonej żyłką przez małe dziecko. Złapała się na tym, że zastanawia się czy włosy i paznokcie rosną po śmierci. Usiadła obok Williama i leciutko klepała go po nodze.

Pierwszej nocy w szpitalu William schwycił Raya za rękę.

– Kochasz Coreę, tak?

Ray przełknął ślinę i odpowiedział cicho, nie patrząc w stronę Cory:

– Tak.

– Wiem, że tak jest, dlatego jesteś dla mnie taki dobry. Chcę wam powiedzieć czego pragnę – a jestem chory, więc musicie mi ustępować. Takie są zasady, prawda, kochanie? – popatrzył na Corę, która uśmiechnęła się blado i mówił dalej: – Cora to tak jak moja rodzina, zawsze tak było. Chcę żebyś zrobił jej dziecko. Nie musisz nic mówić, ale pamiętaj, prosi cię człowiek stojący nad grobem. Wiem jakie ono będzie. Nie myślcie, że się wymądrzam – straciłem pewne zdolności i w ich miejsce pojawiły się inne, zwykle tak jest. Wasze dziecko chce przyjść na świat, jest gotowe. Jeśli chodzi o was, nigdy nie będzie odpowiedniego momentu. Rzeczy dzieją się nie przez nasze chcenie, ale może to i dobrze? Ray, jesteś jedyną osobą, która umiałaby się zaopiekować Córá, której ona pozwoliłaby się sobą zająć. A jeśli ty się nią zajmiesz, ona da sobie radę z dzieckiem. Można na nią liczyć jeśli chodzi o wielkie rzeczy. Ty musisz zadbać o szczegóły. Wiesz co mówią – diabeł siedzi w szczegółach. Przypilnuj tego diabła, bądź z Córá. Przy was znajdzie się miejsce dla dziecka.

Zwrócił się do Cory:

– Możesz zadzwonić po moją pielęgniarkę, Cor? Gdzie jest pilot od telewizora, nie chcę przegapić „Telewizji nocą”.

Kiedy podała mu pilota, wyszeptał: – Kim jest ta dziewczyna w rogu?

Spojrzała, ale nikogo tam nie było.

– Nie ma tam żadnej dziewczyny.

William roześmiał się.

– To dobrze. Nie muszę udawać, że ją znam.

Dwa dni później zaczął umierać. Lekarz wziął Corę na bok jak tylko się zaczęło. Miał twarz żaby tkniętej apopleksją. Wielkie usta i żadnej wrażliwości.

– Czy pani, hm, jest tu szefem? – Co to mogło znaczyć? Lekarz nie czekał na odpowiedź. – Co pani o nim sądzi? Mam na myśli jego nastrój.

Cora nadal nie rozumiała.

– Cóż – dodał – mnie się zdaje, że jest w depresji.

Spojrzała mu w oczy.

– Każdy by był w takiej sytuacji. Zdziwiłabym się gdyby nie był.

Wróciła do pokoju Williama i usiadła przy nim. Wyglądał tak, jakby wydawał z siebie światło, ostatnie promienie. Odpływał, bawił się w „Spanie na Tylnym Siedzeniu”. Cora, Ray i inni przyjaciele Williama: Jon, Michael, Louisa byli przy nim, mówili do niego w chwilach kiedy odzyskiwał świadomość.

– Gdzie są moje pantofle? Gdzie są moje pantofle? – pytał jak postać z

idiotycznej angielskiej sztuki. Ale nie można niczego przynosić na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej. Jak by było pięknie – myślała Cora – gdyby istniał Oddział Intensywnej Opieki Miłosnej. Każdy pacjent dostawałby tam swój pokój i zgodę na robienie tego, co chce. Wszyscy dbaliby tylko o jedno – żeby było mu dobrze, żeby resztę swojego życia spędził w przeświadczeniu, że on i cały świat, że wszyscy są cudowni. Ale miejsce, w którym Cora czekała półtora dnia na śmierć przyjaciela, nie było takim oddziałem. Owszem, było tu miło i schludnie, pedantyczne, kompetentne pielęgniarki grzecznie odnosiły się do chorych – w końcu nie każdy wyjdzie stąd żywy. To pewnie dlatego wszystko było tu takie poważne. Ludzie poruszali się ostrożnie, w ciszy, maleńkie brzęczyki oznajmiały rzeczy ostateczne, a pacjenci leżeli spowici w pajęczyny skomplikowanych przyrządów. Podzieliła się swymi odczuciami z Rayem, a on popatrzył na nią dziwnie.

– Ray, wiem, że to wiesz. Tak sobie tylko pomyślałam. Czy już nie można myśleć?

Uśmiechnął się i oparł plecami o białą, błyszczącą ścianę. Przyciągnął do siebie Corę, jego łokcie oparły się o jej ramiona. Przysunęła się do niego, stanęła na palcach i wdychała szczególnie, nieodparty zapach jego szyi. Przesunął dłońmi po jej ramionach i plecach, podniósł i pocałował. Ten pocałunek dotarł do najdalszych, szczęśliwych zakątków ich ciał. Lont zatlił się, ładunek miał wybuchnąć. Pragnęła go. Wśród całej tej rozpacz.

William leżał w łóżku i czynił zabawne uwagi o swojej rozciętej z tyłu szpitalnej koszuli:

– Cor, czy to naprawdę ja? Nie sądzę, żeby mi to służyło. Jeśli chcesz usłyszeć prawdę, to ani trochę.

Cora usiadła na jego łóżku:

– A może bym ci przemyciła trochę coca-coli?

Oczy Williama zrobiły się wielkie jak oczy głodnego pisklęcia. Jej głodnego pisklęcia. Podawali mu coś, co przypominało litery Q rozmoczone w wodzie.

– Może rozmoczę ci twoje lekarstwo w coca-coli zamiast w wodzie? Co się stanie? Nie dostaniesz od tego AIDS.

Ray został z Williamem podczas gdy Cora targowała się z pielęgniarkami o oddzielny pokój dla niego.

– Czy zawiadomiła już pani rodzinę? – zapytał doktor o żabim wyglądzie przechodząc obok. Cora potrząsnęła głową i poszła z nim kawałek. Próbowwała się dodzwonić, ale trudno było kogoś złapać biorąc pod uwagę różnicę czasu.

Wszystkie numery telefoniczne jakie dostali od Williama wydawały się nieaktualne.

– Cóż, myślę że to absolutnie konieczne. Musi pani ich powiadomić. Ten chłopak może nie dożyć do poniedziałku. – Doktor sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd swój portfel. Z namaszczeniem podał jej wizytówkę. Przyjrzała się kartce dokładnie, szukając tajemniczych formuł i zaklęć – ale niczego tam nie było.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli będzie pani czegokolwiek potrzebowała. – Poklepał ją po ramieniu. – Chłopak jest bardzo dzielny.

Znów pokiwała głową, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć – wprawiał ją w zakłopotanie.

– Dziękuję – wydusiła, chowając wizytówkę do kieszeni.

– Nie ma za co. Wygląda na dobrego chłopaka, ten pani przyjaciel. – Potrząsnął głową. – Co za strata!

Cora przytaknęła, rozstając się z nim przy pokoju pielęgniarek. Poszła szukać coli dla Williama. Z jakiegoś powodu zaczęła sobie wyobrażać, że zakochała się w tym tłustym, niewrażliwym facecie. Zaśpiewała na jego cześć zaimprovizowaną polkę:

– Kocham, kocham, kocham, kocham, kocham wspaniałego faceta!

W windzie zaczęła się denerwować. Tak mało miała czasu żeby dodzwonić się do jego rodziców w Anglii. Kto przyniesie mu jego ulubioną poduszkę, miękki koc, trochę muzyki?

Po całej dobie nieudanych prób skontaktowania się z matką Williama powiedziano jej, że jest do niej telefon w pokoju pielęgniarek. Podniosła beżową słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, tu Wilhelmina Cadell – zagrzmiał potężny głos, bez wysiłku przekrzykując dzielącą je odległość.

– Witam panią, pani Cadell, tu Cora. – Wyjaśniła jakoś, że William może tym razem odejść. Uderzył ją ten eufemizm, „może odejść”. Tak elegancko można się wyrazić o śmierci. Pani Cadell zachowała spokój. Była dzielna, choć przygnębiona. Cora nie mogła się powstrzymać od zanotowania w pamięci, że ich głosy są podobne, pomijając angielski akcent i szczególnie, właściwy wiekowi ton pani Cadell. Zrozumiała, dlaczego William zgodził się przyjechać do niej, do Kalifornii, żeby umrzeć. Była najdoskonalszą repliką matki do jakiej mógł dotrzeć w zaawansowanym stadium choroby. Głos pani Cadell brzmiał tak, jakby przy niej wszystko miało się ułożyć. Przy niej czuło się ciepło.

Coreę niekiedy przerażał jej własny głos – hybryda hałaśliwej pewności siebie matki i wysiłków córki pragnącej prześcignąć samą siebie, przeskoczyć zdumiony tłum i poszybować dalej. Co się nie zawsze udawało.

Pielęgniarka połączyła panią Cadell z pokojem Williama.

– U mnie w porządku – powiedział ojcu tracąc kontrolę nad fizjologiczną funkcją ciała. Miał swój „sposób na śmierć” – przekonać wszystkich, że jeżeli to w ogóle nastąpi, to nie wkrótce. – Było trochę zamieszania zeszłej nocy, ale już przeszło. Tutaj jest świetnie, tato. więc się nie martw... Kocham cię.

Cora, Ray i pielęgniarka umyli go i przygotowali do snu. Rozmowa bardzo go wyczerpała. Cora posiedziała z nim, aż usnął. Potem wyszła z pokoju do Raya, który czekał na zewnątrz. Przytuliła się do niego.

– Nie wiem jak on to znosi – zauważył z rodzajem powątpiewania.

Pielęgniarka, którą Cora nazwała „aniołem oddziału HIV”, wysłała ich do domu żeby trochę się przespałi – jutro z pewnością nastąpi kolejny trudny dzień.

Ramię przy ramieniu wyszli ze szpitala, szczęściarze niezdolni rozczepić swoich dłoni, wtuleni w siebie złodzieje radości. Ray trzymał kierownicę jedną ręką, drugą szukał jej ust na swojej szyi, szczęce, podbródka. Całowali się z całą rozrzutnością życia, które w nich było, zapamiętane, tak, że omal nie wjechali do parku.

Umierający William wprowadził ich w panikę, rodzaj miłosnej pasji, jakiej jeszcze nigdy nie zaznali. Wyczerpani, wdzierali się w siebie bez słowa, niecierpliwie, wilgotni od lęku i uniesienia. Odnaleźli najdziksza cielesność swojej natury i drażnili się z nią aż do bólu, łapczywie chwytając życie, które jeszcze tam było. Szalone, bliźniacze kształty szamotały się w prześcieradłach jak wąż zmieniający skórę z nadejściem nowego księżyca. Uciekinierzy ze świata, budowali na wydmach swój kruchy dom.

– Wow – wyszeptało z uszanowaniem któreś z nich. Jednoręki bandyta skończył sypać gradem złotych monet, Cora zwinęła się w czuły kłębuszek. Spali.

Telefon znowu zadzwonił o piątej rano. W słuchawce odezwał się głos anioła ze szpitala.

– Lepiej przyjeżdżajcie. Robi to.

– Co? – pytała Cora unosząc się na łokciu. – Co robi?

Po chwili przerwy anioł oznajmił:

– Zaczął odwrót. Zaczął umierać.

Najwidoczniej jest rodzaj „odwrotu” w ostatnim stadium umierania, który

kończy się śmiercią. córce przypomniawszy się piosenka Roberta Craya: „Będę tam żeby cię trzymać w ramionach – nie bój się ciemności”. Jechali w stronę tajemnicy o tej godzinie, kiedy ulice są sprzątnięte a wyższe piętra budynków otulone mgłą, kiedy widzisz swój oddech w chłodnym, przejrzystym powietrzu. Cora kurczowo trzymała rękę Raya. Przyjechali do szpitala otuleni smutkiem. Cora patrzyła na Raya uważnie, ale nie umiała mu niczego powiedzieć o tym, co wkrótce będą musieli zrobić. O tym jak trudna i ważna rzecz ich czeka. Ray podrapał się w brodę i popatrzył na szpital jak na swego wroga. Westchnął i poprawił kołnierz, po czym weszli do budynku, który wkrótce miał pochłonąć ich przyjaciela.

W pokoju Williama panował ciemnoniebieski półmrok, coś cichutko buczało. Wokoło wisiały worki wypełnione różnokolorowymi cieciami. Cora podeszła do przyjaciela i zaczęła do niego mówić i dotykać go. Chciała żeby William odchodził jak cenna nagroda.

Dniało, on robił się coraz cichszy, coraz więcej przyjaciół gromadziło się wokół jego łóżka. Pragnęli towarzyszyć mu w tej ostatniej drodze, iść z nim najdalej jak mogli.

– Zrobiłeś co do ciebie należało. Zrobiłeś najlepiej jak tylko można. Teraz została tylko jedna rzecz, prawie nic. Leż spokojnie i pozwól żeby te wszystkie kolorowe lekarstwa wpłynęły do twojego ciała. Pozwól im działać. Zrobisz to?

– Zrobię – powiedział z rezygnacją William. – Dobrze.

Zamknął oczy.

Dalej nie mogli z nim iść. Powierzyli go morfinie. Z Anglii przyleciała siostra Williama, Rose. Siedziała przy nim i klepała go po wyniszczonych dłoniach łkając.

Cora nie mogła znieść widoku prostych linii na monitorze. Pojechali do domu i kochali się, przywracając się do życia, długo po tym, jak William przestał żyć. Spali do południa. Resztę dnia ogarnął rodzaj ciszy. Byli dla siebie uprzejmi, nawet czuli. O nic nie pytali, patrzyli tylko na siebie przerażonymi oczyma i usiłowali być blisko siebie, chwyтали się za ręce, upewniając się, że żyją. William bezpowrotnie oderwał się od ziemi, wykonał najtrudniejsze, bolesne zadanie, a to co zostało z niego przy końcu to była nadzwyczajna odwaga, humor, wola i zrozumienie.

Czy śmierć była dla niego mniej przerażająca kiedy oni w niej uczestniczyli, asystowali mu, kochali przy przejściu z jednego świata do drugiego? Czy zostawił ich bardziej zżytych ze sobą, bliższych sobie, świadomych tego, co nieuchronne?

Wczesnym wieczorem przyjechał brat Williama, Simon. Zdecydowano, nie umawiając się nawet, że Rose i Simon zatrzymają się u Cory. Niezdolni do planowania czegokolwiek siedzieli w kuchni Cory rozmawiając przyciszonymi głosami o przebytej podróży. Cora zajęła się przyrządzaniem zaimprovizowanej przekąski, za którą wszyscy byli bardzo wdzięczni, choć nikt nie przełknął ani kęsa. W pewnym momencie zadzwoniła z Nowego Jorku żona Williama, Adele. Poślubił ją bardzo dawno temu, żeby dostać zieloną kartę.

Zmierzch opadł leciutki jak mgiełka, jakby nie chcąc obarczać ich sobą po stracie brata i przyjaciela. Cora pokazała Rose i Simonowi pokój, w którym William spędził ostatnie tygodnie życia. Stali we troje w progu, wpatrując się w przestrzeń, która tak niedawno należała do niego. Ray zmagął się tymczasem z bagażami Simona. Ustalili, że Rose będzie spała w łóżku Williama.

Simon rozejrzał się po pokoju.

– To miło, że miał takie przyjemne miejsce, kiedy... Chciałem powiedzieć, że to wspaniałe, że byliście dla niego tacy kochani – odezwał się niezgrabnie. Odchrząknął i podszedł do czarnej laski Williama, która leżała obok szafy przy łóżku. Przypominała laskę, dzięki której Natalie Wood w „Cudzie na 34. ulicy” uwierzyła w Mikołaja.

– Kochałam go – powiedziała najdelikatniej jak potrafiła Cora, starając się nie akcentować zbyt miłości – uczucia, które boli od wewnątrz. Simon mógłby być bliźniakiem Williama, miał może nieco ostrzejsze rysy i zdecydowanie heteroseksualne upodobania.

Corę przejmował do głębi ten zdrowy wizerunek przyjaciela, poruszający się jak tancerz. Rose też na niego popatrywała. Dłoń Simona przesuwiała się po stoliku nocnym i ustawionych tam lekarstwach, szukając śladów duszy zmarłego brata. Na jego twarz padało światło lampki nocnej i Cora spostrzegła, że Simon płacze. Przez moment poczuła się oszołomiona, oszołomiona od tych wszystkich łez, których nie wylała. Była pocieszycielką, nie pocieszaną. Teraz, kiedy William odszedł, wszystkie tkliwe uczucia, które do niego żywiła, były bezpańskie. Należały do niego, a on nie zabrał ich ze sobą tam, dokąd poszedł.

Rose podeszła do brata i objęła go. Do tej pory było ich troje, a teraz jednego ubył. Nie przeżyliby kolejnej straty. Rose przygotowała herbatę, a Ray zrobił sobie drinka, alkohol z lodem i cytryną. Simon wziął prysznic i włożył ciemne

ubranie. Cora chciała im powiedzieć coś o ostatnich dniach Williama. Jakieś miłe, zgrabne rzeczy, tak żeby nikt nie płakał.

– Lubiała kiedy go woziłam po Mulholland. Słuchał wtedy REM-u na kompakcie. Zamierzał wrócić do Anglii, żeby być z rodziną. Nie umierać. Zobaczyć was, rodziców, żyć.

Rose z namysłem mieszała herbatę, para buchała jej w twarz.

– Nigdy nie wierzyłam, że on naprawdę umrze – powiedziała cicho. – Tyle razy przedtem był blisko...

Był blisko – myślała Cora – coraz bliżej i bliżej aż wreszcie nie było już nic pomiędzy nim a śmiercią.

– Więc co... – zaczął z wahaniem Simon – co teraz zrobimy? To znaczy, on ciągle jest przecież w szpitalu.

Ciężko było Córce wyobrazić go sobie gdziekolwiek.

Ray, wciąż nie ogolony, wychylił się w stronę piekarnika.

– Ciało trzeba przenieść do domu przedpogrzebowego – powiedział głucho. – Do takiego, który przyjmuje zmarłych na AIDS. I musicie postanowić gdzie – jeżeli w ogóle – chcecie go pochować.

– Chciał być skremowany – poinformowała Rose, wpatrując się w filiżankę jakby torebka z herbatą powierzała jej swoją ostatnią wolę. – Zostawił swoje życzenia odnośnie do pogrzebu swojemu przyjacielowi w Nowym Jorku. Nie chciał jechać do domu w pudle, w workowatych spodniach i wielkich butach clowna.

Cora uśmiechnęła się:

– Tak właśnie powiedział?

Rose przełknęła herbatę i spojrzała na nią z poważną miną.

– Nie chciał na nikim polegać w kwestii stroju. Zawsze mawiał, że to zbyt poważna decyzja, wybrać garnitur na całą wieczność. Chciał żeby go skremować i włożyć do urny, która będzie rodzajem oświadczenia. A potem jedno z nas miało ją zawieźć do mamy.

– Kto ma wybrać tę urnę? – zapytała Cora.

– Cóż, przypuszczam, że my troje – Rose zwróciła się do Raya. – O ile oczywiście nie chcesz się przyłączyć?

Ray popatrzył na Corę szukając u niej pomocy.

– Nie może już więcej zwalniać się z pracy – powiedziała szybko. – Chyba więc pójdziemy rano we troje.

Ray pożegnał się z nimi i poszedł spać. Cora zrobiła Rose i Simonowi gorące

kakao, pokazała jak wyłączyć światło i wyszła, pozwalając im pobyć samym, dzwonić do rodziców, palić – stwarzając pozory normalności.

W sypialni Ray zapalał świece po obydwu stronach łóżka.

– Nie pójdziesz na pogrzeb – powiedziała podchodząc do niego i obejmując go. Ray uściskał jej dłoń i przyciągnął do siebie, na łóżko.

– Jak ty tam wytrzymasz? – zapytał całując ją. Pokój wypełnił zapach jaśminów. Leniwie oddawała jego pocałunki, on odgarniał włosy z jej czoła.

– Muszę się przygotować – odpowiedziała, ale nie słuchał jej. Przypomniała sobie, że zanim skończył osiemnaście lat stracił kilkoro przyjaciół – niezwykle dużo zważywszy, że nie było wojny. Rzadko rozmawiali o tym okresie jego życia i właściwie nie wiedziała jak zniósł te straty. Czy został mu lęk przed przywiązaniem się do kogoś? Czy tylko przy niej czuł się bezpieczny? Coś jej mówiło, że bliżej siebie już nie mogli być – wszystko ponad to byłoby skażone kłamstwem, fałszywe. I znów ich cienie na ścianach walczyły o to, co zostało z tej bliskości, spowite w jaśmin i kosztowne prześcieradła.

Patrzyła na jego twarz kiedy już zasnął – spokojną, bezbronną i pustą jak kieszeń żebraka. Jego rysy były miękkie i łagodne, odległe. Zupełnie inne niż za dnia. Jakiej energii musiała od niego wymagać jego twarz. Czy w ogóle tu był? A może jakaś część Raya wciąż uważnie obserwowała świat oceniając ile tracił z siebie z każdym oddechem, z każdym gestem, jak dalece przybliżał się do ludzi. Zmarszczył się przez sen i odwrócił, uciekając przed jej spojrzeniem.

Kiedy znowu przyjdzie to, co było przedtem? Ile czasu musi minąć zanim rozhuśtane morze uciszy się i wróci do normalnego stanu – rozczarowania. Kiedy znowu staną się sobą – parą, która nie potrafi ani się pobrać, ani rozstać – ale w jakiś sposób potrafiła pomóc odejść ukochanemu przyjacielowi.

Następnego ranka Cora pocałowała Raya jakby wybierała się na wojnę, potem zjadła śniadanie z Rose i Simonem – omlety serowe i tosty z masłem i dżemem. Zamierzali pojechać do miejsca, w którym ciało Williama miało być poddane kremacji żeby wybrać urnę i pozalać formalności. Mieli jechać w stronę Valley – Cora jeszcze nigdy tam nie dotarła.

Przejrzeli ubrania Williama, szukając czegoś odpowiedniego. Simon miał na sobie jedną z marynarek brata, wciąż przesiąkniętą jego zapachem.

– A może to? – zasugerowała Cora, podnosząc biało-niebieską, roboczą koszulę. – Uwielbiał ją, bo jest taka miękka.

Spojrzeli po sobie, każde z ubraniami Williama w rękach. Nagle, jakby coś w nich pękło, zaczęli się śmiać.

– To takie śmieszne, prawda? – wykrztusiła Rose ocierając łzy z oczu. – Przecież on i tak nie poczuje swojej miękkiej koszulki, a kto oprócz nas zobaczy?

Cora z trudem schwyciła oddech. W jednej ręce trzymała teraz czerwoną bandankę Williama.

– Nigdy nie wiadomo kto się trafi. Nie zapominaj, że to Los Angeles. Tutaj wygląd się liczy, nawet jeśli umarłeś albo jesteś nieznany – co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

Simon usiłował przywrócić odpowiednią do sytuacji powagę.

– Uspokójcie się moje panie, musimy się jakoś trzymać kupy.

– Zanim on się przestanie trzymać kupy – dokończyła Cora, wywołując kolejny napad śmiechu.

– Chciałby żebyśmy się śmiali, prawda? – Rose próbowała jakoś usprawiedliwić ich wesołość. – Chciałby, żebyśmy się śmiali, i chciałby, żebyśmy ubrali go w styl, do jakiego przywykł.

Stanął na niebieskiej koszuli, najlepszych dżinsach, białych skarpetkach i bandance. Czuli się zobligowani ubrać go wygodnie – tak cenił sobie wygodę.

Cora zatrwożyła się nagle. Jak przetrwa to, co ich czeka? Musieli przyznać się, że William nie żyje, nie żyje ostatecznie i definitywnie, musieli przestać się o niego troszczyć. Do tej pory tak bardzo jej potrzebował, właśnie jej powierzył zaszczyt ulżenia sobie w cierpieniu. Ona i Ray dorosli do jego śmierci, zrobili coś, co zaskoczyło ich samych.

Droga niczym się nie wyróżniała. Simon przyczepił do szyby kartkę z zaznaczoną trasą. Siedział obok Cory, która wiozła ich coraz dalej i dalej, w stronę niskich wzgórz, na wpół schowanych w ciemnych chmurach. Rose paliła przy otwartym oknie. Do środka wpadał ciepły, wilgotny wiatr.

– Ray to chyba dobry facet – stwierdził Simon. – Tyle dla nas robi, a przecież wcale nas nie zna.

Mijali auto-komisys, sklepy z częściami, małe cukiernie i niskie budynki z meksykańską kuchnią.

– Właściwie ciebie też tak naprawdę nie znamy. Ale tak długo przyjaźniliście się z Willem i tyle o tobie słyszeliśmy...

Jechali dalej, zostawiając za sobą magazyny.

– Nie wiem, co bym bez Raya zrobiła – powiedziała Cora. – Niewielu ludzi... – przerwała, rozglądając się za skrzyżowaniem.

Okazało się, że dom przedpogrzebowy to niski budynek przy zjeździe z głównej

ulicy. „Przedpogrzebowy Dom Opieki” – głosił złoty napis na szklanych drzwiach. Zabawne, jak słowo „opieka” pasuje do umierania i śmierci. Opieka domowa dla chorych, intensywna opieka lekarska dla umierających, opieka nad tym, co z człowieka zostaje po śmierci. Kiedyś każdy musi skorzystać z tych form „opieki”, nie sposób tylko przewidzieć kiedy.

Mały dzwonek zabręczał ostro kiedy wchodzili do korytarza o niskim suficie. Cora miała wrażenie, że w budynku brakuje powietrza, ale może nigdzie nie było dość tlenu na to, co mieli zrobić. Brakowało jej Raya, jego bliskości, jego dłoni na plecach. Złapała się na tym, że patrzy na profil Simona. Był tak podobny do Williama, że z trudem powstrzymywała się, żeby go nie dotykać. Peszyło ją to, że odkryła w swoim stosunku do niego jakąś odrobinę erotyzmu.

Zmieszała się, odwróciła się od Simona i spojrzała na otwierające się drzwi w holu. Wszedł z nich mały człowieczek o czarnych, farbowanych włosach i wąsach. Powoli zbliżał się do nich. Miał na sobie za krótkie, pastelowe, miękkie spodnie i czarne buty ze sprzączkami. Podeszedł najpierw do Rose i podał jej rękę.

– Albert Blackstone, gospodarz domu – powiedział z atencją, spoglądając na nią spod imponujących brwi. – Witam panią.

Poprowadził ich przez małe wejście do niskiego pokoiku. Naokoło przy wszystkich ścianach stały półki, a na nich rozmaitych kształtów i rodzajów urny. Pośrodku pokoju królował stół z albumem pełnym wycinków prasowych i pojemnikiem na wizytówki i ulotki, do połowy zapełnionym.

– A oto dostępne u nas urny na prochy drogich zmarłych.

Gestykulował, wskazując rozmaite pojemniki, od zupełnie prostych aż po bardzo wyszukane. Córce wiele z nich przypominało pozytywki i zastanawiała się, jakie melodie każda z nich wygrywa „drogim zmarłym”.

Podeszła do czegoś, co okazało się kulą ziemską wykonaną w marmurze.

– Kogo można by tu umieścić? – zadała pytanie w powietrze.

– Pragniemy mieć coś dla każdego, chcemy zadowolić każdy gust. – Pan Blackstone z dumą zatoczył wkoło rękami. Cora miała ochotę zapytać go jak doszło do tego, że pracuje w tak szczególnym miejscu. Czy to powołanie, czy jakieś fatalne wyroki losu, niszczący romans albo czyjś świeżo wykopany grób? – Staramy się mieć na bieżąco pełen asortyment naczyń dla ukochanych zmarłych, żeby każdy mógł wybrać coś, co mógłby potem ustawić w centralnym miejscu domu.

Pan Blackstone podał im katalog z cenami i cała trójka nachyliła się nad nim, dokonując makabrycznego i kosztownego wyboru, jakby było to coś do czego już

przywykli, co bez wątpienia znów będą robić.

Simon przeciągnął dłonią po wąskim pojemniku z małą gondolą.

– Will zawsze lubił Wenecję – zauważył smutno. – Ale nie wiem czy na tyle, żeby przeleżeć pod nią całą wieczność.

Rose odwróciła spojrzenie od urny, która wyglądem przypominała rakiety.

– To absurd – stwierdziła. – To znaczy, to naprawdę absurd, czyż nie? Może jeszcze nie doszłam do siebie po podróży i wszystko wydaje mi się nierealne?

Cora ze stolika w rogu podniosła coś ciężkiego, co wyglądało na brąz.

– Myślę, że spodobałoby mu się to. Wygląda jak z „Indiany Jonesa”.

Podeszli bliżej, oglądając urnę i wyrażając swoje ukontentowanie.

– Tak – powiedział Simon. – Jest doskonała. Ma ironię i majestat.

– Przydałby się jeszcze mały kapelusik – dodała Cora.

Po wybraniu urny przeszli do trumien. Pochylali się nad albumem z wycinkami w dużym pokoju, popijali kawę i pocili się.

– Nie ma sensu kupować drogiej trumny – powiedział Simon, gapiąc się na białą, wyłożoną satyną. – I tak ją spalą.

Cora wzdrygnęła się. Trumna kosztowała trzysta dolarów.

– Musimy znaleźć złoty środek, coś pomiędzy pogrzebem króla i chorego na zarazę.

Corę uderzyło to niefortunne porównanie. Ale w tej atmosferze wszystko miało tak wiele znaczeń. Jakiś szczególny prąd otaczał ich zakupy. Uciszyli się na chwilę. Simon miał wciąż na sobie marynarkę brata i w miarę jak robiło się gorąco, wokoło rozchodził się gęsty, niepokojący zapach Williama. Wybrali ostatecznie prosty model z drewna mahoniowego, wyłożony czymś podobnym do wełny. Wyglądał prawie elegancko. Podczas gdy czekali aż pan Blackstone wypisze kwity, Cora machinalnie zaczęła przerzucać kartki katalogu trumienek dla dzieci i niemowląt, w różnych rozmiarach. Chciała zatrzasnąć książkę i odłożyć ją na bok, ale przejrzała ją od deski do deski. Życie nie przeżyte, czasem nawet bez słów. Pocieszała się, że zmarłe dzieci nie rozumiały swojej sytuacji. Ale co z rodzicami – co z tymi, którzy muszą wybrać trumnę dla ukochanego dziecka? Którą wybrać? Tę z aniołkiem, z duszkiem czy z ptaszkiem? Skuliła ramiona i podeszła do małego, szarego okna.

Zdecydowali się na „tradycyjny pogrzeb z kremacją”, w cenę wliczano balsamowanie zwłok albo inną usługę według życzenia. Córce wydało się śmieszne, że prawo wymagało uzyskania zezwolenia na „dysponowanie ciałem” – oznaczało to, że musiałeś zapłacić państwu siedem dolarów, żeby w świetle prawa

spalić kogoś. Miała być nagrana muzyka i taśmy z modlitwami w miejscu nazywanym Świątynią Sosen. Cora wypisała czek na dziesięć tysięcy dolarów i szykowali się do wyjścia.

– Jezu, to okropnie dużo kosztuje, wydostać się z tej planety – stwierdziła. – Ciekawe jak to się ma do kosztów przyjscia na świat?

Ani Cora, ani Rose nie chciały uczestniczyć w ceremonii. Zdecydowano, że pojedzie Simon, ubierze Williama i odprowadzi go do krematorium – Williama, jego ubranie i trumnę wyłożoną czymś podobnym do wełny. Odtąd powstanie nierozdzielny na całą wieczność związek osoby, ubrania i trumny – pozbawiony ducha i złożony w Świątyni Zmarłych Indiany Jonesa. Czy ciało opiera się ogniewi? Ile czasu trzeba, żeby kości zamieniły się w popiół? Rzeczy, o których się nie myśli, a które przytrafiają się wszystkim i to zbyt szybko.

Cora obudziła się rano czując ciepło Raya obok siebie. Przysunęła się do niego i przytulili się do siebie jak zwykle po obudzeniu. Ale większość namiętności uleciała z ich miłości, Cora przeczuwała zbliżające się wielkimi krokami inne uczucie. Przyłapała się na tym, że myśli o Simonie, który jechał teraz do Van Nuys, do budynku z dymiącymi kominami i Świątynią Sosen. Czy myślała o Simonie, czy też o Williamie? Zdawało jej się, że jeden przeszedł w drugiego. Czują oddech Raya obok siebie, czują, że patrzy w jej zamyślane oczy. Pierwszy raz od jakiegoś czasu nie miała nic do powiedzenia. Teraz, kiedy minęło zamieszanie i pośpiech umierania Williama, które tak bardzo ich ze sobą złączyło, teraz było między nimi więcej słońca, więcej czasu na pracę, na telefony, nawet na sen. Wtedy patrzyli na siebie ponad łóżem śmierci Williama, z taką wdzięcznością, zaufaniem i ulgą. To właśnie śmierć daje żyjącym miłość dla towarzysza-żołnierza, walczącego po tej samej stronie w bitwie, która i tak ma z góry przesądzony wynik. Muszą patrzeć jak wyslizguje się z kogoś życie, z męstwem dotrzymywać mu kroku, widzieć sztorm, który zatapia czyjś statek, wystawieni na zmienne poddmuchy miłości, lęku i ciszy. Ray był jej bohaterem, ona bohaterem Williama – a on sam największym bohaterem z nich wszystkich. Trwali razem w okopach, słysząc jak kule gwizdzą nad ich głowami, zegnali się ostatnim żołnierskim pocałunkiem. Ray był jej konfederackim szpiegiem, razem mogli biec przez dolinę śmierci krzycząc „Hurra!” Z mężczyzny takiego jak on niełatwo zrezygnować. Ale wiedziała, że nadchodzi koniec. Teraz, dzień po zacieklej walce o z góry stracone pozycje, o przyjaciół, o zdrowy rozsądek była wyczerpana i samotna.

– Uch! – jęknęła.

– Co? – zapytał Ray, całując jej twarz i skrzywione usta. – To po prostu technika pozbywania się nieprzyjemnych myśli, którą czasami stosuję.

Wtuliła się w jego ramię.

– Kremacja ma być dziś rano, tak? – spytał cicho.

Cora wstrzymała oddech, potem powiedziała:

– Tak.

Ray wyszedł do pracy, schludny, w miękkich szarych spodniach i białej koszuli. Cora, dla kontrastu, włożyła coś bardzo obwisłego i bardzo długiego, co rozpaczliwie pragnęło ześliznąć się z niej na podłogę i pozostać tam jak manifest ambiwalentnych uczuć.

Umówiła się z Budem na spotkanie w sprawie filmu, który mieli razem robić w Nowym Jorku za kilka tygodni. Mieli poprawiać romans, ich pierwszy, zatytułowany „Umarli i poślubieni”. Problemem były tu okoliczności zewnętrzne, to one niszczyły związek. Należało przerobić ten film, żeby zniszczenie następowało od wewnątrz. „To praca wewnętrzna” – śmiał się Bud, używając żargonu, którego się nauczył podczas swego długiego i pozbawionego sukcesów członkostwa w AA. Cora lubiła szczególnie przemowy matki do córki „Małżeństwo to pakt i – w założeniach – bez wyjścia. Moje pokolenie zrozumiało to. Twoje nie. Jeżeli pozwolisz sobie na jakiś skok w bok, jestem pewna, zrozumiesz to” („jestem pewna” zostało potem usunięte).

Nie znaczy wcale, że Cora rzeczywiście wierzyła w matczyne doświadczenie. Co prawda jej matka rzadko kiedy była niezamężna – najpierw z ojcem Cory, potem z niewiarygodnie niewerbalnym Bobem, właścicielem posiadłości ziemskiej, który większość czasu spędzał na Florydzie. Viv nie tyle bardzo lubiła mężczyzn, ile potrzebowała ich jako abstrakcji.

„Ogólnie mówiąc mężczyźni to samolubne parszywce, ciągle współzawodniczą ze sobą i po prostu nie mogą znieść, jeśli masz pracę – szczególnie tak dobrą czy lepszą od ich pracy. A ja zawsze pracowałam, musiałam zatem mieć odpowiedniego mężczyznę. Choć moim zdaniem, tak naprawdę nie ma odpowiednich mężczyzn – może oprócz Rossa Perot, ale on ma te okropne małe zęby. Musisz po prostu radzić sobie tak, jak jest, to wszystko. Sytuacja nie jest i nie będzie doskonała, a w ostatecznym rozrachunku okazuje się, że większość kobiet jest po prostu za dobra dla większości mężczyzn. Nie zasługują na nas. Są dobrzy głównie do robienia dzieci, choć teraz może ich zastąpić bank spermy. Ale ciebie mam od jednego z nich, i to wynagradza mi te pieniądze, które on mi przetracił i ból, jaki mi sprawił. Mówię tylko – zawsze miej swoją, oddzielną kasę i nie licz na nich za bardzo. Tylko popatrz na Paulette Goddard. Była niezależna i bogata całe życie, i zmarła w Paryżu z uśmiechem na twarzy”.

Bud szeroko otworzył drzwi na jej przywitanie, ostentacyjnie manifestując swoją desperację.

– Oto anioł litości – powiedział smutno kiedy Cora przesunęła się obok niego wchodząc na dziwne, pustawe poddasze.

– Co się stało? – zapytała.

Bud zmarszczył czoło, zaśmiał się głucho i wisielczym tonem obwieścił:

– Camille i ja rozwodzimy się.

Po chwili zastanowienia dodał:

– Chwilę. Rozwodzimy się czy bierzemy rozwód? – był wyraźnie zmieszany. – To czasownik czy rzeczownik? Rozwodenie się to jakaś czynność, dobrze mówię? A rozwód to rodzaj rzeczy, czyż nie?

Cora gapiła się na niego niewidzącymi oczyma. Bud odchylił głowę i wpatrywał się w sufit.

– Poślubiłem ją, wiesz? – powiedział tępo. – Poślubiłem ją sześć tygodni temu, a teraz to już skończone. Słuchaj – ożywił się nagle – próbowałem być człowiekiem – ale kiedykolwiek to robię, zawsze kończy się na tym, że słyszę jakim to jestem dziwacznym kosmitą – przerwał, splótł palce i zaczął je wyginać, aż trzeszczały w stawach.

Corę przeszły mrówki.

– To nie jest jasne, czy jest? – ciągnął. – Chcę wyrażać się precyzyjnie. – Przestał chodzić. – Budziłem się przy tej kobiecie każdego dnia, nie wiedząc gdzie jestem, w jakim kraju... Mówiła mi codziennie: „O co chodzi?” A ja zaczynałem się zastanawiać. Pamiętaj, że jestem Żydem, dla Żyda takie pytanie to prowokacja. Zastanawiałem się zatem i odpowiadałem: „O nic, czemu pytasz?” Wtedy ona mówiła: „O, to nic ważnego. Po prostu wyglądasz tak... – zresztą to naprawdę nic takiego. Zapomnij o tym”. Zapomnij? Czułem się całkowicie odrzucony. Ciche dni trwały coraz dłużej, a po jakichś dwóch tygodniach poszliśmy do poradni małżeńskiej.

Zaczął się śmiać i potrząsać opuszczoną głową.

– Żałuj, że nie widziałas miny tego faceta kiedy powiedzieliśmy mu, że jesteśmy miesiąc po ślubie. Tak czy siak, poradził nam, żebyśmy nigdy nie kłócili się w domu, że jeśli kiedykolwiek poczujemy, że nadchodzi kłótnia, mamy wskakiwać do samochodu i jechać gdziekolwiek, na przykład do kawiarni i tam się kłócić.

Uderzył dłonią w czoło i przesunął nią po twarzy.

– Dlaczego nie pozwolił wam kłócić się w domu? – skwapliwie spytała Cora, siedząc na brzegu łóżka. Była szczęśliwa, że odzyskała przyjaciela.

– Och, nie pytaj, proszę! Chodziło o to, że dom byłby zbyt trujący. To znaczy, chyba żebyśmy nie kojarzyli domu z kłótniami. Niestety, teraz źle mi się kojarzy około tuzina kawiarenek, łącznie z moją ulubioną.

Usiadł obok Cory na łóżku, wypompowany z emocji, wycieńczony. Potem zwrócił się do niej i spytał z przesadnym ożywieniem:

– A jak tam u ciebie?

Sięgnęła do torebki, wyjęła stamtąd paczkę papierosów i zapalniczkę. Powoli

przypaliła, zaciągnęła się i wypuściła dym nosem.

– Czy mogę zadać ci pytanie, ale na poważnie, bez żartów?

Bud przybrał wyczekującą pozę.

– Co myślisz o Rayu?

Patrzył na nią przez chwilę, mrugając oczyma.

– Hm, cóż, niech się zastanowię. Nie spodziewałem się takiego pytania. Naprawdę poważne. Co myślę o nim jako co?

Cora zamknęła oczy. Zastanawiała się.

– Ja i on. Co myślisz o nim i o mnie jako... jedności?

– Jedności? – wyduł usta. – Cóż, wygląda na to, że jest dla ciebie naprawdę dobry. To znaczy – to cudowny facet, bardzo uczynny. Pamiętasz to przyjęcie, które wydałaś dla Normy? Był wspaniały, robił drinki i wyglądało na to, że naprawdę się wczuwa.

Cora przerzuciła kilka stron pamięci, szukając obrazu uczynnego, wczuwającego się Raya.

– Czy on... – zaczęła wolno – czy on zrobił za wiele drinków?

Bud zmieszał się, nie bardzo wiedział o co jej chodzi.

– Masz na myśli, że upijał ludzi?

– Nie – powiedziała Cora. – Wiesz co mam na myśli. Czy zrobił zbyt wiele drinków dla zbyt wielu ludzi?

Bud podrapał się po twarzy.

– Cóż... hm... jest prawnikiem, tak? A prawnicy zazwyczaj są uczynni.

Patrzył na nią z błyskiem w oku. Cora zgasiła papierosa.

– Dzięki – powiedziała krótko, odgarniając włosy z oczu.

Bud padł na kolana.

– Och, Cezarku, nie złość się. Jestem ci taki wdzięczny! – Dotknął jej kolana. – Czy źle ci odpowiedziałem? – pytał prosiącym tonem, zaglądając jej w oczy.

Zmarszczyła brwi.

– Nie.

Wyszła od Buda po piątej. Niebo było zachmurzone, od morza wiał chłodny wiatr. Byli zbyt poruszeni, żeby solidnie pracować. Postanowili spotkać się następnego dnia rano, kiedy otrząsną się trochę z przykrych wrażeń.

– Dobranoc, gladiatorze! – zawołał do niej Bud, stojąc w drzwiach. Ale Cora już odjechała.

Była w domu około szóstej, po drodze widziała wypadek. Podjeżdżając do

bramy zobaczyła Simona, który usiłował ją sforsować. Wysiadła z samochodu i podeszła do niego. Odwrócił się w jej stronę, jego twarz była blada i przerażona.

– Dzięki Bogu! – jęknął i schwycił ją w ramiona.

– Co się dzieje? – zapytała odwzajemniając uścisk. Nie wypuszczał jej, chwiał się na nogach. Czowała od niego lekki zapach marihuany.

– Och, to było okropne, po prostu straszne – jęczał, odsuwając się trochę żeby widzieć jej twarz.

– Widziałem jak to pudło, ta nieszczęsna trumna zjeżdża po platformie aż do tej okropnej rzeczy. A kiedy już prawie była za drzwiami, zobaczyłem jego skarpetkę. Wystawała z trumny. Ta biała skarpetka. Może mi się przywidziało. Ale to się ruszało! Potem siedziałem na zewnątrz aż do końca.

– To straszne – powiedziała Cora. Wypuścił powietrze i lekko się zachwiał. Cora przytrzymała go.

– Potem znalazłem skręta w jego marynarce i zapaliłem na parkingu. A potem... to było jakbym godzinami jechał z jego prochami i tak okropnie bolała mnie głowa. Nie mogłem się zorientować gdzie jestem. Po jakimś czasie zacząłem mówić do Willa, opowiadałem mu wszystko. Jak za nim tęsknię, jak go kochałem, jak mi przykro z powodu tej skarpetki i marynarki. Znowu objął Corę, a ona poklepała go po plecach.

– Już dobrze. To minie, przyrzekam.

Pokiwał głową obok jej głowy, wiatr szeptał w koronach drzew za ich plecami. Czowała się jak osioł, pocieszając go w tak naiwny sposób, jaki Ray praktykował wobec niej, w jaki nie wierzyła. Ale miło było słyszeć słowa pocieszenia, a Cora nie wiedziała, co innego mogła mu powiedzieć.

– Jeszcze coś – odezwał się Simon. Czowała jego oddech na swojej szyi.

– Powiedzieli mi coś, co mnie prześladowuje. Nie mogę przestać o tym myśleć. Ten facet tam powiedział, że kiedy cię spalą i spopiela kości, zostają tylko ziarenka mniejsze od ziarenek piasku. To wszystko co zostaje, rozumiesz? Wzięło mnie to. Rozebrało mnie całkowicie, myśl o Willu takim... bez wartości.

Stali na podjeździe w milczeniu, przytuleni, czując swoje oddechy i bijące serca, kiedy nagle zza rogu rozbłysły światła i wyjechał samochód Raya. Simon odskoczył od niej i nerwowym gestem dotknął głowy.

– Hej! – zawołał Ray, otwierając okno. – Co tu robicie?

– Simon nie mógł wjechać – pośpieszyła z wyjaśnieniem Cora, idąc do swojego wozu. – Miał dziś zły dzień. Wiesz, z tą kremacją.

O Boże, żeby się nie czepiał – pomyślała – nie w tej chwili. Zaparkowała

samochód za autem Raya. W lusterku wstecznym widziała jak Simon idzie w ich stronę z prochami Williama pod pachą. Ziarenka piasku – pomyślała – to dobry tytuł. Musi to powiedzieć Bud owi.

Tej nocy czekała aż Ray powie coś o tych uściskach z Simonem, ale on wśliznął się tylko do łóżka przytulając swoje zimne stopy do jej stóp, szukając codziennej porcji czułości, już mniej gwałtownej niż dawniej. To co było między nimi, przybierało inne formy.

– Kocham cię – powiedział, wciągając ją na siebie. Nie odpowiedziała, przytuliła go tylko mocno, z całej siły zaciskając powieki.

Miłość, która im jeszcze została, trzymała się teraz na dystans. Na początku uczucie przesłaniało wszystkie niedostatki i braki. On nadal mówił, że ją kocha. „Kocham cię, dobranoć”. „Pa, kocham cię”. Ale czy mówił to po to, żeby sobie przypomnieć, czy chciał tym magicznym zaklęciem ożywić umierające uczucie? Jego słowa rozbrzmiewały w pustce, jak katechizm błędzącego katolika.

Musi być coś innego, jakieś inne związki – pomyślała. – Oczywiście, nikt nie jest święty, zdarzają się chwile zwątpienia, osamotnienia, rozczarowania. Ale istnieją przecież uczciwe umowy – porozumienia o wspólnym przedzieraniu się przez życie, pakt o nieagresji, traktaty o współpracy. Większość rzeczy można jakoś wspólnie poukładać, a tych kilka drobiazgów przechodzi mimochodem.

Są przecież plastry na zranione uczucia, lekarstwa na nagromadzone przez lata urazy – kiedy się mówi o tym, co dobre, nie o tym, co złe.

Ray zapadał w głęboki sen, jego oddech wydłużał się i uspokajał. Cora dotknęła leciutko jego szyi i ramienia. Między nimi były dwa serca. Zazgrzytał przez sen zębami, niszcząc spokojną urodę chwili.

Powolutku odsunęła się od niego, ostrożnie układała się do snu, starając się go nie obudzić. Nagle rozbłysły w ciemnościach jego otwarte oczy. Na wpeł przytomny schwycił ją mocno.

– Nie! – krzyknął. – Trzymam cię.

Patrzył na nią mrugając oczyma, dochodząc do siebie, starając się obudzić i zrozumieć co się dzieje. Czekala. Puścił ją, odprężył się i spojrzał w sufit.

– Jezu, przepraszam. Śniło mi się, że spadasz z łóżka. – Poklepał ją, odwrócił się i zasnął.

Poszukała pilota i włączyła telewizor. Jakaś kobieta czytała wiersze o stracie piersi w wyniku raka. A co gdyby była teraz sama, jak William, schwytana w pułapkę czegoś nieuniknionego, ostatecznego i nieznanego?

Dotknęła Raya, chciała się przy nim uspokoić, ale nawet się nie poruszył.

Zastanawiała się czy ktoś będzie przy niej kiedy nadejdzie pora odejść z tego świata. Pomyślała, że będzie, ona będzie.

– Kocham cię – wyszeptała do Williama, wpatrując się w ciemność. Przykryta ciężkim ramieniem Raya usnęła.

Następnego ranka wiał silny wiatr, oczyszczając powietrze ze spalin. Wszystko lśniło tak, że Cora aż mrużyła oczy. Wybierali się na południowe nabożeństwo w kościele Dobrego Pasterza, gdzie miała być uczczona pamięć Williama i gdzie miał on otrzymać błogosławieństwo od Boga jego dzieciństwa.

Myła zęby stojąc obok Raya, który golił się, zupełnie nagi.

– Czy wkładamy coś czarnego? – zapytała, płucząc usta. – To właściwie nie jest pogrzeb, prawda? Raczej wspomnienie albo msza za niego.

Ray przejechał żyłką po szyi.

– Chyba nie jestem ci potrzebny do tych rozważań.

Nie wiedziała czy jego mina to uśmiech, czy grymas.

– Może ciemny granat – kontynuowała, wklepując krem nawilżający w twarz i szyję. – Nie wesoły, ale i nie bardzo smutny. – Pokiwała do lustra z zadowoleniem i wyszła z łazienki.

– Ray, widzę twój penis. To zły znak przed kościołem, wiesz?

Kościół, łuki na sklepieniu, witraże w oknach, pokój i miłosierdzie wzruszały ją do łez.

Może gdyby potrafiła płakać mogłaby stać się jedną z nich, pokornych parafianek. Nawet być zbłąkanym katolikiem byłoby lepiej niż być uduchowioną osobą stale nienasyconą w dziedzinie życia duchowego. Chrystus wisiał na swoim krzyżu ponad ołtarzem. Nie wyglądał jak zbawiciel, raczej jak ocalony z Aushwitu – jak William pod koniec, z brodą i drugimi włosami. Spustoszone ciało, głowa bezwładnie przechylona na jedną stronę, atmosfera wyczerpania, podniosły, zmęczony pokój. Siedząc pomiędzy Rayem i Simonem Cora słuchała słów kapłana. „Żyjemy jak poddani, wspomagając się nawzajem i kierując wzajemną miłością”. Cora zamknęła piekące oczy. Kapłan mówił o „chwalebnej tajemnicy” i prosił Jezusa żeby „odnowił nas, wzniosł nasze serca”. Wzywał do modlitw o pokój i zbawienie dla całego świata. „Ojcze, usłysz wołanie Twoich dzieci, które z Twojej łaski zgromadziły się tutaj”. Cora przesunęła dłonią po jasnym, gładkim drewnie ławki przed sobą. Może gdyby była pełna łaski, nie musiałyby łkać w otoczeniu nawróconych grzeszników i witraży. T. S. Eliot był religijny – jej Chrystus nie nawróci, ona jest przecież pismakiem.

Ray sięgnął do jej dłoni. Jego była ciepła i miękka – nie pachniała duchem i chwałą, i królestwem Bożym. Pomocna dłoń chłopaka z Południa.

Choroba i zniszczenie, które otaczały ich związek, to, co złączyło ich mocniej niż cokolwiek innego, w końcu sprowadziło ich do tego kościoła i postawiło przed współczującym okiem miłosiernego Boga. Klęczała obok Raya. Skąpane w łagodnym świetle przefiltrowanym przez kolorowe szyby, lśniły płomienie świec, a kwiaty były świeże i krwiste. Cora czuła, że pełne napięcia zdarzenia, które tak mocno ich łączyły, kończą się teraz. To oni byli najlepszą częścią niefortunnego splotu okoliczności. Ray kochał ją wtedy, kiedy opuszczał ją William, czyniąc jego odejście łatwiejszym do zniesienia.

Ona ofiarowała swe ramiona, żeby ktoś mógł w nich umrzeć. Ray swoje żeby w nich płakać. Teraz nadchodzi kres płaczu i umierania i zdała sobie sprawę, że dalej było już tylko rozczarowanie. Nigdy nie będzie zdolna okazać Rayowi tyle pasji i poświęcenia, ile dała Williamowi przed śmiercią. Ray nie umierał, niczego mu nie brakowało albo też raczej nie czuł braku, ale po pewnym czasie poczułby się zaniedbany i nie doceniony przez nią. Dbał o nią – pragnąłby czegoś w zamian. Był jej wiernym giermkim, kochającym pretendentem do jej tronu. Życ razem, a nie tylko mówić o wspólnym życiu – to najtrudniejsze w świecie zadanie. Jakże mieli przeskoczyć ze śmierci do ślubu, od ciemnego granatu do dziewiczej bieli? Zdawało się, że on ją czci – jakże niebezpieczna religia! Od tej pory mogło być już tylko gorzej. Myślała też, że ten początek miał już w sobie zawiązki końca, który nastąpi po pewnym czasie przyjemnych zapewnień – zapewnień, w które żadne z nich tak naprawdę nie wierzyło. Kapłan błogosławił Williama „brata w służbie, który przybył zza morza”, i Cora poczuła, że jej opanowanie zaczyna pękać. Słodki kompan nocnych przejażdżek i pieszczot odchodził. Bez Williama nie było po co być tak bardzo razem, bez Williama będą razem sami.

Oczy napełniły jej się łzami i zadrzała. Ray przytulił ją i ucałował jej włosy. Wsparła się na jego ramieniu, jedną ręką poklepując guziki jego białej, miękkiej koszuli. Kapłan upewnił ich, że ci którzy pozostawili wszystko i poszli za Nim otrzymają teraz „tysiąckrotną zapłatę”. Cora wątpiła, tęskniła za Williamem i płakała.

Cora i Ray byli zaproszeni na przyjęcie urodzinowe Rona Siltona do jego niezwykłego domu na plaży tuż obok Malibu. Ron odnosił niesamowite sukcesy jako kierownik studio. Żył z pięknym Harrym, młodym producentem o którym wszyscy mówili, że wygląda prawie dokładnie tak jak Daniel Day-Lewis. Harry także pochodził z Południowej Karoliny i korzystał z usług Raya.

Ron był bardzo młodo wyglądającym mężczyzną po pięćdziesiątce, który wiele wysiłku i czasu wkładał w to, żeby utrzymać doskonały wygląd i świetną kondycję. Narzucił sobie ostry reżim wegetarianizmu i jogi, stosował akupunkturę i medytował. Masaże i kolagenowe zastrzyki Noela eliminowały te zmarszczki, które nie uległy kremom, dietom i redukującej stres medytacji. Co roku na gwiazdkę Ron obdarowywał Corę kryształami do kąpeli i gardeniami zatopionymi w szklanych kulach. Choćby bardzo się starała, nie przypominała sobie, żeby widziała go w nastroju innym niż figlarny i żartobliwy.

Cora wiedziała, że Ray naprawdę lubił te przyjęcia – przywileje świata bogatych, w którym żyli i pracowali podczas gdy inni nie mogli związać końca z końcem, cierpieli, głodowali i upijali się tanim, kiepskim piwem. W ich świecie wynajmowano kucyki, żeby dzieci mogły na nich pojeździć po słońcu na czystych plażach i wydawano dziesięć tysięcy dolarów na pięć minut fajerwerków wystrzelonych z barki podobnej do tej zacumowanej obok Kowloon.

Wiedzieli, że jest świat, w którym ludzie nie wychodzą po zmierzchu, przyzwyczaili się do odgłosu strzałów z pistoletu, piszczących opon i przemocy. Czuli, że ten inny świat czai się zaraz za granicą ich świata, nasycony spalinami i wyziewami biedy i zła. To był prawdziwy koszt fajerwerków i kucyków, kaszmirowych marynarek i ręcznie rzeźbionych z wiktoriańskich guzików dwudziestodwukaratowych złotych bransolet, które nosiło się do misternie podartych džinsów. Wszystko ograniczało się do tego, żeby być dobrym w tym, co robiłeś, wtedy można było partycypować w kucykach, fajerwerkach i malinowych parfait, w przyjęciach sławnych i bogatych, ich zabawnych i czarujących przyjaciół. Spotykali się szczebiocząc radośnie, a za wzgórzami gangi o wymyślnych nazwach walczyły o sprawy ważne i nieważne, zmagaly się pomiędzy więzieniem a ulicą.

Ray był przywiązany do Hollywood, do miejsca tych cudownych przyjęć. Przyjęć, które nudziły Corę, a które on w skrytości ducha uwielbiał, udając, że go

nużą. Niekiedy robiła wielkopański gest i łaskawie godziła się pokazać z nim na którymś z nich. W Hollywood, miejscu zakochanym w ekranowej fikcji, wygląd prawie zawsze wygrywał z doświadczeniem – albo tak się tylko Córce wydawało. Akurat wtedy niespecjalnie jej się układało.

Podeszła do szafy i przerzucała długi rząd ubrań. Wybrała wreszcie czerwoną aksamitną suknię, którą Ray podarował jej na ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie. Szamotała się przez chwilę z suwakiem, wreszcie wciągnęła ją na siebie i niemalże zderzyła się z Rayem.

– Och, przepraszam – powiedział zmieszany. Cofnął się o krok i patrzył na nią, podziwiając suknię.

– Czy to ta, którą ci dałem? – zapytał, sięgając po białą koszulę.

– Tak – odparła, unikając jego wzroku. Znów sięgnął do szafy, wyjął stamtąd jedwabny krawat z wizerunkami Buddy.

– Całkiem niezłe – powiedział do swojego odbicia w lustrze, wiążąc gładki jedwab.

– Zdumiewające, że wszyscy faceci to potrafią – próbowała zdziwić się Cora. Przetarła twarz odrobiną toniku z zimną wodą, starannie omijając okolice ust i oczu.

– Nie wszyscy – powiedział, wkładając koszulę w spodnie. – Wątpię czy na przykład Eskimosi to potrafią. Albo Zulusi czy aborygeni.

Cora starła resztki toniku wilgotnym ręcznikiem.

– Peruwiańczycy znają ponad osiemdziesiąt określeń na ziemniaki – stwierdziła i sięgnęła po krem. – Ale nie przypuszczam żeby mieli jakieś na „cud techniki”.

Ray wolno przesunął szczotką po wilgotnych włosach. Widziała, że obserwuje swoje odbicie w lustrze. Kiedy nie odpowiedział, dodała:

– Czy to nie dziwne?

Odłożył szczotkę, potem popatrzył na nią jakby go w jakiś sposób zdradziła. Zacisnął usta.

– To nie jest dziwne – poważnie poinformował szczotkę. – Nie, jeżeli się nad tym zastanowisz. Pamiętasz co mi stale powtarzałaś? Znajdź to, co dla ciebie ważne i rób to.

Poszedł do sypialni uśmiechając się z satysfakcją. Nie lubiła kiedy się tak uśmiechał.

– Naprawdę ciągle to powtarzam? Myślałam, że mam trochę szersze horyzonty.

Stała gapiąc się w umywalkę. Nawet nie zauważyła kiedy stało się coś okropnego, a teraz bała się, bo wcale nie chciała tego naprawiać.

– Nie musisz tam iść – powiedział uprzejmie Ray. Przeraził ją tym. Spojrzała w lustro.

– Wiem, że ich nie znosisz.

Cora uśmiechnęła się i głośno wypuściła powietrze.

– Masz rację, ale... – Wzruszyła ramionami z zażenowaniem. – Nigdy nic nie wiadomo. – Popatrzyła na niego. – Może pojedziemy dwoma samochodami w razie gdybym chciała wrócić wcześniej?

Jego twarz była nieprzenikniona.

Jechała za nim wijącą się do morza jak gigantyczny wąż ulicą Sunset. Widziała tył jego głowy, jasne, lśniące w światłach lamp włosy. Rozmawiał przez telefon. Jechał coraz szybciej, zmieniał pasy nie zważając na inne samochody. Cora ledwo za nim nadążała. Gnała z radiem włączonym na pełny regulator, włosy rozwiewał jej wiatr. Kilka razy prawie przejechała na czerwonym świetle. Nie chciała stracić go z oczu. Czuła się tak, jakby brała udział w scenie pościgu w jednym z filmów, których zazwyczaj starała się unikać zarówno jako widz jak i scenarzystka.

W Palisades omal nie zderzyła się z volvo. Po serii wyzwisk i przekleństw zdecydowała, że jednak wolałaby przeżyć tę jazdę i nie starała się już go dogonić. Przy wjeździe na autostradę zadzwonił telefon. Odebrała dopiero po szóstym sygnale – lubiła się trochę podrażnić.

– Nie mogłam za tobą nadążyć.

– Nigdy nie nadążasz – w słuchawce odezwał się głos Buda. – Co poza tym robisz sama?

Cora jechała w stronę Malibu.

– Myślałam, że to Ray.

– Co za zbieg okoliczności! Ja też kiedyś myślałem, że jestem Rayem dopóki nie spojrzałem na rękę. I wiesz co, nie było tam mojego pięknego zegarka! Ale, ale, dokąd to się wypuszczasz, potworku?

– Ubaw na plaży – odpowiedziała zwięźle, patrząc na falę łagodnie zbliżającą się do brzegu. Księżyc w trzeciej kwarcie odbijał się od perlistej wody.

– Ubaw u Siltona?! – zawołał. – Jak się czujesz jadąc tam?

– Dzięki, wielkie dzięki. Masz na myśli jak się czuje marny gryziپیórek zaproszony na odlotowe balety!

– Ująłbym to trochę delikatniej, ale skoro sama to powiedziałaś...

Potem, po kilku kasznięciach (Cora zorientowała się, że to miał być śmiech), nastąpiła cisza.

– Buddy? – zapytała.

– Zabijasz mnie, kotku. Huhm... – pochrząkiwał radośnie. – Naprawdę mnie zabijasz.

Cora wyobraziła go sobie jak sięga po szklankę i ociera oczy.

– Łatwo mi dziś z tobą idzie – drażniła się z nim. – Chyba cię oszczędzę. Kiedy indziej cię zabiję.

Odłożyła słuchawkę i rozejrzała się za samochodem Raya, ale nie zobaczyła go.

Przyszło jej do głowy, że zrobił to celowo. Ostatnio oddalił się od niej. Ogólnie mówiąc oddalał się od niej od czasu śmierci Williama.

Może to było normalne. Byli tak bardzo blisko siebie przez cały ten czas, razem czuwali nad ostatnim światłem i ciepłem Williama. Teraz, kiedy to się skończyło, ktoś musiał otworzyć okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. A może tak postępują ludzie, kiedy się boją. Dopóki łączył ich William, trzymał ich przy swojej nadchodzącej śmierci i przy ich nadchodzącym życiu, nie mieli czasu na zadawanie pytań. Nie mieli czasu, żeby być kimkolwiek innym niż musieli wtedy być. Mieli dość odwagi, żeby się razem bać, wiedzieć, że coś im umyka. Nie chodziło o słowa, chodziło o życie, z jego pożądaniem i męką.

Ale teraz, po tym co minęło, wracali do siebie takich, jacy byli przedtem – wracali z większą wiedzą i mniejszą ochotą żeby się dowiedzieć, co z tym wszystkim zrobić. Znów byli razem, wciąż nie związani małżeństwem, on z nią i jej potężnymi przyjaciółmi, przy których czuł się nieważny, niedoceniony, wciąż nie kochany przez nią tak, jak by tego chciał. Po wszystkim, co dla niej zrobił, wciąż nie kochała go dosyć, żeby zmienić się dla niego. A według niej on wciąż nie kochał jej dosyć żeby ją zaakceptować, pozwolić kochać się tak, jak umiała.

Luksusowe samochody parkowały na ulicy Rona jak okiem sięgnąć. Wyglądało na to, że to będzie największe przyjęcie ze wszystkich, na których była Cora w swoim pełnym bankietów życiu.

Podjechała do dziewczyny w smokingu, która parkowała samochody. Dziewczyna dała jej bilet i białą różę. Cora odetchnęła głęboko i poszła w kierunku muzyki i jasno oświetlonego domostwa.

Ze spuszczoną głową przeszła przez otwarte drzwi do holu i z daleka zauważyła Raya po drugiej stronie ogromnego pokoju gościnnego. Śmiał się z odchyloną głową, w ręce trzymał szklankę. Cora wzdrygnęła się, przypominał jej tych wszystkich gości, których spotykała na przyjęciach u rodziców. Ich gesty zdawały się mówić, że życie to przyjęcia, gdzie ludzie śmiali się z żartów. Jak bardzo tęskniła żeby dorosnąć i stać się tak pewną siebie, tak bezproblemową – dziecinne

mrzonki. Jak mogą przetrwać? Czy stają się prawdą jeżeli udajesz dostatecznie długo? Czy są bardziej prawdziwe jeżeli uwierzą w nie inni ludzie? Sprawdź „mrzonki” – zanotowała w pamięci. Zastanawiała się czy jej wyobrażenie o samej sobie opierało się na rzeczywistości, czy na mrzonkach. Rozejrzała się wokoło, ale Raya nigdzie nie było. Przebiegła po pokojach jak kuchta przepędzana tam i z powrotem. W pewnym momencie zauważyła go przy stole, bardzo daleko. Stał zgięty wpół, niechętnie wysłuchując jakiegoś z pozoru bardzo zatroskanego dżentelmena, który wyglądał na geja. Większość mężczyzn na przyjęciach u Rona była gejami – oczywiście poniżej pewnego wieku. Niektórzy ze starszych mężczyzn w kaszmirowych marynarkach byli zawsze razem, jak przykładne małżeństwa – dwoje ludzi złączonych na wieki. Innych otaczały całe szeregi ślicznych, zagubionych dziewczyn, o długich nogach i rozchyłonych ustach, jakby wdychały przez nie atmosferę przyjęcia. Czuli jak pokrywa ich skórę czarodziejski pył, jak popiół z odległych ognisk. Zanim Cora dobiegła do przeciwnego końca pokoju, Raya już tam nie było. Zdawało jej się, że przyjęcie jest jak ogromne zwierzę, które przeżuwa je bezustannie, a ona gubi się w jego wnętrznościach. Odnalazła bufet i stanęła obok oszołamiającej kobiety w sztywnym gorsecie i czarnym berecie. Jej blada skóra była przepiękna, a usta bardzo czerwone. W pobliżu sałatki ktoś zaszeptał coś piękności do ucha i odwróciła się do Cory, uśmiechając się promiennie.

– Pani jest Corą Sharpe, nie mylę się? Nie mogę się powstrzymać, żeby pani nie zaczęła – miała przyjemny, południowy akcent. – Za każdym razem kiedy podoba mi się jakiś film, okazuje się, że to pani pisała scenariusz. Tak bardzo bym chciała zagrać kogoś stworzonego przez panią!

Cora pokiwała głową i uśmiechnęła się, porażona symetrią rysów dziewczyny. Nałożyła sobie roladę, podziękowała z niezyczliwą miną i uciekła pospiesznie. Nie uśmiechała jej się konfrontacja z kimś, kto wyglądał tak, jak ona nigdy nie będzie wyglądała, a fakt, że to właśnie ona sprawiła, że te młode piękności wydają się inteligentniejsze i dowcipniejsze niż rzeczywiście są, nie był akurat najlepszym tematem do rozmyślań w tym momencie.

Pobiegła bez celu. Nie była w nastroju do zwykłych filmowych ploteczek o hitach kasowych, jak je produkować i powtarzać sukcesy. To właśnie show-business, to było na porządku dziennym. Co powiedział jej kiedyś Cliff? – „To się nazywa show-business, nie show-przyjaciel”.

W barze natknęła się na Buda. Opowiadał kilku osobom o scenariuszu, którym się właśnie zajmowali. Reżyser, Mitchell Clap – wyjaśniał Bud – tkwił po uszy w

pracy, tylko tym się zajmował. Jak zwykle próbowali dowiedzieć się czegoś o nim prywatnie, ale zdołali tylko po licznych próbach ustalić, że nie ma żony ani dzieci. Miał swego czasu psa, ale zdechł.

– Wiem, czemu ten pies zdechł – wtrąciła Cora, obejmując Buda od tyłu. – Zdechł z braku przyjemności.

Ona i Bud myśleli o sobie jak o małych szczeniátkach, merdających ogonkami i łaszących się do pana w oczekiwaniu na pochwały. Nichols dodawał im otuchy, Spielberg tańczył z nimi po całym pokoju i kupił Budowi pióro na szczęście, ale wszystko co zdołali wydobyć z Mitchella to było „To mi się podoba”. Stale narzekali jak bardzo im źle, nie męczyli się tym nigdy. To był ich motor, siła napędowa, energia. Bud odpakował szeleszczącą paczkę Juicy Fruit.

– Będziemy wreszcie pracowali osobno – mówił Córce. – Będziemy mieli naprawdę gorzką przerwę, szkaradną, jak Gillbert i Sullivan albo... albo jak Beatlesi...

Gwałtownie czknał, ale nie przestał żuć gumy.

– Tylko że nami nikt się nie przejmie i będziemy musieli wyjaśniać zupełnie obcym ludziom które rzeczy napisaliśmy razem, a naszą Emmy przetną nam na pół. Potem napiszemy ekshibicjonistyczne biografie o sobie nawzajem, z których w zadziwiający, podejrzany sposób wyparują powody tego całego gówna. Jak myślisz, powinienem się golić?

To było zupełnie nieoczekiwane, ale Cora poradziła sobie.

– Tak – rzuciła się jak drapieżca. – Ale bardzo dokładnie, najlepiej depiluj się woskiem. Jak dziewczyna, jak cholerne dziecko.

– Biedny Cezar – był wyraźnie ubawiony. – Co się z nami dzieje?

Cora popatrzyła na niego zamyślona.

– Nie będziemy już razem, Buddy?

Bud skrzyżował ręce na ramionach.

– Ty będziesz opisywała swoje dziewczęce ucieczki, a ja będę pisał perwersyjne, pretensjonalne historie i wszystko stracę. Ale odpowiedź brzmi – nie. Nigdy do końca się nie rozstaniemy, przetrwamy. Może w trochę zmienionej formie.

Odszedł żeby sobie nałożyć kurczaka i parfait truskawkowego. Obiecał zaraz wrócić, ale kiedy zauważyła, że rozmawia z dziewczyną z Południa o regularnych rysach, tą w czarnym berecie, poszła na werandę skąd lepiej widziała zebranych. Dojrzała Raya w jego nienagannym garniturze. Stał w prześwicie pomiędzy wypielegnowanymi krzewami nad zatoką. Był całkowicie spokojny, w rękę

trzymał szklanę i leciutko się kołysał.

Pewnego dnia, był wtedy w siódmej klasie, stał na środku szkolnego trawnika w panice, opowiadając wychowawcy, że boli go brzuch. Nie ruszył się dopóki nie przyjechała po niego matka. W samochodzie błagał ją, żeby mu powiedziała, kiedy będzie mógł opuścić dom, na co może liczyć. Powiedziała, że kiedy skończy osiemnaście lat, zapewniła go o tym. Zaakceptował tę datę. W roku, w którym skończył osiemnaście lat był na czterech weselach i czterech pogrzebach, wszystkie kolegów ze szkoły. Potem wyjechał, jakby wydobrzeł po ciężkiej chorobie.

Dziesięć lat później spotkał Corę. Kiedy rozmawiali, wydawało się, że przyszła i zabrała to, co jeszcze z niego zostało na tym trawniku. Wybrała resztki weselnego ryżu z włosów, wytrząsnęła płatki z pogrzebowych wieńców z kieszeni, znalazła w nim coś żywego i mówiła do tego, póki jej nie odpowiedział. Dążył za nią jak za jakąś wielką, nieosiągalną ideą, zabiegał o nią z całą mocą zwycięzcy, wkładał się w jej łaski, odkrywając jej pragnienia. Ona poznawała go nie jako ideę, ale stan bycia, identyczność, ukradkowy uśmiech znad garnitur. Słodczy, smutek, kulejąca nadzieja zaczajona przy wyczerpujących rozmowach. Trudno by jej było opisać taką postać.

Dwóch mężczyzn i kobieta podeszło do niego i zaczęli rozmawiać. Wrócił do życia, ożywił się, nawet gestykulował. Patrząc na niego Cora miała dziwne poczucie wyłączenia z kontekstu. Może po prostu woląa myśleć o Rayu kiedy był z nią, o autentycznym Rayu. Nie o pierwotnym niezafalszowanym Rayu lecz o Rayu zafalszowanym przez nią. Rayu Cory i Raya. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że pewne aspekty swojej osobowości prezentował w różnych okolicznościach, ale woląa myśleć o nim jako o ich wspólnym dziele. Miejsce, w którym zachodziły na siebie ich charaktery, było naprawdę cudowne. Ich mała przytulność, w której mogliby rozwiązać wszystkie problemy, gdyby tylko chcieli. Nagle przeraźliwie tego zapragnęła, zatęskniła do osoby, której on potrzebował. Ale czy naprawdę potrzebował? Widziała jak mówi do zasłuchanych ludzi i zdała sobie sprawę, że takiego wyrazu twarzy nie dostrzegła u niego od dość dawna. Wyglądał na zadowolonego.

W pewnej chwili uniósł głowę i zobaczył ją na werandzie. Podniósł dłoń na moment i widziała jak wyraz zadowolenia znika z jego twarzy. Powoli odsunął się od ludzi, którzy z nim stali szedł w jej kierunku przez tłum. Córce wydawało się, że muzycy pogubili rytm. Widziała jak zbliża się do niej, kiwając głową znajomym.

Wreszcie był przy niej, ich usta odnalazły się w pocałunku, który miał być

ostatnim pocałunkiem.

– Hej – powiedział bez emocji, bez śladu południowego akcentu. – Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

Cora kiwała głową w rytm muzyki, jej muzyki.

– Jak widzisz, jestem pomimo wszystko – odparła słabo. Popatrzyli na siebie, bezbronni, potem Ray zapatrzył się w lód pobrzękujący w pustej szklance, którą trzymał w dłoni.

– Bud jest przy barze – poinformowała go. – Chciałbyś z nim pewnie zamienić kilka słów. Nie widziałam Cliffa – no i oczywiście Joan nie przyszła, nigdy nie przychodzi.

– Właściwie to miałem zamiar zaraz wyjść. A ty co zamierzasz?

Cora podrapała się po głowie. Zastanawiała się czy ta uwaga miała ją tak zaniepokoić jak zaniepokoiła. Rozglądała się wokoło szukając trochę bardziej przyjaznej twarzy, miłszego głosu.

– Myślałam, że mogłabym trochę jeszcze zostać.

Spojrzał na nią z ukosa, wysuwając do przodu gładki podbródek.

– To brzmi jak plan – stwierdził. – Jakbyś naprawdę miała to zrobić.

Stali obok siebie patrząc na ocean. Cora czuła, że wkrótce wydarzy się coś wielkiego, że czekają tylko na znak. Serce zaczęło jej mocno uderzać, wiedziała, że tym razem nie ona zagra pierwsze skrzypce, że nie kontroluje tego, co się będzie działo. Ni stąd ni zowąd Ray dotknął jej ramienia. Nagle wszystko zaczęło się dziać ni stąd ni zowąd.

– Coro, czy możemy chwilę porozmawiać?

Nigdy wcześniej nie mówił do niej w taki sposób, a może to tylko inna intonacja? Może nigdy tak nie intonował. Wpatrzyła się w jego twarz, tak intensywnie, jak tylko jej pozwolił. Skóra mocno opinała czaszkę, włosy zdawały się lśnić nienaturalnie. Coś się działo z jego brwiami, jakby nie pasowały do reszty. Roztaczał wokół siebie atmosferę zrezygnowanej determinacji.

– Tak – pokiwała głową. – Mów.

Wiedziała oczywiście, że dzieje się coś złego. Nic poważnego, bo zauważyłaby to przecież – mimo że była bardzo zajęta. Poprowadził ją gdzieś, szła za nim posłuszna, bezsilna. Myślała tylko o tym, żeby to coś złe nie było aż tak złe i żeby szybko minęło. Wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie, za powoli i posuwało się w nieznanym kierunku. Ze spuszczonej głową dotarli wreszcie do małego patio, w którym dziewczyna z brązu wylewała wodę z dzbana. Też miała spuszczonej głowę. Ray zatrzymał się przy ławeczce i cofnął dłoń z jej łokcia.

Usiadł. Cora rozejrzała się dokoła, jakby aklimatyzując się w nowym otoczeniu. Zauważyła, że w fontannie pływa mała rybka. Rybka i liść lilii z zapaloną latarenką. Może dziewczyna spuszczała głowę bo chciała na to popatrzeć. Ray chrząknął i spojrzała na niego. Miał szeroko otwarte oczy o białkach tak białych jak nigdy przedtem. Skrzyżował nogi, oparł łokcie na kolanach i patrzył na nią. Jeszcze nigdy nie był tak przystojny.

– Nie mogę dłużej tkwić w tym związku – oznajmił prawie obojętnie. To była ostatnia rzecz jakiej spodziewałaby się od niego, ale kiedy to powiedział, zrozumiała, że w pewnym sensie było to już od pewnego czasu oczywiste. Wpatrywała się w niego, nie wiedząc co powiedzieć. Słyszała odgłosy przyjęcia, a jeszcze dalej morze.

– Nie chcę nic z tym robić, nie chcę o tym rozmawiać. Chcę odejść.

Słyszała to bardzo dokładnie. Z uwagą wpatrywała się w swój but. Podłoga była wyłożona terakotą, pomiędzy czerwonymi płytkami rosły kępki trawy. Zaczęła kiwać głową. To uczucie było dziwnie znajome w swej niezwykłości. Nie wolno za bardzo przywiązywać się do ludzi – umierają albo odchodzą.

– Masz kogoś? – zapytała. Nie poruszyła się nawet, porażona tą deklaracją wolności.

– Nie – odparł patrząc przed siebie.

– Chciałabym, żebyś tego nie robił – powiedziała. Czuła, że robi jej się niedobrze, jakieś dziwne, chore uczucie wylega się gdzieś w środku.

– Chciałabym żebyś tego nie robił. – Chciała powiedzieć więcej. Nie rób tego, wiem że mam zbyt wielu przyjaciół, że jestem samolubna, że nie troszczę się o ciebie, przeze mnie późno chodzisz spać. Wyśmiewam się z twojej pracy i lekceważę cię, bo nie jesteś gorliwy w rozmowie i masz nudnych przyjaciół... Wiem, jestem snobką ale proszę... poczekaj... Zamiast tego powiedziała tylko:

– Czy ty mnie kiedykolwiek kochałeś?

Spojrzał na nią, jakby coś podejrzewał, przerażony i prawie wolny.

– To śmieszne, ale ja cię wciąż Kocham tak bardzo, jak zawsze, nie w tym rzecz.

Zaczęła chodzić z rękami założonymi do tyłu. Traciła go powoli, jak drzewa jesienne liście.

– Jeżeli chodzi ci o ślub, w porządku. Weźmy ślub choćby zaraz. Mogę...

Przerwał jej.

– Już nie chcę ślubu. Jestem inną osobą niż myślałem, że jestem kiedy się spotkaliśmy. Byliśmy... byliśmy po prostu inni i... Nie wiem, chyba nasze drogi się

rozeszły. Jesteśmy tacy.... dalecy. Nie potrafię tego opisać.

Cora poczuła się jak wypompowana. Słuchała mruczenia fontanny, razem z wodą wypływały resztki jej energii.

– Dalecy – powtórzyła, ważąc to słowo. – Dalecy – pokiwała głową.

Popatrzył na swoje dłonie i westchnął.

– Wydaje mi się, że musiałbym mieć AIDS albo przechodzić jakąś niebywałą depresję żebyś poczuła do mnie ze współczucia jakąś odrobinę sympatii. Albo musiałbym być naprawdę kimś. Zresztą, to nieważne, nie miałem zamiaru o tym mówić. Jestem zmęczony czekaniem w kolejce do ciebie. Po całym dniu w biurze, gdzie ludzie przychodzą do mnie ze swoimi problemami, chciałbym dla odmiany, żeby w domu mnie ktoś wysłuchał. Jeżeli nie interesują cię moje sprawy, to po co ze mną jesteś? Jeżeli niewiele jestem wart, rozstańmy się. To beznadziejne, bez sensu. Nic nie da się z tym zrobić, pewnych rzeczy nie można naprawić. Wiem teraz jak musiał się czuć twój były mąż.

Cora nie słuchała go już mniej więcej od połowy, koncentrowała się na rytmie i tonie wypowiedzi, aż nagle głos urwał się i ona razem z nim oderwała się od bolesnego miejsca. W końcu zorientowała się, że Ray przestał mówić i gapi się na nią.

– Cóż, co mam począć? – powiedziała głosem na granicy bohaterstwa. – Nie zdołam odwieść cię od tego, prawda?

Położył ręce na kolanach. Skończyli ze sobą. Ich rozmowa, ich kiwi oficjalnie i na zawsze zostało przerwane. Cóż, trzeba się przyzwyczaić do czegoś innego.

– Nie zdołasz – potwierdził. Popatrzyła na platynowy zegarek na jego ręce. Chciała go zabrać dla Buda.

– Jeżeli to zrobimy – zaczęła ostrożnie – nie możemy przez pewien czas rozmawiać, wiesz o tym? Po prostu nie możemy.

Ray pokiwał głową. Kiedy patrzyła na niego, zdała sobie sprawę, że nigdy go nie rozumiała, nigdy go naprawdę nie знаła, i nigdy go już nie pozna.

– Cóż – uśmiechając się niewyraźnie patrzyła na zatokę – nie wierzę w to, co się dzieje – potrząsnęła głową. – Odeślę twoje rzeczy do biura.

– Żegnaj – powiedział. Czekwała na odrobinę emocji, ale słyszała tylko swoje obcasy stukające po ścieżce, kiedy odchodziła od Raya i dziewczyny z brązu.

O jedenastej Cora była gotowa oficjalnie obwieścić swoją sympatię do gejów. Sprawy na przyjęciu przybrały zdecydowanie inny obrót. Wszędzie było pełno pięknych mężczyzn, którzy drapowali się malowniczo na krzesłach, siadali na

parapetach i wolno popijali ze swoich na wpół napełnionych szklaneczek. Starsi, szanowani gejowie przechadzali się wśród tej urody, popatrując spod brwi. Myśliwi i ich zwierzyna, gracze i pionki.

Cora poznała agenta o imieniu Trey, który łączył w sobie wspaniałe cechy pozwalające mu obracać się w towarzystwie milionerów i krezusów. Zastanawiała się już kiedyś na czym to polega. Spotkała kłopotliwego człowieka, z którym rozmawiał wcześniej Ray. Wałęsał się po przedpokoju obok dwóch modeli Morrisa Westina o różnych odcieniach kolorystycznych. Okazało się, że jest reżyserem i zrobił właśnie swój pierwszy film. Na dowód trzymał w kieszeni w spodniach swoje zdjęcie przy kamerze i drugie, z aktorem obsadzonym w głównej roli. Powiedział, że bierze środek antydepresyjny, Zoloft.

– Brzmi jak żydowski heros – zauważyła Cora. Obserwowała go przez kilka chwil jak odgrywa samego siebie przed innymi, jak Hermione Gingold w „Znienacka” czy w „Zeszłym lecie”. Napompował się dostatecznie, żeby zostać zauważonym – dziwne, ale jeszcze bardziej wspaniałe.

– Jesteś dostatecznie dziwny – powiedziała mu na odchodnym. – Wystarczy.

Spytała znaną pisarkę, która pływała jachtami ze wszystkimi tymi Larrymi, Curleyami i krezusami – ludźmi mogącymi sobie pozwolić na pisarza – czy nie obawia się, że zostanie ich maskotką.

– Jestem zbyt kłująca jak na maskotkę – odparła popularna aktorka.

– Oni lubią kłujące maskotki – natychmiast odparowała Cora. Znalazła Rona, największego szydercę spośród krezusów. Siedział w kuchni z Pią Zadora i mówił jej jak zrobić karierę. Powiedział później Córce, że omal nie zasnął w trakcie. Zabrał ją na górę i poczęstował niemieckim drinkiem.

– Zostawmy to Niemcom dla podtrzymania odwiecznej tradycji – rzekła odmawiając. Opowiedziała mu o swoim śnie, w którym miała elektryczną matkę i musiała ją wyłączyć. Ron ciężko skinął głową, wypite trunki ciągnęły go nieprzeparcie w dół.

– Dlaczego dostałem tyle narkotyków na urodziny? – rzucił pytanie nie skierowane do nikogo szczególnego.

Cora była jego ciepłem. Odziedziczyła moc i ciepło po swojej elektrycznej matce, ale urodziła się z defektem opornika. Przypomniała sobie co powiedziała jej kiedyś znajoma aktorka, że zazwyczaj jest jakiś znak, który każe nam coś zrobić.

– Wstawaj i biegnij – jakby myśl mogła biec przed tobą po płaskiej, czystej powierzchni, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – powiedział Ron, patrząc na nią ukradkiem. –

Ty jesteś z tych co wiedzą różne rzeczy.

Cora czekała, wyczuwając na trawniku Mariannę Williamson, szamankę bogatych i sławnych. A może nie, może to oni zrobili z niej szamankę. W każdym razie były w to wplątane jakieś nieczyste moce.

– Co zrobisz, jak będziesz stara? – ciągnął Ron. – Naprawdę stara.

Patrzył na nią z napięciem swoim przekrwionym okiem.

– Hm... Ty jesteś już w wieku, który uważałeś we wcześniejszym okresie życia za starość, czyż nie?

Przemyślał to. Wreszcie przyznał:

– Tak... Chyba tak. Na pewno.

– Więc powiedziałabym, że świetnie się trzymasz jak na ponad pięćdziesiąt lat. Fajerwerki, kaszmiry, wszyscy ci piękni chłopcy i twój wspaniały towarzysz. Powiedziałabym, że dobrze sobie radzisz. Powinieneś może tylko poszukać kogoś naprawdę starego, po siedemdziesiątce, około osiemdziesiątki, kto radzi sobie jeszcze lepiej i poznać z twoim Harrym, żeby go nauczyć jak ma cię skłonić do wiosłowania.

Ron zaniemówił.

– Do wiosłowania?

Skinęła głową i podniosła się na swoich małych, tupiących obcasach.

– Do tego straszego wiosłowania w stronę Boga. Annę Sexton, no wiesz.

Wydał usta i zastanawiał się.

– Nie wiem czy Harry będzie umiał.

Poklepała go.

– Będzie.

– Ty to zrobiłaś, tak? Ze swoim przyjacielem?

Pokiwała głową.

– Zrobiłam. Nauczę Harry'ego. Albo przyjdiesz do mnie.

Będzie dobrze. Znam się na tym, Harry też będzie się znał. Będzie dobrze.

Pocałowała go na dobranoc.

Później jechała wolno skrajem drogi, tusz spływał jej z rzęs. Nie płakała, nie płakała za wszystkimi trunkami, fajerwerkami i Williamem, ani dobrym Rayem – ani tymi pięknymi mężczyznami na trawniku.

Cora poleciała do Nowego Jorku, żeby spotkać się z Budem w sprawie scenariusza. Lepiej być samotnym i żywym niż martwym i żonatym. W samolocie miała miejsce obok otyłego mężczyzny, który przez cały lot z wielkim entuzjazmem zajmował się swoim komputerem. Cora przeczytała czasopisma, zjadła kurczaka na zimno i obejrzała niewydarzony film.

Z limuzyny wiozącej ją do hotelu zadzwoniła do Buda.

– Cezarku, przyjeżdżaj szybko! – zawołał.

– Co się stało?

– Nic takiego. Właśnie się dowiedziałem, że Camillema nowego faceta – stwierdził gorzko. – Dla mnie to naprawdę nic takiego. Możesz w to uwierzyć? Nasz związek nic dla niej nie znaczył. Po prostu odeszła, poprawiła włosy i spotkała kogoś innego.

Cora zbliżyła słuchawkę do twarzy, położyła się na winylowym siedzeniu i usiłowała brzmieć przekonywająco.

– Na pewno nie jest tak jak mówisz. To nie może być żaden poważny związek.

Bud jęknął w odpowiedzi.

– Boże, mam nadzieję że to poważny związek – to tak okropnie brzmi, jak kiepski hotel w Europie Wschodniej. Poważny związek – daj Boże żeby był poważny.

Westchnął tragicznie.

– Co mam dla ciebie zamówić?

– Pudding ryżowy, zupę cebulową i skrzynkę coli – odparła.

Odłożyła słuchawkę na ciemne widełki i patrzyła na Manhattan z wolna rozbłyskujący w ciemnościach. Dzielnice bogatych, dzielnice biedaków, mieszanka kulturowa, samochody i bezdomni. Potarła nagie ramiona i pomyślała o Rayu, czy zabrał już wszystkie swoje rzeczy z jej domu. A może zapomniał o jakichś drobiazgach, które będą całkiem nieoczekiwanie odnajdywały przez całe lata? Psy przeżyją to okropnie, szczególnie Stella.

Czego się spodziewał? Że padnie mu do stóp, szlochając, błagając go żeby się jeszcze zastanowił? Że podejmie jakiś heroiczny wysiłek? Nie. Ale lepiej, że stało się to teraz, zanim jej nieobliczalne przywiązanie wyrządziło szkodę nie do naprawienia. Odwróciła twarz do siedzenia. Kochała jego dobre maniere, jego łagodny dotyk, jego spokojną, męską twarz – ale w jakiś krytyczny, fundamentalny

sposób nie znała go wcale. Myślała nad tym, co powiedział: „Nie mogę dłużej tkwić w tym związku”. Potrząsnęła głową.

– Wcale tak nie myślę – powiedziała głośno. Tyle mówili o związku, nie biorąc sobie na kark domu. Był pierwszym z niezliczonych generacji swoich przodków, któremu udało się wydostać z małego miasteczka, zarobić tyle pieniędzy i odnieść taki sukces jak nigdy przedtem żaden Beaudrilleaux. Tego właśnie chciał, dla rodziny zrobiłby wszystko. Był ich bohaterem, ich stygmatykiem.

Ale Cora nie była jego krewną. Chociaż znali się tak dobrze, nie byli jednak rodziną. Nie pójdzie za nim kościelną nawą ozdobioną kwiatami, a on nie utuli jej w godzinie śmierci. Nagle okazało się, że to miła osoba. Nie zgadzali się ze sobą, ale się rozumieli, nigdy nie był w stosunku do niej brutalny, w żaden sposób. Myślała, że będzie ją kochał dłużej niż ją kochał. Kiedy całowali się pierwszy raz? Kiedy ostatni? Nie pamiętała – nie mówiąc już o innych razach. To jej duma, jej uparta, przekłeta duma prowadziła ją po ulicach, szepcząc do ucha: „Jeżeli on naprawdę cię kochał... Jeżeli on naprawdę cię kochał...” Miłość to nie bezterminowe prawo jazdy. Dobry tekst do piosenki country – pomyślała – muszę pamiętać żeby powtórzyć Bud owi.

Była tak skoncentrowana na szczegółach, że nie zauważała całości. To trwożyło ją niewyobrazalnie, ciągle myśli o Rayu, oszołomiony, nie pozbierany umysł. Bardzo chciała zobaczyć obraz Morandiego, wszystko jedno jaki.

Nagle zapragnęła porozmawiać z reżyserem, który powiedział jej o Morandim, kiedy nie miała pióra. Na pewno by wiedział czy jest jakiś sposób na odnalezienie się w tej sytuacji.

Zastanawiała się, jak wyglądałby jej Morandi – pomiędzy teraz a następnym momentem, w którym znowu poczuje się dobrze. Wtedy nie będzie już w niej smutnych błękitów, będzie kolor piasku, biały, połyskliwy piasek, który parzy nagie stopy. Nie będzie to garść piasku rzucona na wieko trumny, na pewno nie. Wyczekiwała na moment, w którym przejdzie się po bolesnej przeszłości jak po muzeum, beznamiętnie oglądając eksponaty, obrazy przyjemności dawno minionych, z których nie zrodzi się już smutek i okrucieństwo, które nie pozbawią jej złudzeń, nie zrujnują życia.

Miała nadzieję, że Bud nie jest tak przybity jak się wydawało przez telefon. Może powinni wynająć pokój na wyższym piętrze i zaplanować wspólny skok przez okno. Pewnie pokłóciliby się o list pożegnalny, każde chciałoby przeforsować swoją wersję i zanimby doszli do porozumienia, opuściłaby ich czarna mgła smutku i zjedliby wspólne śniadanko.

Przyjechała do hotelu, a za nią człowiek w zabawnym błękitnym garniturze i kapeluszu. Bud powitał ją w holu odziany tylko w ręcznik i czarne skarpetki. Na jej widok szeroko otworzył owłosione, pokryte tatuażami ramiona.

– Cezarku, Bogu dzięki, że przyjechałaś.

Przytuliła się do niego, a on zdusił ją w uścisku. Zauważyła, że bezgłośnie płacze, a łzy ściekają po ciemnej, nie ogolonej twarzy. Kołysali się bez słowa w tył i w przód, a portier czekał w bezpiecznej odległości.

– Niebo mi ciebie zsyła – wymamrotał wreszcie.

– Tylko nie każ mi opłacać tej przesyłki – stwierdziła, łagodnie uwalniając się z jego objęć.

Potulnie szedł za nią do ich wspólnych apartamentów.

– To przejdzie, Cezarku?

– Przejdzie – zapewniła go. – Obiecuję. Wydaje się, że to najgorsza rzecz jakiej doświadczyłeś, ale wcale tak nie jest. To po prostu najzwyklejsza, zupełnie fizjologiczna depresja.

Spojrzała na niego.

– Trochę cię zdołowało.

Bud zwolnił i patrzył na nią alarmująco.

– Nie nienawidzisz mnie teraz? – zapytał przerażonym głosem, niepodobny do zwykłego Buda.

Cora zakryła mu usta dłonią.

– To my, Potworze – pocieszyła go. – Pamiętasz? Gdyby miała nas rozdzielić jakaś wielka depresja, stałoby się to już wieki temu.

Rozgościła się w pokoju i przebrała w pidżamę i orientalny szlafrok, po czym poszła do Buda, który czekał na nią w pokoju gościnnym usytuowanym pomiędzy ich sypialniami. Przez pokryte mrozem okno dochodziły stłumione odgłosy ulicy szesnaście pięter niżej. Pod okno pokojowy wtoczył stolik z zamówionymi potrawami, obok stał Bud z talerzem warzyw w ręku. Na zmianę łkał i opychał się szpinakiem. Cora podniosła pokrywkę z talerza swojej letniej zupy.

– Ray i ja rozstaliśmy się – oznajmiła jak gdyby nigdy nic, rozglądając się za dużą łyżką.

Oczy Buda szeroko otworzyły się ze zdumienia, rozchylił usta jakby chciał coś powiedzieć, ale Cora powstrzymała go podnosząc dłoń.

– Proszę, nie zmuszaj mnie do rozmowy na ten temat. W tej chwili jesteśmy oboje za bardzo roztrzęsieni.

Odwróciła się od niego, a on podążył za nią z oczyma pełnymi smutku. Kiedy

podchodziła do okna, odwróciła się do Buda uśmiechnięta.

– Widzisz? – powiedziała prawie się śmiejąc. – Jestem melodramatyczna nawet kiedy nic nie mówię.

Bud wpatrywał się w nią błagalnie.

– Powiedz mi trochę. Ja ci powiedziałem.

Cora usiadła na parapecie potrząsając głową, zirytowana.

– Tak, ale po szesnastu latach.

Zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona. Siedziała wpatrując się przed siebie, jakby czekała na wyrok w sprawie Raya. Nie było wyroku. Wydeła usta w zamyśleniu i zwróciła wzrok na Buda.

– Nie ma sposobu na streszczenie spraw między ludźmi w jednym zdaniu. Jeżeli jest, musisz mi powiedzieć.

Lekko stuknęła nogą.

– Ale mnie się zdawało, że wszystko jest... – przerwał i poprawił się – właściwie to wcale mi się nie zdawało. Cóż... Westchnął i wziął kawałek chleba ze stołu. Ugryzł z głośnym mlaśnięciem.

– I co, jak się czujesz, jeśli można zapytać?

Cora zamknęła oczy i zastanowiła się. Wreszcie powiedziała:

– Dwie rzeczy przychodzą mi do głowy. Porażka i zbytnia pewność siebie. To tylko słowa żeby jakoś sobie z tym poradzić.

Bud przerwał żucie i przygryzł usta.

– Cezarku, nie chciałem jeszcze bardziej cię przygnębiać.

– Hej – przerwała mu – to twoja depresja, nie moja. Ja tylko podążam za tobą w czeluście twej udręczonej duszy, przynajmniej dopóki nie wrócisz do swojego litu i nie poczujesz się na tyle dobrze, że znów nie będziesz wiedział co zrobić z rękami.

Bud uśmiechnął się, a raczej uśmiechnęły się jego usta, podczas gdy reszta twarzy odmawiała współpracy. Uśmiech wisiał na jego ustach przez minutę, potem zniknął w okolicach okazałego nosa.

– Czy nie byłoby dobrze gdyby wymyślili plastry na różne rzeczy, takie jak od papierosów? Na przykład plaster na humory, albo na znajomość łaciny.

Cora poruszyła się.

– Tak, to byłoby niezłe. Plaster na miłość, który by odtwarzał fazę zauroczenia. Plaster na marzenia, plaster na szachy...

– Na szachy? Przecież ty nie lubisz szachów – przypomniał jej.

– Nie, ale polubiłabym gdybym miała plaster. W tej chwili nie interesują mnie związki. Żaden z moich byłych związków, ale gdybym miała plaster nie byłyby dla

mnie takie kłopotliwe.

– To chyba nie jest z tobą aż tak źle? – spytał niezobowiązująco.

Cora miała zamknięte oczy. Rozważała rozmaite warianty odpowiedzi. W porządku, powiedziała w duchu, wydymając usta i przesuując dłonią po nie uczesanej gromadzie rudych włosów.

– Dziwne jest to, że moje uczucia do niego musiały być dużo głębsze, niż oboje myśleliśmy, bo wstrząsnęło mną to jak huragan. Okazuje się, że był dla mnie ważny – naprawdę. Mam trudny charakter, powiedziałam mu to zresztą na początku. Zapytał, czy chcę go zniechęcić. Przypominasz sobie?

Bud westchnął.

– Tak, oni nigdy nie słyszą kiedy trzeba. Poza tym, nadchodzące atrakcje zasłaniają im oczy. Może różnice starzeją się wcześniej niż podobieństwa. Tajemnica oznacza frustrację, bo nie można jej pojąć i znaleźć czegoś pospolitego. Może od tego pochodzi „pat”? – wywodził, przez chwilę zamyślony.

– Toczyliśmy z Camille zacięte walki – ciągnął. – W pewnym momencie zaczęła używać słowa „azaliż” i „przeto”, i przezwalem ją Przećka. Ostatnim razem powiedziała „ba!” i naprawdę poczułem się jak w renesansowej stajni.

– Ale pewnie się śmiałeś?

– Jeszcze jak! To doprowadzało ją do szewskiej pasji. Czasami wydaje mi się, że musi być w nas jakiś mechanizm, który umożliwia zapominanie tych niesamowitych rzeczy wykrzykiwanych podczas kłótni.

– To tak jak kobiety zapominają bóle porodowe. Inaczej nie chciałyby mieć więcej niż jedno dziecko.

– Właśnie, gdybyśmy pamiętali te idiotyzmy nikt nie chciałby mieć więcej niż jeden związek.

Cora pokiwała głową.

– Różnica między nami polega na tym, że ty widzisz pospolitość w miłości. Wiesz, że ludzie się zmieniają, przechodzą z jednych faz w drugie, że będziesz ich kochał razem z ich dziwactwami a potem miłość wygaśnie, albo zmieni się w coś innego, a ty odejdziesz i znów uwikłasz się w to samo z kimś innym. Albo, broń Boże, zostaniecie razem i będziecie się zadręczać na starość. Za każdym razem czujesz do tego wstręt, obawiasz się, że możesz się okazać taki jak wszyscy, zwyczajny. Ale ja boję się być inna. Boję się, że nigdy nie zamieszkać w domku na przedmieściu.

– Kult domku na przedmieściu – wtrącił się, wzruszył ramionami. – Nie przynudzaj. Nie wierzę w związki, zwierzaki i dzieci.

Ludzie mają je, bo nie chcą być samotni, rozumiesz? Wymyślili nadzwyczajne, skomplikowane instrumenty do leczenia samotności.

To mrzonki, bo i tak ostatecznie będą sami, na końcu. W cierpieniach, halucynacjach, czy innych takich tam...

Dla podkreślenia wagi swoich słów cisnął widelec na talerz i zaczął się przechadzać.

– Ludzie nie szukają ludzi, szukają pocieszenia. To prawdziwe opium dla mas, piąta kolumna mieszczaństwa. To sprawia, że chce mi się wyć: „Obudźcie się! Spójrzcie prawdzie w oczy! Patrzcie pod nogi, możecie się potknąć”.

Stał na środku pokoju, bez tchu, z czołem lśniącym od potu. Cora patrzyła na niego i zastanawiała się czy to ona sprawia, że wszyscy znajomi mężczyźni łysieją – może działała na nich jak wapno.

– Pocieszenie to narkotyk – powiedział cicho Bud. – Sparaliżuje wszystko.

Ręcznik na jego biodrach zniemacka rozluźnił się i opadł, ukazując oczom Cory najbardziej męskie aczkolwiek w tej chwili nieco smętne atrybuty Buda. Zaczęła coś mówić, usiłując ratować sytuację, ale Bud przerwał jej.

– Nic nie mów. I tak już niczego nie zmienisz.

Podniósł swój ręcznik z wyrazem niezwykłej godności i owinał wokół bioder zakrywając genitalia i obfity brzuch.

– Udawajmy, że to się nie stało – poprosił wychodząc z pokoju.

– Nie pozwolę ci tak wyjść! – zawołała za nim Cora. – Żyd tak nie robi!

Bud zatrzymał się, ale się nie odwrócił. Widziała tylko, że trzęsą mu się ramiona.

– Mój Cezar – powiedział czule. – Mój mały Cezarek.

Następnego ranka ona i Bud byli umówieni na spotkanie z reżyserem. Po spotkaniu Cora poszła na pięćdziesiątą siódmą ulicę w nadziei kupienia czegoś ciemnego i wyszczuplającego. Szukała czegoś z wyciętą szyją i rękawami trzy czwarte, czegoś w stylu Natalie Wood, w czym mogłaby opłakiwać śmierć Williama i rozpad związku z Rayem. Przyszło jej do głowy, że powinny być sklepy z odzieżą żałobną, tak jak są ze strojami ślubnymi. Szaty nadające się do włożenia podczas kremacji, odpowiednie do karawanu, albo do sądu.

Tłumy ludzi chodziły po ulicy, w górę i w dół. Jakaś obładowana prezentami kobieta odsunęła się unikając zderzenia z wózkiem i wpadła na Corę, tracąc równowagę.

– Przepraszam najmocniej, bardzo panią przepraszam! – molestowała, zbierając

porozrzucane łupy. Ale Cora ledwo słyszała.

Zdumiona wczuwała się w ból, o jaki przyprawiło ją to zderzenie, szczególnie ucierpiały piersi. Nie mogła ruszyć się z miejsca, pomyślała bowiem, że ten zatykający dech ból i spóźniający się okres może oznaczać coś o wiele poważniejszego niż tylko przejściowe kłopoty. Jakiś bąbelek świadomości wypłynął z brzucha i rozprysł się w mózgu rzucając ją na kolana. Właściwie nie mogła mieć całkowitej pewności czy już powinna mieć okres, tego nigdy nie była absolutnie pewna. A po tych wszystkich przeżyciach związanych ze śmiercią Williama i odejściem Raya spóźnienie mogło jej się wydawać dłuższe niż zwykle. Jeśli zaś chodzi o bolesne, obrzmiałe piersi, Noel zwykł był mawiać: „Jeśli stres może wywołać zawał, to z pewnością może też wywołać krostę”.

Czemuż by zatem nie piersi?

Pomimo jednak że tak wiele zwała się na stres, nie można go z pewnością obwiniać o ciążę. Tej i jeszcze kilku rzeczy Cora była absolutnie pewna. Z pewną niechęcią przypomniawszy sobie, że w całym tym seksualnym rozpasaniu towarzyszącym śmierci Williama zapomniała raz czy dwa o antykoncepcji. Czy myślała że poczęcie jest niemożliwe w obliczu utraty życia? Teraz z całą ostrością widziała, że jest wręcz przeciwnie – bliskość pomiędzy nimi a Williamem wydobyła z nich wszelkie zapasy życia. Jakby śmierć jednej istoty powoływała do życia następną, robiła miejsce dla niebiańskiego zesłańca. Ona i Ray pożegnali człowieka witając następnego. Koniec czyjejś podróży stał się początkiem nowej. Jak w pożegnalnej piosence.

– Czy coś się stało, proszę pani? – indagował portier w liberii.

Wyprostowała się, poprawiła spódnicę i pończochy.

– Nic się nie stało – odparła. – Chyba będę miała dziecko.

Odkrywając, że jest przy nadziei, Cora czuła jak narastają w niej ambiwalentne uczucia – niczym dzin, który nie ma ochoty spełniać życzeń. Daleka była od euforii, raczej podekscytowana i pełna obaw. Przytłaczało ją poczucie, że oto zwiąże się z kimś na dwadzieścia lat. Zawsze się tego bała. Myślała, że będzie złą matką, niekonsekwentną, mało troskliwą, niedostępną, że nie będzie miała dość cierpliwości żeby bawić się z dzieckiem. Jeżeli nie miała czasu dla siebie, skąd weźmie go dla dziecka, zagubionego w świecie, nie znającego słów? Jak miała nauczyć je życia, skoro sama opanowała tylko jego podstawy?

Naprawdę się bała, że jej dziecko urodzi się z wrodzoną niechęcią do swojej matki.

Ale z drugiej strony tkwiła w niej natarczywa wścibskość. Chciała poznać wszystkie strony życia, a to była niewątpliwie jedna z ważnych stron. Jak to się mówi? – Nigdy nie ma dobrego momentu. A może to ona tak mówiła? Nieważne.

– Jesteś pewna? – zapytał Bud kiedy mu powiedziała. – Skąd wiesz?

– Cóż – zaczęła z wahaniem – zrobiłam pięć domowych testów ciąży, wszystkie wyszły pozytywnie. Nie dostałam okresu, w tych okolicznościach to normalne. I te bóle w piersiach. To chyba dosyć.

Żałośnie popatrzyła na ubrania w okolicach piersi i brzucha. To był początek tego co nazwała Ciężowym Upokorzeniem. Coś w niej, daleko od dziecka, czuło się schwytnie i głupie. Była jak tory i póki pociąg się nie wykolei, słyszała coraz głośniejsze pogwizdywanie lokomotywy, coraz większej i większej, która wreszcie przemknęła przez jej ciało, pozostawiając za sobą ruinę fizyczną i umysłową. Ktoś kto chodzi jak kaczka nie może być traktowany poważnie, tego była pewna.

– Jesteś z tego zadowolona? – zapytał Bud z wahaniem.

– Jak mamusie w reklamówkach? – spytała ponuro.

– Mamuśka – stwierdził Bud. – Będziesz mamuśką.

Odpędzała go machając ręką.

– Przy nadziei – drażnił. – Z bobaskiem w brzuszku.

– Z dzidzią – dodała żałośnie.

– Cezarku, dobrze się czujesz?

– Dobrze się czuję – odpowiedziała patrząc na wzór na dywanie. – Po prostu dochodzę ze sobą do ładu. Wiesz, myślę jak o tym powiem ludziom, co zrobić żeby za bardzo nie utyc, takie tam. Bud wyciągnął rękę i poklepał ją po plecach.

– Będzie dobrze, zobaczysz. Jeśli tego właśnie chcesz, będzie dobrze.

Cora zaczęła potrząsać uparcie głową, wpatrzona gdzieś przed siebie.

– Nie wiadomo – powiedziała ochrypłym głosem, pojedyncza łza drżała na jej policzku. – Nikt nie wie takich rzeczy.

Podczas pobytu w Nowym Jorku Cora pracowała nad jeszcze innym scenariuszem, dla Michaela Hardinga, sławnego aktora i reżysera, któremu czasami wysyłała dowcipy.

Michael zatrudnił tylko ją bo uważał, że Bud jest „zbyt patologiczny”. Podczas ich z konieczności częstych rozmów telefonicznych Cora niekiedy dawała upust swojemu przygnębieniu. Pewnej nocy zaczęła łkać w słuchawkę.

– Przepraszam, że jestem taka wrażliwa, to pewnie problemy hormonalne, przejdzie mi. Tak to jest. Trochę wymiotujesz, trochę popłakujesz.

– Po prostu żegluj – cierpliwie doradzał Michael. – Żegluj i mów.

Cora podziękowała, powstrzymała łzy i odwiesiła słuchawkę. Wysyłając mu faxem najnowsze dowcipy zastanawiała się nad tą radą. Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Zawsze żegluję i mówię – jęczała Budowi. – Dla mnie to nie jest cel sam w sobie. Umieję narysować mapy tego co mi dokucza. Ja po prostu chyba nie potrafię wyartykułować się na zewnątrz, znaleźć nowych dróg. Kręcąc się w kółko po moim starym świecie, wracam do znajomych miejsc, znajduję tam wciąż coś nowego, hoduję jakieś mamutowate paprocie – relikty – przerwała i spojrzała na niego, skonsternowana. – Chyba się trochę rozjęczałam?

Popatrzył na nią znacząco, jakby utwierdzając się w przekonaniu, że nie uronił nic z jej rozjęczenia.

– Chyba tak – wolno pokiwał głową. – Ale może to z powodu całego tego żeglowania i mówienia. To cię napędza.

Cora zwiesiła głowę.

– A co na to kartograf? – zapytał troskliwie. – Śpi?

Podniosła głowę i zastanawiała się.

– „Kartograf śpi”. Dobry tytuł.

– A może „Śpiący kartograf”?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie ustąpię. To „Kartograf śpi”.

Ramiona Buda zatrzęsły się od bezgłośnego śmiechu.

– Co w tym śmiesznego? – zapytała.

– Zabijasz mnie – wykrztusił nie mogąc złapać oddechu. – Cały mój Cezar – taka przekonana o tytule.

Wrócili do pracy i Cora przypomniała sobie o ciąży dopiero jakieś pół godziny później. Bud popatrzył na nią angażując w spojrzenie brwi i dolną wargę. Gapiła się w przestrzeń przed sobą jakby mierząc jej głębię, szukając wraków statków i zatopionych skarbów.

– Może zrobię jeszcze jeden test na wszelki wypadek – stwierdziła. – Nie ma sensu wyciszać się po próżnicy.

– Wyciszać się? – powtórzył jak echo.

Pomachała mu po drodze do swojej części apartamentu.

– Coś pomiędzy wydziwiać i cieszyć się – oznajmiła. – Aluzja z „Kartograf śpi”, rozdział dwunasty. – Zniknęła za drzwiami.

– Jeżeli jesteś w ciąży – zawołał za nią Bud – to znaczy, że test wyszedł pozytywnie czy negatywnie?

Nie odpowiedziała, usłyszał tylko jak z trzaskiem zamyka drzwi do łazienki.

Obserwowała biały plastikowy patyczek na którym rozbrłysło słowo „tak”. Potem wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze i czuła, że oglądają czworo oczu, dwoje z brzucha i dwoje z głowy. Usiadła na zimnym, twardym brzegu wanny. Ześlizgując się na jeszcze zimniejszą podłogę złapała mały notesik. Gorączkowo przetrząsała portfel w poszukiwaniu czegoś do pisania. Wreszcie znalazła pióro w bocznej kieszonce i rysowała kółka na marginesie, póki nie ujrzała niebieskiej, trochę falistej linii. Zaczęła pisać. „Rozmyślając o pogodzie wewnątrz, trzeba koniecznie zauważyć – pamiętaj zauważyć; pogoda jest o wiele za dobra – jak srebrzyste łąchy niesfornego piasku, wypada z pamięci i kładzie się do stóp...”

Przerwała i pomyślała o swoim stanie – stanie który wkrótce zaciągnie przejrzystą zasłonę odgradzającą ją od całego dotychczasowego życia. Przyjdą pieluchy, zabawki, idiotyczne miny i głupawe dźwięki.

Wyobraziła sobie, że może dotykać swojego dziecka, wacha jego główkę, a jego małe stopki – co? gryzie, ściska, łaskocze? Usiłowała postanowić, wszystkimi częściami ciała zdolnymi do decydowania, że to dziecko jest dziewczynką. Te części Cory, które nie mogły decydować, obawiały się kary za niejasno określone przestępstwa, kary w postaci chłopca. Bała się, że mogłaby mieć syna, dziecko-mężczyznę. Dziecko, które wyrastałoby, żeby coraz mniej ją rozumieć – które miałyby jej za złe, że nie mieszka z jego ojcem. Zbuntowanego chłopca z zamiłowaniem bawiącego się w wojnę i kopiącego piłkę. Nie czułaby się dobrze myjąc go, a on uciekałby od niej, odmawiał wzięcia kąpieli czy jedzenia, wołał prezenty od ojca, pogłębiał przepaść między nimi.

Nie. Nigdy nie myślała o tym. W jej wnętrzu zrodziła się dziewczynka, rosła i rozkwitała. Mała kobieta, która podtrzyma ginącą urodę matki. Elektryczne dziecko, rozsiewające blask nawet po odłączeniu od Cory.

Będzie piękna – przejrzysta i blada jak Ray, ogrzana zachwytem. Diabełki z oczu Cory roztańczą się w jej oczach, zmienne jak morskie fale.

Cora nigdy nie myślała o sobie jako o matce. Bała się tego, ale nigdy nie próbowała sobie wyobrazić. Zaczęła zbierać wszystkie swoje ewentualne zalety. Jej przyjaciółka Joan twierdziła, że najważniejsze to pokazać dziecku świat. Cora czuła się w tym zupełnie kompetentna. Z pewnością będzie umiała dać dziecku zdolność, nawet pasję, komunikowania się. Miała energię i wolę. Co jeszcze? Uderzył ją patos w jaki popadała tak troszcząc się o swoje lepsze strony. Jaka była, poza tym, że była niecierpliwa, leniwa, strachliwa, próżna i lubiąca ludzi? Miała na pewno poczucie humoru.

Może powinna zadzwonić do Raya i powiedzieć mu o tym – na przeszkodzie stała jej duma. Może powinna zatelefonować do któregoś z jego przyjaciół, tych uprzejmych, przyjaznych i nudnych jak flaki z olejem facetów. Ale co im powiedzieć?

Wyobraziła sobie, że gdyby Ray dowiedział się o ciąży, próbowałby zrobić to co w jego mniemaniu powinien. Bała się wychowywać Esme sama, czuła się beznadziejnie nie przygotowana do podjęcia tej odpowiedzialności. Gdyby tylko Ray był tym, kim wydawał się być, kim pragnął być. Skaut, który trwałby przy niej, zdolny zrobić wszystko dla niej, kochałby ją taką jaka jest i jaka prawdopodobnie pozostanie.

Ale on znalazł już powód żeby odejść, a ona nie potrafiła się zmusić, żeby do niego zadzwonić. Nie mogła też usunąć ciąży – po prostu nie mogła. Pamiętała tamte małe trumienki z rzeźbionymi aniołkami i małymi ptaszkami. W sumie nie musiała podejmować żadnych decyzji, mogła robić tylko to, co właśnie robiła. Zdjęła spocone nogi z glazury i poszła z powrotem do Buda. Zasalutował jej.

– Ave Cezar, łaskiś pełna – zaintonował poważnie. – To znaczy Łaski, jeżeli to dziewczynka. Potwora, jeżeli chłopiec.

Usiadła ciężko.

– Nie dowcipkuj, to przynosi pecha.

Bud wyglądał na zmieszanego.

– Pecha? W jakiej religii?

– W żadnej religii. Od kiedy pech to sprawa religii?

– Od kiedy ja nie wyznaję żadnej. To znaczy w praktyce większość czasu, jeśli się nad tym zastanowić.

– Jeśli ty się nad tym zastanawiasz – odparła.

– Mam jedną prośbę – popatrzyła na niego. – Jako pisarz – kiedy przyjdzie czas... Chciałbym, żebyś się zastanowiła czybyś mi nie pozwoliła karmić piersią. Nie musisz odpowiadać teraz – chciałem tylko zapytać.

Spojrzała na niego, leciutki uśmiech czaił się na jej ustach.

– Jako pisarz dam ci znać, kiedy przyjdzie czas.

Cora przygotowywała się na telefony do swojego Komitetu. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że zna tak wielu ludzi. Odnajdywała siebie, uprawomocniała się w słowach. To był sposób na ciągłość i kontakty, za którymi tak tęskniła w dzieciństwie. Jak Ray, opuściła dom szukając tych związków. Tyle że nie musiała ich szukać tak daleko jak on.

Włożyła swoją najmniej pogniecioną nocną koszulę, białą, z długimi rękawami i koronką przy kołnierzu. Wyszorowała zęby, uperfumowała się i nałożyła krem pod oczy. Logiczne wydawało się, że jeśli dobrze wygląda, wieści również zabrzmia lepiej. Przyjrzała się sobie w lustrze rozważając użycie pudru żeby skóra pod oczami mniej się świeciła. W końcu stwierdziła, że wyłączy górne oświetlenie, zostawiając tylko małą lampkę, niezbędną do odcyfrowania numerów, których nie pamiętała.

Najpierw zadzwoniła do Joan. Joan miała dużo dzieci i mogła udzielić jej matczynego wsparcia. Poza tym nie pochodziła z Los Angeles. Zresztą kto stąd pochodził? Ale Joan miała zakodowane instynktowne, podświadome wartości, które Cora pragnęła sobie przyswoić.

Odebrała Natalie, siedmioletnia córka Joan.

– Hej – powiedziała drżącym głosem Cora. – Czy jest twoja mama?

– Tak, proszę chwilę poczekać. – Natalie rzuciła słuchawkę i Cora słyszała jak przywołuje matkę – Mama! – i potem jeszcze głośniejsze – Maamaaa!

Cora pomyślała, że ta sytuacja powtórzy się w jej domu za kilka lat. Ktoś zadzwoni i jej własne dziecko odbierze telefon i pobiegnie jej szukać wykrzykując cienkim, dziecięcym głosem jej nowe imię.

– Witaj, dziecinko – odezwała się ciepłym, zniewalającym głosem Joan.

– Właśnie tak, dziecinka – wyjaśniła Cora.

– Raya? – indagowała Joan.

– I moja.

– To wiem komu dać pościel do kołyski po Natalie. Jest żółta, nadaje się dla obydwu płci.

– Kłopot w tym, że rozstaliśmy się z Rayem przed moim wyjazdem.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Na dobre? – zapytała wreszcie Joan.

– Nie wiem czy to takie dobre jeśli chodzi o dziecko i wszystko – ale tak chyba

będzie dla nas lepiej.

– Cóż dzieci są bardzo elastyczne. Poza tym nie będzie przyzwyczajone do tego, że jesteście razem i że może coś stracić. Powiedziałaś mu już?

Cora przełknęła ślinę.

– Miałam nadzieję, że ty to zrobisz za mnie.

– Zapomnij o tym.

– W takim razie wyślę mu liścik – zaproponowała Cora.

Joan roześmiała się.

– Liścik? Zamierzasz napisać mu liścik wyjaśniający, że zostanie ojcem? A co byś powiedziała na fax? Albo krótką wiadomość w automacie zgłoszeniowym?

– Co mam w takim razie zrobić? Mam napisać sześćdziesięciostronicową, porywającą rozprawę?

Rozważyły łączność satelitarną i alfabet Morse'a, przesyłki ekspresowe i gołębie pocztowe. Kiedy Cora zaczęła mówić o tam-tamach w dżungli, Joan przypomniała jej, że chodzi tu o nie narodzone dziecko jej i Raya. Cora uspokoiła się i zaczęły rozmawiać o najlepszych rodzajach wózków dla dzieci i sklepie na South Beverly, w którym można dostać przepiękne kołyski. Joan chciała dać Córce prysznic dla dziecka, ale Cora nie potrafiła na razie o tym myśleć, powiedziała zatem „może” i obiecała, że raczej go weźmie.

– Kiedy dziecko się urodzi, przestanę żartować i zacznę patrzeć na życie serio, ale zastrzegam sobie prawo do dziecinnienia – powtarzam: dziecinnienia – w czasie ciąży. Potem będę bardzo poważna i realistyczna.

Joan zasugerowała, żeby Cora wymyśliła kilka wariantów listu do Raya i przefaksowała je do niej.

Następny telefon był do Noela. Wiedziała, że nie zada jej żadnych trudnych pytań i że będzie niewiarygodnie praktyczny. Odebrał jego polski kamerdyner. Kiedy poszedł poprosić Noela, Cora słyszała melodię z Disnejowskiej „Księgi dżungli”. Noel podniósł słuchawkę ciężko oddychając. Z pewnej odległości dochodził pomruk domowej bieżni.

– Gdzie byłeś? – zaatakował z miejsca. – Jak ci tam było?

– Cóż, prawdę mówiąc nie jestem całkiem pewna. Zdaje się, że jestem w ciąży. Trafiona, jak mówią. Z brzuchem.

– Wow. Znam doskonałą lekarkę w Cedars. Na pewno ją polubisz. Ma gabinet zaraz obok mojego. Pozwól, że się tym zajmę.

Sapał teraz jeszcze głośniej, Cora domyśliła się, że ustawił bieżnię na wyższe obroty.

- Sapiesz jakbyś miał atak serca.
- A ty jakbyś miała mieć dziecko. Remis.

Zaznaczyła, że pozostanie w ciąży długo potem jak on zejdzie z bieżni. Pogratulował jej i rozłączyli się.

Cora przebierała palcami, rozważała telefon do byłego męża, żeby nie dowiadywał się od obcych. Ale nie czuła się na siłach. Przekartkowała książkę telefoniczną i odnalazła numer do swojej przyjaciółki – dziennikarki, Sary. Nie była to może najbliższa przyjaciółka, ale dobrze doradzała i była bardzo rozsądna.

– Cora, to świetnie! Musisz mieć dziecko, ja jestem na to zbyt dziwaczna i zahamowana, więc w pewnym sensie urodzisz za nas obie, za wszystkie zahamowane.

Cora poczuła się bardziej pewna siebie. Szło lepiej niż oczekiwała. Pełna optymizmu, z lekkimi mdłościami wykręciła numer Cliffa.

- To ja – to była skrócona wersja ich obszernych powitań.
- Cudna, myślałem, że jesteś w Nowym Jorku.
- Jestem tu. I w ciąży.
- W ciąży? Podobno rozstaliście się z Rayem?
- Rozstaliśmy się.
- W takim razie... Co to wszystko znaczy? Zamierzacie wrócić do siebie?
- Nie, ja zamierzam mieć dziecko sama. To znaczy, oczywiście, on jest ojcem, będzie mógł je widywać i w ogóle.

Cliff wtrącił się:

– Kochanie, jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? Po wszystkim przez co przeszedłeś.

– Tak, chcę mieć dziecko. Ale to ogromna różnica chcieć dziecko a mieć je, konkretne, namacalne. Ktoś powinien mi powiedzieć, upewnić mnie, że to dobry pomysł, muszę to usłyszeć.

– Cudna moja, przecież wiesz co o tym myślę. Kocham cię.

Jeżeli to dla ciebie ważne, powinnaś to zrobić.

– Będziesz ojcem chrzestnym?

– Niech tylko ktoś spróbuje mnie powstrzymać!

Cora roześmiała się.

– Chciałabym zobaczyć tego śmiałka.

Po rozmowie z Cliffem zadzwoniła do swojego byłego narzeczonego, z którym flirtowała od lat. Zastanawiali się nawet nad ślubem na długo przedtem zanim poznała Raya – przyjęcie weselne, podróż poślubna do Europy na pokładzie Queen

Mary z grupką przyjaciół. To była ich wielka fantazja, zabawa, którą podtrzymywali, nie zamierzając jej urzeczywistniać.

Głos Martina brzmiał dziwnie, ochryple.

– Jesteś chory? – spytała smutno.

Chichotał, jedyny spośród jej przyjaciół, który to robił. Nikt inny nie rechotał, nie parskał śmiechem, nie wydawał dziwacznych dźwięków.

– Do pewnego stopnia tak.

– Do jakiego stopnia?

– Problemy zjedzeniem.

Kiedy Cora mu powiedziała, stwierdził:

– No, teraz jestem chory. Kiedy się to wszystko stało? Mam nadzieję, że to nie zaszkodzi naszym planom?

– Nie, muszę tylko wziąć ze sobą podręcznik do ćwiczeń w oddychaniu.

– Jakim statkiem płyniemy?

– QE Two. – odparła, zadowolona, że nadal mają swoją fantazję. – Rejs świąteczny.

Im więcej osób powiadomiła, tym bardziej wszystko stawało się realne. Nie był to już dłużej sekret ukryty głęboko w jej wnętrzu, ale fakt, który stał się własnością jej przyjaciół, coś, czego już nie mogła im odebrać. Myślała o tym, zmagając się sama ze sobą, aż wreszcie, uzbrojona w akceptację rodziny i przyjaciół, pogodziła się z tym. Jeśli zdołała to pojąć i odpowiednio wyrazić, wszystko się ułoży. Albo coś koło tego. Mogła zrobić co w jej mocy, a jeśli to za mało, to wierzyć, że następnym razem będzie lepiej. A przynajmniej to sobie wmówiła.

Po pracy do późna z Budem Corę obudził telefon o dziewiątej rano.

– Halo? – zapytała, ale nie uzyskała odpowiedzi, usłyszała tylko nieregularny, wzburzony oddech. Podniosła się na łokciach i wsłuchiwała przez chwilę. Wyłowiła zduszone łkanie.

– Mama? – zgadywała. – Co się dzieje?

Cokolwiek by się działo, obywało się bez słów, ale Cora była już teraz pewna, że tajemniczą osobą po drugiej stronie jest Viv, a Viv z definicji nie przywykła do milczenia.

Na początek Cora próbowała ustalić najważniejsze fakty.

– Nikt nie umarł?

Viv zdołała wydusić z siebie cichutkie, żałosne:

– Nie – po czym znenacka podniosła krzyk – Sally oddała Billa do domu opieki!

Bill był ojcem Viv. Po śmierci matki Viv, Minnie, poślubił pielęgniarkę, która przychodziła na kilka godzin dziennie pielęgnować chorą Minnie. Viv zawsze uważała Sally za kogoś w rodzaju poszukiwacza złota – chociaż, co podkreślała Cora, nie mogła się po Billu spodziewać zbyt wiele złota.

Viv niełatwo przyszło zaakceptować drugą żonę ojca, ale kiedy okazało się, że przyczyną posuwającej się sklerozy Billa jest choroba Alzheimera, doceniła zawód Sally, twierdząc, że nie zostanie „przeflancowany do jednego z tych okropnych miejsc”. Ale najwidoczniej myliła się. Sally powiedziała ponoć, że wydaje jej się, iż jej wiedza i umiejętności są niewystarczające żeby radzić sobie ze zmiennymi nastrojami i nietrzymaniem moczu Billa.

– Umiejętności, ha! – ironizowała Viv. – Czekala tylko na okazję żeby się go pozbyć i mieć cały dom dla siebie ta... ta... znieczulica!

Cora podeszła do barku niosąc ze sobą telefon i sięgnęła po cołę, przypomniała sobie o ciąży i wzięła 7-Upa.

– A mój ojciec tymczasem jest wśród obcych, którzy traktują go jak dziecko – zawodziła Viv. – Albo jeszcze gorzej, jak idiotę. Znam mojego ojca, czuję jego ból.

Ból pełnił w życiu Billa szczególną rolę. Przez większość życia Bill w ogóle nie odczuwał bólu. Jego ojciec mógł go zbić, mógł zostać pobity w szkole, nawet skopany – nie czuł bólu. Pewnego razu, kiedy pracował przy drewnie prawie obciął sobie dwa palce, pobrudził krwią wszystko dookoła i nic. Potem, kiedy skończył

sześćdziesiąt lat, pośliznął się podczas pracy na łodzi kolegi i usłyszał jakieś chrupnięcie w szyi. Od tego czasu bolało go nawet najdrobniejsze skaleczenie, jakby nie wykorzystane zasoby bólu z całego życia nagle się ujawniły. Byłe draśnięcie doprowadzało go do agonii, wprost nie do opisanego. Zwykle chwycił wtedy swoją skórzaną łapkę i mówił: „A teraz każda drzazga zabija mnie”.

Cora zamyśliła się nad testamentem cierpienia swojej rodziny. Bill nagromadził w sobie ból całego życia i w pewnym momencie wypuścił go na wolność. Viv doświadczyła go niemało, resztę zostawiając córce. Przypomniała sobie bitkę pod knajpą o dźwięcznej nazwie „Mick’s Fly & Tackle”, w której dziadek stracił dwa zęby i leżał nieprzytomny przez pół dnia. Dzień, kiedy spadł z parkanu u Shermana i złamał sobie obydwie nogi oraz uszkodził kręgosłup. Ale jak było z bólem psychicznym? Czy też zamarzył a potem odtajał? Czy nawet teraz podążał śladami kolejnych pokoleń, sadowił się obok małej Esme w pęcherzu płodowym, przygotowując się wraz z nią do nowych występów w odwiecznym przedstawieniu?

Cora do mistrzostwa posiadała sztukę, którą jej matka nazwałaby sprytem, gdyby nie była tak przygnębiona ciężkim położeniem swego sędziwego ojca.

– Mamo – zaczęła – muszę ci coś powiedzieć. Właściwie to kilka rzeczy.

Viv pociągnęła nosem po całej linii z Los Angeles.

– Co się stało, kochanie? – zapytała przybierając matczyzny ton.

Cora przysiadła na brzegu łóżka i założyła nogę na nogę.

– Przede wszystkim jak i Ray rozeszliśmy się – czekała na typową dla Viv ekscentryczną odpowiedź.

– Nie mogę powiedzieć, że bym się tego nie spodziewała. To miły chłopak, ale nie dla ciebie. Zawsze powtarzam, że mężczyźni to małe śmierdziele, przychodzą nie wiadomo skąd i zasmradzają ci całe życie.

Cora uśmiechnęła się i skłoniła głowę w podziw. Po co komu tradycyjna matka jeśli ma się matkę, która potrafi powiedzieć coś takiego?

– Poza tym myślę, że jestem w ciąży.

Doszło do niej ledwo wyczuwalne drgnięcie.

– To śmierdziele, ale potrafią czasem robić piękne dzieci. Dziecko to błogosławieństwo. Nie jesteś tym wzruszona?

Cora z namysłem podrapała się po twarzy.

– Nie jestem skora do wzruszeń nawet w komfortowych warunkach – cokolwiek by się przez to rozumiało. Ale jestem tak szczęśliwa jak mogę w tych okolicznościach.

– Dobrze! – zawołała Viv. – Moja dzielna, silna córeczka. Miejmy nadzieję, że to dziecko po tobie odziedziczy umysł a po nim – hmm... Co byś chciała?

To było pytanie, na które Cora już obmyśliła odpowiedź.

– Umiejętność spania w dzień.

– O tak, to by było dobre. Prawie nikt z naszej rodziny tego nie potrafi – paplała Viv. – To świetna wiadomość. Gdybyśmy tylko zdołały pomóc tacie, wszystko będzie w porządku. Wiesz że zamierzałam zabrać go tam gdzie się urodził, do Whitewright w Teksasie. Już od jakiegoś czasu powtarza w kółko, że chce jechać do domu. Czy nie chciałabyś przed śmiercią pojechać do domu?

– O tak, to byłoby dobre – powtórzyła. – Prawie nikt z naszej rodziny tego nie potrafi – przerwała raptownie. – Wiesz, kochanie, to mi przyszło do głowy.

Cora owijała sobie kosmyki włosów wokół palców.

– Co ci przyszło do głowy, mamó? – spytała z roztargnieniem. Viv często przychodziły do głowy takie rzeczy, które Cora chciałaby natychmiast odesłać tam skąd się wzięły.

– To szczególnie moment – tatuś w szpitalu, ty w ciąży z jego prawnukiem. To takie oczywiste, że też ty tego nie zauważasz, taka inteligentna!

Cora zaczęła owijać włosy dwa razy szybciej.

– Może nie zauważam, bo jestem w Nowym Jorku. A może to skutek podróży w połączeniu z ciążą, która rujnuje na zawsze moje ciało i umysł.

Viv ucięła utyskiwania córki.

– Wiesz co mówił tata przez długi czas, że chce jechać do domu – nawet przed całą tą aferą. Prawdę mówiąc, zamierzałam go zabrać do Whitewright w Teksasie, gdzie się urodził. A teraz widzę że właśnie to musimy zrobić. Tatuś musi wrócić tam skąd pochodzi, a my go tam musimy zawieźć. Kiedy będzie tam, gdzie powinien być i gdzie chce być, wtedy twoje dziecko przyjdzie na świat tam, gdzie pewnego dnia powróci – ale tymczasem wszystko będzie dobrze, bo wszystko będzie w odpowiednim miejscu. Biblia głosi „Jak było na początku, tak teraz i zawsze i na wieki wieków”. Teraz rozumiesz, kochanie? Biblia nam to nakazuje, mamy wyruszyć żeby przywrócić pokój i radość.

Zawahala się, po czym dodała:

– Może nie tyle przywrócić ile uzyskać trochę pierwszy raz w życiu. Dla nas, dla dziecka. Czy teraz rozumiesz?

Cora przestała bawić się włosami i zamknęła oczy żeby bez przeszkód słuchać głosu matki głoszącej szaloną rodzinną ewangelię, ujrzyć ją w ciemnościach pod zaciśniętymi powiekami. Problemem w tym, myślała – Cora albo dziecko, bo

trudno jej było rozróżnić – że w tej przytulnej ciemności szalona ewangelia brzmiała zupełnie rozsądnie. Może w ciąży zmieniają się kryteria rozsądku.

Zastanawiała się. Pragnęła prostszego życia, takiego w którym jest miejsce i czas na grę na harmonijce. Może to było właśnie życie w Whitewright? Miejsce dla starego dziadka i maleństwa. Może tam, w Whitewright, mogli ją nauczyć prostych prawd o rodzinie, szczególnie teraz, kiedy miało na świat przyjść jej dziecko, pozbawione normalnej rodziny. Cora musiała znaleźć filozofię życia, okruchy mądrości, które wyprowadziłyby ją z arkadyjskich ogrodów dzieciństwa w macierzyństwo. Nie wierzyła, że istnieje „normalne” dzieciństwo. Normalność w jej pojęciu to była akceptacja. To właśnie miało miejsce w szczęśliwych rodzinach, każdy akceptował swoje miejsce. Tak właśnie musiało być w Whitewright. Jej dziadek wyjechał stamtąd przez pomyłkę, kiedy zwrócił go Whitewright, wszystko się ułoży. Porządek obejmie całą rodzinę, łącznie z nie narodzonym dzieckiem Cory. Słyszała, że Viv zapala papierosa.

– Porwijmy go – powiedziała Cora.

– Wyjęłaś mi to z ust.

I zaczęły knuć spisek.

## Kochana Esme,

*ktoś opowiedział mi kiedyś pewien jungowski dowcip – o ile wiem jest to jeden z niewielu dowcipów przypisywanych Jungowi. (Jung był jednym z twórców psychoanalizy – możesz sobie o tym poczytać). Brzmi tak: „Co łączy dziadków i wnuki?” Nie wiesz? „Wspólny wróg”. Niezbyt zabawne, ale Jung nie był szczególnym dowcipnisiem.*

*Przejdźmy jednak do rzeczy – to miało Ci wyjaśnić co Cię łączy z Twoją babcią Vivian (moją matką, tą, która przepowiadała, że mogę umrzeć w połogu – bo w pewnym sensie sama umarła w połogu). Twój ojciec nie był wielkim miłośnikiem mojej matki. Uważał, że jest ekscentryczna i trudno z nią rozmawiać – albo raczej trudno jej słuchać. Dość powiedzieć, że nigdy nie znaleźli wspólnego języka. Niech tam sobie o niej mówi co mu się żywnie podoba – ona wciąż ma czerwone pantofelki z „Czarodzieja z krainy Oz”. Chciałabym wiedzieć, co czuła i myślała moja matka będąc w ciąży ze mną. (Zakładając, że ten rudzielec rzeczywiście jest moją matką, o czym mnie często zapewnia). Zrozumiesz, dlaczego jestem ciekawa, kiedy poznasz sposób myślenia swojej babki. Zdaje się, że wynalazła sposób na rzeczywistość inny niż ten powszechnie używany. Kiedy nie podoba jej się rzeczywistość, zmieniają – nie czekając długo. Kiedy sprawy nie idą po jej myśli, ona idzie – dotąd aż nagnie je w odpowiednią stronę. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam pojęcia jak ona myśli, ale jestem pewna, że robi to w wielkim stylu, jak zresztą wszystko do czego się zabiera.*

*Mój ojciec nazywał ją Żelaznym Motylem. Mnie przezwał Panna Uszko – nie tak olśniewająco i poetycko, oczywiście. Szpiegowałam każde jej słowo, starając się ze wszystkich sił nie opuścić żadnych wskazówek dotyczących tak zwanego „życia rodzinnego”. Nie mając alchemicznego podejścia do rzeczywistości mojej matki wyobraziłam sobie, że im więcej się dowiem o świecie, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo gorzkich rozczarowań później. Myślałam, że nie oberwę od życia po tyłku. Myliłam się grubo – do niczego mnie nie doprowadziły te starania. Ale, jak mówi Bud, „Miło spróbować”.*

*Reasumując, zdaje mi się, że żadna z tych mądrości, które staram Ci się przekazać, nie powstrzyma mnie przed nieuniknionym i żarliwym pogryzieniem Twojej pupki... Wyjdź, to porozmawiamy.*

*Duża buźka*

*od Panny Uszko*



Koledzy po piórze niewiele ze sobą rozmawiali w drodze powrotnej do Los Angeles. Bud był przygnębiony, jak zwykle po skończeniu filmu, a Cora nauczyła się już, że trzeba go zostawić w spokoju, żeby przeżuł to, co miał w sobie i doczekał nowego zadania. Bujał, teraz gdzieś daleko, po prywatnych obłokach, wpatrując się z uporem w jakiś punkt przed sobą. Zgodził się nawet pojechać z Córá do Whitewright – poprosiła go o to, bo obawiała się zostawić go samego. To że Camille grała niewielką rolę w wyświetlanym na pokładzie samolotu filmie nie przyczyniło się do poprawy jego nastroju. Cora przespała ostatnie pół godziny podróży, podczas gdy Bud pochlipywał ukryty pod niebieskim kocem. Na lotnisku odebrali samochód Buda i pojechali prosto do Viv. Cora nie miała ochoty oglądać swojego domu, a Bud zaopatrzył się w zapas świeżych ręczników przed wyjazdem. Jechali w milczeniu, aż wreszcie Bud zwolnił i zatrzymał się przed domem Viv w Valley. Dwupiętrową budowlę w stylu Tudorów otaczały wybujałe krzewy i dęby.

Cora wysunęła nogi z samochodu i stanęła na chodniku, zarzucając torebkę na ramię. Popatrzyła na dom, w którym się wychowała i śmiało weszła na schody.

Ze środka dochodziły dźwięki muzyki.

– Duża orkiestra – zauważyła. Spojrzała na Buda, żeby zobaczyć, czy słyszy to samo, ale jego twarz była bez wyrazu. Wątpiła jednak czy człowiek w takim stanie słyszy muzykę. Chwyciła za kołatkę i uderzyła trzy razy. Zza drzwi dobiegł tupot zbliżających się stóp.

– Wypłoszyłam ją z fotela – skomentowała.

– Nadchodzi matka Cezara – zmęczonym głosem powiedział Bud.

Oczy utkwiał w dolne drzwi, ramiona zwiślały mu bezwładnie. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Viv, cała spowita w zielenie.

– Dzień dobry, mój słodki aniołku – zawołała, przytulając Corę.

Zaczęła bawić się jej włosami, odgarniała je z twarzy i całowała policzki córki.

– Niech ci się przyjrzę – czyżby twarz ci się trochę zaokrągliła? – wzięła twarz Cory w dwa palce i oglądała uważnie. – Nie, nic się nie zmieniło. Ja już w szóstym tygodniu wyglądałam jak kalafior – zwolniła uścisk. – Cora powiedziała mi, że masz samobójcze skłonności. Wejdz, dam ci trochę soku.

– Dzięki – Bud wspinał się na górę. – Nareszcie coś dla czego warto żyć.

Popatrzyła na niego poważnie.

– Śmiejesz się, ale czyste kiszki czynią cuda jeśli chodzi o wolę życia.

Usadziła ich na sofie w salonie i poszła po sok dla Buda. Pokój był przeładowany meblami, które wyglądały jakby pochodziły z większego, bardziej eleganckiego domu. Duże krzesła otaczały kuty w żelazie stolik ze szklanym blatem. Na podłodze stały lampy w kształcie nagich Nubijczyków w stylu art nouveau. Na kominku tłoczyły się najrozmaitsze figurki z licznych kolekcji Viv. Zbierała porcelanowe żołnierzyki, małpki, lalki i oprawione w srebrne ramki zdjęcia z różnych okresów jej życia. Były tam fotografie przedstawiające Viv z obecnym mężem, Bobem, Viv z Córá, z Minnie, z Billem i ostatnie, ale z pewnością nie najmniej ważne, Viv ze wszystkimi ludźmi, z którymi pracowała. Wielkie nazwiska, reżyserzy i producenci, a nawet dekoracje z filmów, do których projektowała kostiumy. Na honorowym miejscu zawisała nominacja do nagrody Akademii z 1962 roku. Viv była nominowana za „Odległe wzgórze”, ale przegrała z Edith Head.

Vivian Ness przyjechała do Los Angeles z Mahaya w stanie Teksas, kiedy miała zaledwie siedem lat, z rodzicami i starszą siostrą, Pearl. Przyjechali pociągiem, tak jak teraz Viv zamierzała wrócić ze swoim ojcem po sześćdziesięciu latach. Z okien przedziału oglądała monochromatyczne barwy pustyni, które nagle ustąpiły miejsca najzwyklejszym terenom jakie kiedykolwiek widziała. Jako dziewiętnastoletnia dziewczyna pracowała kilkakrotnie na planie, ale nie lubiła ani czekania na otrzymanie pracy, ani na sfilmowanie jakiejś sceny. Naprawdę polubiła atmosferę wokół filmu i w samym studio. Dlatego przypominała sobie o jedynej rzeczy, którą umiała robić, której nauczyła ją w dzieciństwie matka – czyli o szyciu. Okazało się, że łatwiej jej przyszło wkroczyć do zaczarowanego świata filmu przez drzwi garderoby niż przez plan zdjęciowy. Przez cztery lata była garderobianą, jednocześnie uczęszczając na wieczorowe kursy projektowania kostiumów teatralnych. Pracowała jako projektantka słynnych gwiazd; Myrna Loy i Lauren Bacall stale zapraszały ją do swoich filmów. Wreszcie pojechała na Południe z niskobudżetowym filmem i tam poznała ojca Cory i wyszła za niego. Musieli odczuwać do siebie silny pociąg fizyczny, przynajmniej z punktu widzenia Cory, bo żadne z nich nigdy nie pamiętało nawet co przed chwilą powiedziało drugie, nie wspominając o jakiegokolwiek rozmowie. Viv mogła być doskonałym przewodnikiem po Hollywood od końca lat czterdziestych do początku siedemdziesiątych, czyli w okresie, kiedy sama tam pracowała. Dzięki niej Cora miała dostęp praktycznie do wszystkich filmów począwszy od produkcji z początku lat trzydziestych i znała nazwiska nie tylko aktorów i reżyserów, ale także innych osób związanych z filmem. Od kiedy Viv pozwoliła jej odwiedzać się na

planie, wielu z tych ludzi poznała osobiście. Cora odziedziczyła głęboką fascynację i podziw matki dla tego, co kryło się pod nazwą Przemysł Filmowy, dla całej skomplikowanej sieci misternych, pulsujących naczynek, które sprawiały, że kolos żył. Viv wiedziała wszystko: kto jest kim, gdzie mieszka i z kim, ile ma dzieci, czy jest w tarapatach czy też dobrze mu się wiedzie. Cora tak często wysłuchiwała tych opowieści, że zaczęła w końcu myśleć o tych ludziach jak o swojej ogromnej rodzinie.

– Proszę bardzo! – wesoło zawołała Viv wymachując szklanką soku pomarańczowego. – Ktoś jest głodny? Mam całe fury żarcia, wszędzie żarcie! Kurczęta, krewetki, sałatka ziemniaczana, groszek. – Odwróciła się do Cory. – A może troszeczkę galaretki dla ciebie, kochanie? Albo sera? Uwielbiałam ser będąc w ciąży. Kupowałam sobie całe krążki i dotąd podjadałam, aż zjadłam wszystko.

– Jedliśmy w samolocie, mamó – powiedziała Cora. – Poza tym lepiej się pospieszmy jeśli mamy zabrać dziadka i zdążyć na pociąg.

– No dobrze. Włączę wam telewizor i pójdę po moje rzeczy.

Włączyła telewizor stojący w kącie pokoju. Na ekranie Katherine Hepburn i Jimmy Stewart tańczyli na ulicy.

– Patrz Cora, to „Opowieść z Filadelfii”! – wykrzyknęła uszczęśliwiona.

– Widzisz tę suknię? Mam ją! – podkreśliła głos. – Jest w świetnym stanie. Mam oprócz tej sukni jeszcze suknię ślubną i kapelusz z zakończenia. – Odwróciła się w stronę Buda. – Cora mówiła ci o moim muzeum, tak?

Bud zmieszał się.

– Muzeum?

– Muzeum kostiumów, które zamierzam założyć – wyjaśniła. – Ale nie tylko kostiumów, które ja projektowałam. Widzisz, jakieś... niech policzę, który mamy rok... – może dwadzieścia lat temu? ... Jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu. Nieważne, chodzi o to, że wszystkie wytwórnie – Paramount, Metro, RKO, Fox – wyprzedawały na aukcjach pamiątkowe przedmioty, kostiumy, dekoracje, meble – wszystko. Uznałam, że to tragedia. Nie pomyśleli, że powinni chronić swoją historię, po prostu pozbywali się jej. Kupiłam ile byłam w stanie i od tamtej pory marzę o założeniu muzeum. Ale, ale – obróciła się do Cory – mam nowiny.

– Jakie? – spytała podejrzliwie. W głosie matki rozpoznawała aż za dobrze znajomy familiarny ton. Viv z miną psotnego dziecka wypuściła odrobinę dymu z papierosa.

– Wreszcie znalazłam miejsce na moje muzeum. W hotelu w Vegas, tuż obok Strip. Bardzo atrakcyjna cena. Ale trzeba kupować od razu, prawie darmo.

Cora wstała i uchyliła troszeczkę okno.

– Ile? – zapytała tylko, sadowiąc się na krześle.

Vivian przysunęła się konspiracyjnie.

– Dwa miliony – wyszeptała, po czym oparła się o siedzenie z zadowoloną miną.

Cora zbladła.

– Dwa miliony? – powtórzyła jak echo. – Za muzeum?

– Nie, kochanie – wyjaśniła cierpliwie Viv. – Za hotel. Muzeum będzie w hotelu.

Cora usiadła jak zamurowana.

– W porządku, muzeum i hotel. Ale mam, przecież ty się w ogóle nie znasz na prowadzeniu hotelu!

– Kochanie, nie będziemy o tym dyskutować, jeżeli masz tak negatywne podejście. Jakbym słyszała twojego ojca. Nareszcie mam szansę zrealizować swoje marzenie, nie mogłabyś się tym trochę ucieszyć?

Zarówno Viv jak i ojciec Cory mieli tendencję do zachowywania się dziecinnie albo wręcz jak dzieci w swych kontaktach z córką, zależnie od okoliczności. Jeżeli byli z niej zadowoleni, widzieli w niej swoje odbicia. Jeżeli rozczarowała ich czymś, dostrzegali ją, albo zły wpływ drugiego rodzica.

Viv szukała sojusznika w Budzie.

– Mój mąż zna się na posiadłościach. Wiele ryzykował inwestując na Florydzie i odnosił sukcesy. Pochodzi z Florydy i tam spędza większość czasu.

– Skąd weźmiesz na to pieniądze? – wyszeptała Cora.

Vivian przygasiła papierosa.

– Częściowo z emerytury, wezmę pożyczkę pod zastaw mojego domu i domu dziadka.

Podeszła do biurka i wyciągnęła szufladę.

– Popatrz, mam tu zdjęcia – Usadowiła się pomiędzy nimi i pokazywała fotografie hotelu.

Corę zaskoczyła jego wielkość. Spodziewała się małego, niemal rodzinnego domku na uboczu, o niskich sufitach i kilku kondygnacjach. Ujrzała tymczasem ogromnego dinozaura, wysokiego na ponad dwanaście piętér.

– Jezu – wymamrotała, z szeroko otwartymi oczyma.

– Taak – wtórował jej Bud. Spoglądali na zdjęcie i na Viv, jakby próbując znaleźć jakieś podobieństwo.

– Czy nie wspaniały? – zapytała Viv.

– Jest gigantyczny! – Cora próbowała okazać entuzjazm.

Bud odchrząknął hałaśliwie.

– Ile ma pokoi?

– Dwieście, wliczając amfilady.

Na następnym zdjęciu zobaczyli wielką, przepastną przestrzeń, najwidoczniej hotelowy hol. Ze ścian pozdzierano tapety a dywan zrolowano i zdjęto z podłogi. Wydawało się, że kurz i gruz leży wszędzie. Pozostałości czegoś, co kiedyś było prawdopodobnie barem, majaczyły w oddali.

– Tutaj będzie kasyno – oznajmiła Viv. Bud zwilżył usta, próbując wyobrazić sobie krupierów, dziewczyny, stoliki do kart i rzucane na nie pule, brzęk monet wypadających z jednorękiego bandyty.

– Zawieszę tu pewnie collage z dawnymi gwiazdami kina – objaśniała Viv, szeroko gestykułując. – A tu – przerzuciła zdjęcia – to jest kafejka. Zastanawiam się czy nazwać ją „Cafe Hollywood” czy „Kantyna Hollywood” – spojrzała na córkę wyczekująco.

– „Kantyna Hollywood” – bez zastanowienia odparła Cora.

Bud popatrzył najpierw na jedną potem na drugą z nich, po czym uderzył dłońmi o kolana.

– Brzmi nieźle – orzekł.

– Poczekaj aż zobaczysz szkice – powiedziała Viv. – Chcę żeby to nie było zwyczajne muzeum, ale rodzaj przejażdżki.

Cora przełknęła ślinę.

– Rodzaj czego?

– No wiesz, komnata horroru, jak z Hitchcocka. Coś w rodzaju straszącej podróży wśród kostiumów. Ludzie będą wsiadać do wagoników, jak w Disneylandzie i przejadą się wśród kostiumów.

Na przykład kiedy będą jechać przez dekoracje do „Ptaków”, opadnie ich stado wron, w „Psychozie” nóż wysunie się ze ściany, w momencie kiedy będą oglądać suknię matki Normana Batesa. To dopiero będą klimaty! No i oczywiście, trochę science-fiction, głównie z myślą o dzieciach, ale to odległe plany.

– To będzie w takim razie przerażająca przejażdżka – stwierdził Bud.

– Można to tak określić – przytaknęła uradowana Viv.

Cora poczuła lekki zawrót głowy.

– Ale z kostiumami? – zapytała cichutko. – Ptaki, sztylety i kostiumy?

Viv przesłała jej wyniosły uśmiech.

– Wiem, kochanie, że to nie w twoim stylu. Ale zaufaj mi. Twoja matka miewa

całkiem niezłe pomysły. Przekonasz się – odłożyła zdjęcia na bok. – Przepraszam na moment, za sekundę wracam.

Cora chciała usiąść matce na kolanach i popłakać. Nie tej matce, nie tej kupującej hotele, zarządzającej dziwaczne muzea i porywającej starszków, ale spokojnej, słodkiej, pocieszającej matce, która delikatnie pogładzi cię po włosach i powie, że wszystko się ułoży. Chciała matki, której mogłaby zaufać, nie tylko szukać zaufania.

Podziwiała rozmach jej pomysłu, zdolność wyobrażenia sobie rzeczy na tak wielką skalę, choć trochę obawiała się tych planów. Viv była pełna woli walki, zawzięcie lojalna, oddawała ciosy jeśli ją zraniono i niełatwo było ją zniechęcić. Ekscentryczka to za mało powiedziane. Była szalonym buntownikiem, rzeczywiście nieustraszonym.

Cora przywykła już do specyficznego temperamentu matki, zawsze wietrząc najgorsze, studząc jej żywiołowy optymizm. Wcześniej w jej głosie zabrzmiały ostre tony – miały ściągać ludzi z obłoków, pokazywać rzeczywistość taką, jaka była. W przeciwieństwie do niewyczerpanego optymizmu matki była ostrożna, ambiwalentna, pesymistyczna. Ze zgrozą przyglądała się mrzonce matki. Nie mogła sobie tego wyobrazić, nawet patrząc na zdjęcia. Wydawało jej się to czymś niewykonalnym i stratą pieniędzy.

– Co się dzieje, Cezarku? – spytał Bud. – Nie uśmiecha ci się to Vegas?

Cora uśmiechnęła się słabo i wzięła go za rękę.

– Nie bardzo – powiedziała przygnębiona.

Podniosła oprawione w ramki zdjęcie ze ślubu Viv i Boba. Z całej uroczystości zapamiętała tylko suknię matki, którą Viv sama zaprojektowała. To była najpiękniejsza suknia, jaką Cora kiedykolwiek widziała i uważała, że matka nigdy nie wyglądała cudowniej. Błagała później żeby pozwoliła jej przymierzyć lśniącą suknię haftowaną w maleńkie, pastelowe ptaszki. Viv zgodziła się wreszcie i po mozolnym spinaniu i fastrygowaniu, żeby przynajmniej mniej więcej pasowała, Cora stanęła wreszcie przed lustrem. Za nią uśmiechała się Viv, głaszcząc rozczochrane włosy i rozgorączkowaną twarz córki.

– Jak ty szybko dorastasz! Jeszcze kilka lat i nie będę cię znała – powiedziała.

Cora rozplakała się, po policzkach na suknię spływały jej wielkie, gorące łzy.

– Kochanie, co się stało? – dopytywała się Viv, obejmując łkającą córkę. – O co chodzi? Czy o to, że nie będę cię znała? Tak się tylko mówi – oczywiście, że będę cię znała.

Cora nie była w stanie wytłumaczyć matce, że płakała ponieważ suknia nie

zadziałała. Magiczna suknia nie działała i Cora po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że będzie musiała polegać na czymś innym.

Córa wyciągnęła z walizki czystą sukienkę i zaczęła rozpinać tę, którą miała na sobie.

– Odwróć się – powiedziała Budowi. – Nie chcę żebyś się za bardzo podniecił. I tak ostatnio dużo przeszedłeś. Mógłbyś jeszcze dostać Alzheimera jak mój dziadek. Masz zadatki. Bud odwrócił się posłusznie i patrzył na oprawiony w ramy plakat „Śmierci w Wenecji”.

– Wiesz co jest podobno zaletą Alzheimera?

– Co? – zapytała nakładając sukienkę przez głowę.

Odwrócił się i spojrzał na nią taksującym wzrokiem.

– Ciągłe spotykasz nowych ludzi.

Córa spuściła głowę.

– Zadowolony? – zapytała swoim najbardziej dystyngowanym tonem.

Bud uśmiechnął się.

– Nie – i zaczął płakać w najlepsze.

W progu stanęła Viv z dużą walizką w roślinny wzór w ręku.

– Bud, kochanie – powiedziała – wszystko z czasem się ułoży. Jak mawiała moja matka, to także przejdzie. Poza tym byłam w tym tygodniu u medium i dowiedziałam się, że dziecko Cory to bardzo szczególne dziecko. Kiedy się urodzi, przyniesie na świat dużo radości. Będzie wielką uzdrowicielką i nauczycielką i wszystko będzie po prostu cudownie. Podobno będzie bardzo do mnie podobna.

Podniosła swoją walizkę i ruszyła w kierunku drzwi. Cora spojrzała na bladą, nie ogoloną twarz Buda. Potarła ręką o jego przynoszącą szczęście głowę.

– Do Oz? – zapytała.

– Do Oz – powtórzył jak echo. Otworzył drzwi i zszedł ze schodów, jego buty ciężko tupają po chodniku. Cora posłusznie dreptała z tyłu.

Bud zatrzymał się w bocznej uliczce obok domu opieki w Santa Monica, w którym osadzono dziadka Billa. Viv z trudem powstrzymywała łzy widząc oschłą z wyglądu pielęgniarzkę pchającą starszego człowieka na wózku.

– Uspokój się, mamó – tłumaczyła jej Cora. – Nie możesz się tak zamartwiać. Musimy wyglądać jak normalni ludzie, którzy przyszli odwiedzić swojego staruszka.

– Co samo w sobie jest dostatecznie trudne, nawet bez łkania – rzeczowo stwierdził Bud. Viv otworzyła swoją białą, skórzaną torebkę i wyjęła z niej puder. Przeciągnęła puszką po zadartym nosku i pod oczami.

– W porządku, jestem gotowa. To było chwilowe załamanie. Możemy iść.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Cora zaraz za nią. Ustalili już wcześniej, że Bud zostanie w aucie, bo jego obecność mogłaby drażnić staruszków. Cora jeszcze raz obejrzała się za siebie zanim zniknął im z oczu za rogiem. Poklepywał samochód i kiwał głową w rytm jakiejś odległej melodii. Palmy rosły po obydwu stronach drogi. Zdawało się, że dorastają aż do połyskliwego oceanu. To było piękne, rześkie popołudnie. Wymarzony dzień na porwanie – pomyślała Cora, kiedy zbliżały się do drzwi.

– Sza... – ostrzegła Viv. Starwały się robić jak najmniej hałasu wchodząc po schodach. Grupa siwowłosych pensjonariuszy wylegiwała się na werandzie. Viv otworzyła drzwi i nagle owiał ich przyjemny strumień chłodnego powietrza. Klimatyzacja działała.

– To chyba nie jest takie złe miejsce – zauważyła Cora. Matka skarciła ją spojrzeniem.

– Dzień dobry – Viv roztaczała przed recepcjonistką cały swój urok. – Chciałabym zobaczyć swego ojca, Billa Stone’a.

Cora starała się wyglądać solidnie i pewnie. Recepcjonistka wydeła czerwone usteczka i postukała ołówkiem w swoją księgę.

– Popatrzmy. Hmmm... A tak, jest tutaj, Bill Stone. Nowy rezydent, oczywiście. Tym korytarzem prosto i po lewej. Pokój 36. Mary panie zaprowadzi.

Viv uśmiechnęła się promiennie.

– Zastanawiałam się – tak pięknie dzisiaj – czy byłoby możliwe, żebyśmy poszły z moim ojcem na króciutki spacer. Tylko tu, do parku.

Pokazała dłonią zielony prostokąt po drugiej stronie ulicy.

Pielęgniarka spojrzała na nią z ukosa.

– Właściwie nie pozwalamy na samodzielne wyjścia, ale – zmierzyła je wzrokiem – przypuszczam, że jeden malutki spacer nikomu nie zaszkodzi.

Cora i Viv poszły za pielęgniarką po wyłożonej linoleum podłodze. Przez drzwi widziały sylwetki staruszków siedzących lub leżących na łózkach, dożywających swoich ostatnich dni w kwadratowych, oświetlonych słońcem pokoikach. Silny zapach płynu do czyszczenia i mentolu rozchodził się po całym korytarzu.

– Pomimo wszystko, to nie wygląda na najlepsze miejsce na dokończenie życia – stwierdziła Cora.

– To już tu! – radośnie oznajmiła pielęgniarka, przytrzymując otwarte drzwi. Bill siedział w kącie z pudełkiem czekoladek w ręku i kocem na kolanach.

– Tatusiu! – wykrzyknęła Viv, wyciągając do niego ramiona.

Podeszła pielęgniarka:

– Bill, wiesz kto to jest?

Bill popatrzył na Viv i zawołał:

– Druga nagroda!

Viv tuliła łysą, błyszczącą głowę ojca. Cora poklepała pielęgniarkę po ramieniu.

– Często pani zadaje pacjentom z Alzheimerem takie pytania?

Viv ostro spojrzała na córkę.

– Cora! – ostrzegła. Zwróciła się do pielęgniarki: – Może macie tu jakiś sok? To powietrze wysusza mi przelyk. – Pielęgniarka rzuciła Córce wyniosłe spojrzenie.

– Pójdę sprawdzić – odrzekła i wyszła z pokoju kołysząc biodrami.

Jak tylko oddaliła się dostatecznie, Viv podniosła słabiutkiego ojca na nogi.

– Wstawaj, tato, idziemy na spacer.

Bill utkwiał w niej wzrok.

– Nettie? – powiedział radośnie.

– Nie, tatusiu, mama nie żyje. Ruszaj się, idziemy do parku.

Wypchnęła swego skulonego ojca za drzwi.

– Chcę do domu – powiedział żałośnie, z załzawionymi oczami.

– Wiem, tato, wiem. Idziemy.

Cora porwała sweter i kapelusz Billa i upchnęła w swojej kolorowej torbie. Wszystko inne mogli kupić po drodze. Holowały dziadka przez korytarz obok recepcji. Viv z przesadną wesołością pomachała recepcjonistce.

– Nie bądźcie długo, lunch jest za dwadzieścia minut.

Viv potaknęła i uśmiechnęła się szeroko. Cora próbowała robić dobrą minę. Wyszli prosto w słońce i wolno szli chodnikiem. W momencie kiedy dochodzili do krawężnika, zza rogu wyskoczył samochód Buda. Viv wepchnęła Billa do środka, podczas gdy Cora obiegła samochód i wskoczyła z drugiej strony. Kiedy Bill już pewnie siedział w środku, Viv zajęła przednie siedzenie a Bud dodał gazu. Przez tylną szybę widzieli pielęgniarkę biegnącą do krawężnika z plastikowym kubeczkiem, z którego wylewał się jasnożółty płyn.

– Tak jest! – ryknął Bud, uderzając w kierownicę dużą dłonią.

Skręcili na pierwszym zakręcie i pojechali na wschód, w stronę stacji kolejowej.

Będę szczery i powiem, że ludzie na tej stacji są grubi, podstarzali i noszą kapelusze, w których wyglądają jak ostatnie suflety, w dodatku nie wyrosnięte – stwierdził Bud, oglądając gromadkę wokół kas, podczas gdy Viv kupowała dla nich bilety do Dallas. Dziadek Bill palił siedząc w czerwonym fotelu obok garbatej kobiety w krótkich, skórzanych butach i jednej rękawiczce. Miejsce nie wyglądało zachęcająco.

Viv wróciła, powiewając czerwonymi kopertami.

– Dostałam tylko jeden sypialny deluxe – poinformowała bez troski. – Wzięłam jeszcze przedział dla niepełnosprawnych. Kasjerka mówiła, że zupełnie przyjemny. Pewnie jest większy i ma wózek.

Bud przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że to nie jest przedział dla niepełnosprawnych umysłowo. Mogłby wtedy być bardzo malutki.

Viv poklepała go po policzku.

– Bud, słonko, proszę – nie zachowuj się jak stary zgryźliwiec. Mogłoby być gorzej. W osiemnastym wieku uciekałbyś przed pogromem i cieszył się, że jeszcze żyjesz – nie zastanawiałbyś się nad przedziałem.

– Zdaje mi się, że niekiedy być Żydem znaczyło to samo co być niepełnosprawnym. Też mieli specjalne wagony, tylko...

– Bud! – ucięła ostro Cora. – Zrób coś dla mnie i pomyśl o tym, jakie smaczne będą jaja w wagonie restauracyjnym jutro rano. Pomyśl sobie o kelnerach i białych obrusach, dobrze? Na twoim miejscu chętnie bym to zrobiła zważywszy na te przeszłe pogromy i terazniejsze depresje. Myśl o przyszłości – jaja, piękne krajobrazy za oknem... Życie i tak nie jest łatwe.

Bud popatrzył na nią podejrzliwie.

– Jaja – powtórzył zamyślony, koncentrując się na swym zadaniu.

– Dobrze to ujęłaś, Córo. – Viv podeszła do ojca. – Tato, wsiadamy do pociągu – powiedziała trochę głośniejszym głosem. – Czy to nie zabawnie?

Dziadek Bill zapatrzył się w nieokreślony punkt gdzieś nad głową córki.

– Chcę do domu – powiedział.

– Tam właśnie jedziemy, tatusiu. Weź mnie pod rękę.

Ich pociąg stał już na trzecim peronie. Wsiadli do małego wózka elektrycznego, z bagażem w ramionach i podjechali do niego. Przeczytali imiona swoich

konduktorów, Eliasz i Sinbad. Prorok i żeglarz – jeden przepłyń morza, które obwieści drugi.

Wszyscy byli tak mili, uprzejmi i uczynni, że Córce zachciało się płakać. Poczwała się jak w kościele – pełna nadziei i daleka. Jakaś starsza para w bladożółtych wiatrówkach wspinała się nie mogąc złapać oddechu na schody.

– Pardon. Czy przypadkiem nie orientuje się pani czy to wagon dwadzieścia dwa? – zapytała kobieta, trzymając się poręczy przy łazience na końcu wagonu. A może początku, zależy jak na to patrzeć.

– Niestety – odpowiedziała Cora. – Nie mam pojęcia – uśmiechnęła się lekko i przeszła do swego tymczasowego domu. Wyobraziła sobie, że ta para całe życie spędziła jeżdżąc pociągami. Wsiedli zaraz po ślubie, decydując się przejeździć swój czas. Tylko niekiedy któreś z nich wyskoczyło na stację po świeże gazety – chcieli bowiem być na czasie. Może odkryli, że powolne stukotanie po szynach pomaga zachować młodość, nadaje właściwy rytm sercu i wszystkim organom.

W przedziale był już Bud. Oglądał maleńkie pomieszczenie z umywalką i prysznicem w osłupieniu.

– Powinien być to napis „Nie siusiać do prysznic” tak jak nie załatwiasz się do wazy z zupą. Czy „siusiąc” byłoby odpowiednim słowem?

Cora ciężko usiadła na niższym, większym łóżku.

– Nie musisz tu jeść – poradziła mu, rozglądając się po przedziale. – To nawet mogłoby być jedno z dziesięciu przykazań dla podróżujących pociągiem.

Bud potrzęsnał głową i roześmiał się.

– Tylko mój Cezar mógł się tu doszukać jakichś elementów religijnych. Chociaż rzeczywiście całe to przedsięwzięcie ma w sobie coś z pielgrzymki. Zastanawiam się tylko skąd on będzie wiedział, że jest na miejscu kiedy już tam dojedzie, jeśli właściwie nigdy nie wie, gdzie jest?

Cora westchnęła.

– Po prostu uwierzy nam.

Bud zaczął się śmiać.

– Dlaczego – zachłysnął się śmiechem.

– Co? – spytała Cora.

– Dlaczego nie powiedzieliśmy mu po prostu, że jest w domu? Jeśli i tak skończy się na tym, że będzie musiał nam uwierzyć, to po co wlecemy się całą tę drogę do Whitehat, zamiast go okłamać?

– Whitewright – poważnie poprawiła Cora.

– Nieważne. Powiedz mi, proszę. Nie będę się dopytywał, nawet jeżeli nie

zrozumiem.

Popatrzyła na niego.

– Nigdy nie żądał wiele. Chciał tylko robić pewne sprawy po swojemu i uprawiać sport. Lubił kawę i zwykłe ciasto – myślę, że jesteśmy mu winni tę jedną rzecz, szczególnie, że tak mało chciał od życia. Przeżył całe życie troszcząc się o swoją rodzinę, pragnąc dać innym jak najwięcej szczęścia. Trudno jest odnaleźć swoje pragnienia, nazwać je. On przekazał nam swoje pragnienie, w tym momencie niewiele więcej możemy dla niego zrobić. Czuję, że jako człowiek, jako jego krewna, ktoś komu kiedyś zbudował wspaniały domek dla lalek, muszę spełnić jego skromne życzenie, bo niewiele mu ich jeszcze zostało. To pewnie bardzo mało w porównaniu z tym, co będę musiała zrobić dla dziecka, chociaż może życzenia dziecka zostaną wyrażone w podobny sposób.

Zamyślony Bud wyduł usta i skrzyżował ramiona.

– Mogę coś powiedzieć? Potem będę już bardzo niekłopotliwym towarzyszem podróży.

Cora czekała w fluorescencyjnym świetle kabiny, z korytarza dochodziły strzępki rozmów wsiadających pasażerów.

– Ojciec mojego przyjaciela Grega miał Alzheimera. Też wciąż powtarzał, że chce do domu. Tylko on sam był domem. Zdaje mi się, że to objaw tej choroby. Uczucie niepokoju, odcięcia od korzeni – przejawia się to właśnie pragnieniem powrotu do domu, podczas gdy w istocie...

Cora przerwała mu.

– Posłuchaj, sprawdziłam znaczenie słowa „rodzina” w słowniku oksfordzkim, tym, który podaje także historię słów. Otóż pierwotnie „rodziną” nazywano służących w jakimś gospodarstwie. To mogła być czyjaś świta czy szkoła – na przykład szkoły gladiatorów. Najważniejszy był tu związek osób, połączonych więzami krwi, skłonnościami, upodobaniami. Wyobraziłam sobie, że jestem służącą mojej rodziny związanej skłonnościami i upodobaniami i moim zadaniem jest służyć jej w taki sposób, jakiego oczekują.

Bud słuchał, kontemplując podłogę. Cora obserwowała, jak powoli dochodzi do pewnych wniosków. Nagle otrząsnął się z przygnębienia i spojrzał na przyjaciółkę.

– Jedźmy zatem do Whitewright, tak?

– Tak – odparła łagodnie.

Viv i Bill przyszli do przedziału.

– Tatusiu, pamiętasz Buda? – zapytała Viv, sadzając dziadka na niskiej

kuszetce. – Będziecie dzielić przedział.

– Hej, dziadku! – wesoło wykrzyknął Bud. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci chrapanie?

Wyglądało na to, że Bill w ogóle nie zauważa jego obecności.

– Dwóch braci, Teddy i Eddie – powiedział sennie. – Umarli tego lata, kiedy tatuś wyjechał. Mieli grypę. Nie było dosyć jedzenia.

Bracia trochę młodszy ode mnie.

Bud uniósł brwi.

– Wow – zauważył ze szczerym podziwem. – Mocne. Co robił twój ojciec?

Bill wydawał się zajęty oglądaniem swoich wewnętrznych krajobrazów.

– Ciepły dzień, siedemdziesiąt pięć stopni. Był najszybszym biegaczem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Bud tupnął kilka razy nogą, patrzył ukosem, skoncentrowany.

– Musiało być fajnie, co? – zapytał, szukając jakiegoś odpowiedniego komentarza, czekając na odpowiedź.

– Człowiek – orkiestra – jeździł wszędzie. Wygrywał każdy konkurs w piciu, nawet się nie zachwiał.

Bud próbował nawiązać kontakt wzrokowy, ale nie udało mu się.

– Twój ojciec, tak?

Bill wreszcie mu się przyjrzał, bardzo uważnie.

– Ty nie jesteś Jim – stwierdził beznamiętnie.

Bud roześmiał się i poklepał go po plecach.

– To zależy co przez to rozumiesz. Mogę być dla ciebie Jimem.

Viv wstała i poklepała policzek Buda.

– Tatuś trochę kiepsko słyszy.

– Czy mam powtarzać aż usłyszy, czy zostawić go w spokoju? – wyszeptał Bud.

– Ja zostawiłabym go w spokoju, chyba że widać po nim, że chce rozmawiać. Może sam sobie nie poradzić w łazience. Zawołaj po prostu kogoś z obsługi.

– Ale... – zaczął Bud.

– Będzie dobrze, słonko – zapewniła go Viv. – Za bardzo się przejmujesz.

Odprawiający zostali wezwani do opuszczenia pociągu, który miał za chwilę ruszyć.

– Uff – stęknęła Viv – ostatni raz jechałam pociągiem jako nastolatka. Pociąg powoli ruszał. Ich pielgrzymka zaczynała się. – A to już całe wieki temu.

Szyny wystukiwały powolny rytm kiedy pociąg niespiesznie mijał rogatki Los

Angeles. Przeciągły dźwięk gwizdka zabrzmiał jak wołanie samotnika. Cora zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, że to ona jest źródłem dźwięku, zazwyczaj łączonego z dawnymi, powolniejszymi środkami transportu. Miasto zniknęło za oknami ze swoimi złomowiskami, parkingami dla ciężarówek i przyczeppek, wąwozami.

Viv położyła Billa na jednej z kuszetek. Kołysała jego głowę, patrząc w niebo ciemniejące za oknem. Dziadek wydawał się podenerwowany i zdezorientowany. Dokąd poszło to, co z niego zostało, kiedy szczury wgryzły się w jego oczy? Jaka wysepka tożsamości oparła się wszechwładnym falom Alzheimera? Może teraz, kiedy wyczerpywały się wody jego jeziora życia, wzbierało życiem łono Cory? To kim był zostawiło swój niezatarty ślad w DNA przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Może to właśnie po nim dziecko odziedziczy orzechowe oczy i nie wyjaśniony apetyt na ryby. Rosło nieświadome i szczęśliwe w ciemnej, bezpiecznej kryjówce, z której zostanie pewnego dnia uwolnione.

Bill Stone urodził się trzynastego października roku pańskiego 1899, jako trzecie z dziewięciorga dzieci. Na świat położna musiała go wyciągać siłą.

Pierwszych siedem lat życia spędził w zabitej dechami miejscowości. Whitewright. Były tam trzy kościoły i jeden sklep kolonialny. Ojciec Billa pracował jako nauczyciel w miejscowej szkole, ale za dużo pił i stracił posiadłość. Po tym jak przenieśli się do pobliskiego Mahaya rodzice Billa przez dwa lata nie mieszkali razem za sprawą pewnej tamtejszej nauczycielki.

Bill poznał swoją pierwszą żonę, Minnie, matkę Viv, na meczu baseballowym. Wydarzyło się to pewnego wiosennego dnia w pobliżu El Paso. Wmieście tańczyli wtedy Indianie Rudiosa. Czternastoletnia Minnie, najmłodsza z dziewięciorga rodzeństwa, już wtedy, wedle opisu Billa, „zbudowana była niczym dom z cegły”. Drużyna Billa wygrała mecz i świętowali zwycięstwo, a Minnie z dwiema przyjaciółkami pobiegły za nimi. Dziadek miał wtedy dwadzieścia jeden lat, jasne oczy, gładką cerę i zgrabną, szczupłą figurę. Minnie obserwowała go przez witrynę baru, a Indianie paradowali za jej plecami. Poczuli na sobie jej spojrzenie i wychylił duszkiem butelkę ciepłego piwa.

Minnie jeździła później za nim z meczu na mecz, a on grał jak nigdy przedtem. Wreszcie wydziergała mu sweter i zaczęli chodzić razem na spacer i na tańce. Jedenastego sierpnia 1922 roku, trzy dni po jej szesnastych urodzinach, pobrali się w Kościele Nazareńskim obok stacji kolejowej.

Matka Minnie zapomniała jakoś poinformować córkę o fizycznych powinnościach stanu małżeńskiego. Po trzech tygodniach rysowania diagramów

dziewiczej małżonce Bill zdołał skonsumować ich związek, ku przerażeniu i obrzydzeniu Minnie. Zanim minął rok, w dziecięcym pokoju Minnie przysłała na świat Viv, pozostawiając w matce głęboką niechęć do uprawiania seksu. Jakiś seks musiał pomimo wszystko mieć miejsce, bo Minnie znów zaszła w ciążę, tym razem pozamaciczną. Po radykalnej histerektomii nie miała już więcej dzieci, zachorowała jednak na serce i to właśnie na serce zmarła w wieku czterdziestu ośmiu lat. Cora słabo pamiętała swoją babkę, piersistą, jowialną kobietę, w pewnym sensie zmysłową pomimo jej powszechnie znanej awersji do stosunków seksualnych. Jej śmiertelna choroba sprawiła, że Bill znalazł sobie nową żonę, która podjęła się swych małżeńskich obowiązków z dużo większym entuzjazmem. Zdawało się, że w życiu Billa nastąpił długo wyczekiwany okres erotycznego nasycenia. Niestety, Alzheimer odebrał mu i to. Teraz jednak, kiedy zapominał o teraźniejszości, żywiej pamiętał przeszłość. Zaczął ponownie szkicować diagramy obrazujące przebieg stosunku, jakby chciał jeszcze raz objaśnić to Minnie. Wydarzenia bieżące spływały po nim jak woda po kaczce, ale wciąż zdawało mu się, że mogłby złapać ogromne piersi Minnie, odtworzyć indiański taniec i napić się tamtego piwa. Gdzieś daleko, daleko, w dniach spieczonych słońcem dziadek stał na boisku, ze spoconą, ciepłą rękawicą na rękę, wypatrując piłki.

– Hawaje były cudowne – powiedział nagle, wrywając Corę z zamyślenia. Spojrzeli z Budem po sobie, Viv nie ocknęła się jeszcze przez chwilę.

– Na której wyspie byłeś? – zapytał Bud.

– Jim i Alma – odpowiedział rozmarzony dziadek. – Ich wyspa i dom.

– Jak się miewają Jim i Alma? – grzecznie spytał Bud.

– Nie żyją jak sądzę – odrzekł Bill.

– Może po prostu nie lubią pisać listów – powiedział Bud.

Ale Bill już nic nie mówił, ukołyszany z powrotem do snu. Toczyli się powoli do przodu w swoim przedziale, wśród krajobrazów wolno przesuwających się za oknem, nieosiągalni dla telefonów, telewizji i innych elektrycznych impulsów. Umieszczone w przedziale ogłoszenia informowały o obowiązku noszenia obuwia w wagonie restauracyjnym, jakby była to rzecz absolutnie najważniejsza w pociągu. Powiadomiono pasażerów o zbliżającym się zachodzie słońca, sugerując wypowiedzenie jakiegoś życzenia.

Cora życzyła Esme wszystkiego dobrego.

– Moje pierwsze, ukochane dziecko – wszystkiego dobrego, córeczko – zanuciła jej. Viv pomyślała o swoim muzeum, żeby wreszcie powstało. Bud nie chciał już nigdy więcej puścić bąka w czyjejś obecności, szczególnie przy damie, i

życzył też sobie od tej pory nie stracić ani jednego włosa.

Viv nachyliła się do ojca w głębokim, pastelowym świetle.

– A ty czego sobie życzysz, tatusiu? – Bill otworzył oczy i szukał w twarzy córki wskazówek, które podpowiedziałyby mu odpowiedź – a może chciał się domyślić, kto się do niego zwraca. Po chwili głębokiego namysłu ucieszył się.

– Butelkę ciepłej coli napełnioną orzeszkami, z kiosku, po meczu.

Zadowolony położył się z powrotem, słońce powoli chowało się za wzgórzami, a pociąg jechał przed siebie. Przynajmniej dwa razy tego wieczoru udało mu się powiedzieć coś sensownego. Życie nie było złe.

– Idę poszukać szpiegów – oświadczył Bud, odsuwając pomarańczową zasłonę przy drzwiach. – Może natknę się na jakiś romansowo-szpiegowski duecik a la Eva Marie Saint?

– To było w „Pociągu na północ” – zawołała za nim Viv. – My jedziemy na wschód.

Kiedy już wyszedł, Viv czule spojrzała na córkę.

– To bardzo dobry chłopak, kochanie – stwierdziła przekładając smukłe nogi – Słodki, chociaż dziwny. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nie robi porządku z tymi włosami w uszach. Nie chce się podobać?

– I tak się podoba – powiedziała Cora. – Można wybaczyć małe kępki włosów w czyichś uszach, jeżeli są zabawne i miłe.

Viv zmarszczyła zadarty nos.

– Pewnie tak – potwierdziła. – Za moich czasów musiałby być jeszcze bogaty.

– Dobrze zarabia. Tyle samo co ja. – Poczowała falę ciepła w środku, położyła rękę na brzuchu, żeby ją uspokoić.

Viv kiwnęła głową.

– A ty nie masz włosów w uszach.

– Ale wkrótce będę miała cellulitis, obwisłą skórę i rozstępy.

– A propos, miałam z tobą o czymś porozmawiać. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że w twoim przypadku normalny poród po prostu nie wchodzi w grę. Pamiętasz Elaine Calhoun?

Nie pamiętała.

– Musisz ją pamiętać – ciągnęła Viv. – Ostrzegałam ją, ale mnie nie posłuchała. Ktoś jej powiedział, że to nic strasznego, więc się zdecydowała i – dramatycznie zawiesiła głos i pochyliła się nieco – rozpruła się na pół. Odchyliła się z wyrazem zadowolenia na ładnej twarzy. – Nie muszę ci mówić, że następną dwójkę urodziła przez cesarkę.

Cora zmarszczyła brwi.

– Ale zszyli ją?

Viv machnęła lekceważąco wypielegnowaną dłoń.

– To nieistotne. Ja po prostu nie chcę, żebyś przechodziła przez to, co ja musiałam przejść. W dzisiejszych czasach?! Przy wszystkich tych osiągnięciach medycznych? Po co przez to przechodzić, po co pruć się od góry do dołu?

Cora skrzywiła się i złapała za brzuch, zastanawiając się, z której strony jest dół, a z której góra.

– Och, za moich czasów medycyna stała dużo niżej. Gdyby mieli takie urządzenia jak dzisiaj, nie straciłabym dwójki dzieci. Nie zapomnę tego póki żyję. Byliśmy z twoim ojcem we Włoszech. Położyłam się wieczorem do łóżka, nie wyglądało na to, że dzieje się coś złego. Dziecko ruszało się we mnie, tak wysoko, że miałam trudności z oddychaniem. Idę spać, następnego ranka budzę się i wiem, po prostu wiem, że stało się coś złego. Mówię twojemu ojcu: „Dziecko nie żyje”. Ale nikt mi nie wierzy. Idę do łazienki i co widzę? Maleńką kropelkę rdzawoczerwonej krwi.

Bud wśliznął się przez drzwi jak szary duch i przycupnął obok Cory na brzegu łóżka.

– Wszyscy myślą to, co zwykle – głupia – ciągnęła Viv. – Z dzieckiem w porządku – o czym ja mówię? Dwa miesiące później moje piękne, doskonałe dziecko wyślizguje się ze mnie – martwe.

Bud patrzył na nią z przerażeniem.

– Namawiałam właśnie Corę na cesarskie cięcie – wyjaśniła uprzejmie Viv.

– A te... te inne czasy? – dopytywał się Bud. – Ta plama? I... to martwe... dziecko?

Viv machnęła ręką i usiadła z powrotem.

– Ach to. To nie przytrafi się Córce – opowiadałam jej tylko o bracie i siostrze, których mogła mieć. Gdyby to się działo dzisiaj, nigdy by do tego nie doszło.

Viv straciła dwoje dzieci w taki sam sposób. W siódmym miesiącu ciąży coś się nie powiodło. Musiała donosić ciążę i urodzić dziecko, które... nie żyło. (Cora nie była w stanie nawet pomyśleć o „martwym dziecku”, najbardziej przerażającej z możliwych kombinacji słów).

Teraz, kiedy sama była w ciąży, dużo jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, jakie to musiało być okropne – nie tylko donosić ciążę a potem nie mieć dziecka, lecz także przyjmować wyrazy współczucia od bliskich, widzieć jak pochylają głowy. Na nic dodatkowe kilogramy, małe ubranka i wymyślone imiona, chociażby Mały

Śmierdziuszek.

Viv opowiadała Budowi o poronieniach Cory. W sytuacji kryzysowej – objaśniała – kiedy chodziło o życie i trzeba było wybrać pomiędzy Córá i dzieckiem, wybierała oczywiście Corę. W ten sposób wcielając się za jednym zamachem w bohaterkę i męczennicę – pomyślała Cora – i unikając miana babci.

Jeśli chodzi o Corę, to nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek poroniła, a nie zapomniałaby chyba o czymś takim. Jej matka lubiła jednak snuć wymaginowane, dramatyczne opowieści, nie zawsze prawdziwe. Złudzenia uczuciowego serca. Syndrom babuni.

Bud cicho zamknął drzwi przedziału za Viv, która skończyła wreszcie swoje opowieści o narodzinach i ocaleniu i poszła spać do siebie i Cory.

– Ustalmy coś – Bud zwrócił się do Cory. – Ta kobieta cię urodziła. Jesteś tego pewna.

– Cicho – powiedziała patrząc na Billa, który pochrapywał cichutko, przykryty po same uszy. – Nie mów tak – zaprotestowała. – Przyjrzyj się swojej matce. Mógłbyś to samo jej zarzucić.

Bud zmarszczył nos.

– Ona mnie nie nudzi – stwierdził rzeczowo. – Chociaż czasami się powtarza.

Wyrzwał przez okno.

– Czyż to nie wygląda niesamowicie realnie – zastanowił się.

– Ale nie w zwykły sposób. To bardzo uspokajające. Ten turkot i powolne turlanie się na wschód. Może powinniśmy napisać książkę o terapii pociągowej? Co będzie, jeżeli wysiądę z pociągu i będę zawsze – jaki to ja będę? Spokojny. Zamiast robić coś szybko, ja zawsze będę powolny. No wiesz, poszedłem do łazienki w wagonie klubowym i to było coś niesamowitego, załatwiałem się patrząc na zmieniające się za oknem krajobrazy. Może powinienem zainstalować sobie w domu przedział? Byłbym spokojny i dokładnie wypróżniony.

Delikatne, rytmiczne pulsowanie zaczęło się w brzuchu Cory, jakby maleńki płód obudził się właśnie i pukał słabiutko.

– Mam czkawkę – doniosła Budowi, roztrzepując przyklepnięte włosy. – Dzieci także miewają czkawki, wiedziałeś o tym? W macicy.

– Naprawdę? – zainteresował się. – Inne rzeczy też miewają? Na przykład kaszel, kichanie albo, za przeproszeniem, wiatry?

Cora poważnie skinęła głową.

– Wszystko. Łącznie z siusianiem, kupkami, wymiotami i zamawianiem rzeczy

przez telefon. Wypluwają z siebie całe góry rozmaitych substancji, uprzątanie zajmuje godziny. Biedne matki!

Bud miał uszczęśliwioną minę. Cora mogła mu opowiadać, pod warunkiem, że za bardzo się nie dopominał.

– Opowiedz mi więcej o tym, co zamawiają i o wiatrach.

Na ułamek sekundy Cora spoważniała. Potem powiedziała:

– Cóż, jak już zapewne wiesz, to się ze sobą wiąże.

Bud usiadł po turecku na podłodze w pobliżu łóżka, na którym siedziała. Kiwał się cichutko do przodu i do tyłu.

– Czy zauważyłeś, że wszystkie centrale dla dzieci działają dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Bud nie zareagował, kołysał się wsłuchany w brzmienie jej głosu.

– Kiedy matki śpią, dzieci zaczynają zamawiać różne rzeczy. Oczywiście, mogą wykrecać tylko niektóre numery – mówiła łagodnie, klepiąc go po głowie. – I mogą je wykrecać tylko czkając albo puszczając wiatry w pewien szczególny sposób. Odgłosy dostają się do głównego komputera, który wie, że wszystkie matki są jak Wendy, a wszyscy ojcowie jak zmienny Piotruś Pan.

Bud kiwał się coraz szybciej.

– Ziemi Piotruś Pan – zamruczał. – Zje mnie Piotruś Pan.

Cora mówiła dalej.

– Dźwięki to zamówienia, karty kredytowe i adresy, pod które trzeba wszystko wysłać. Dostawy są bardzo ważne – powiedziała złowieszczo.

– Cezarku! – westchnął zachwycony Bud. – I wszystkie dostają to, co zamawiały?

Cora pokiwała głową.

– Dostają – powiedziała z czułością. – To dlatego ich centrale są czynne na okrągło – zegary są przecież okrągłe, a dzieci mają potrzeby. A pewnego dnia, na który czeka się z niecierpliwością, małe dostawy same się dostarczają. Wpadają przez komin do domu każdej Wendy i układają się pod choinkami Piotrusiów. To dlatego każdego dnia jest Boże Narodzenie i każdej nocy Wigilia, podczas której Ewy kuszą Adamów jabłkami – bo przecież dzieci rodzą się na okrągło, pomiędzy skałą i kamieniem, między sercem i głową. To dlatego złe duchy chcą ukraść Boże Narodzenie.

Bud pokiwał głową.

– Teraz wszystko rozumiem. – Zapatrzył się przed siebie.

– Tak – powiedziała Cora. Ostrożnie wstała i sięgnęła po swoją torbę. Grzebała

w niej, dopóki nie wyczuła czegoś twardego i kwadratowego. Delikatnie wyjęła mały magnetofon i usiadła, układając go na swoim wciąż gnębionym czkawką brzuchu. Włączyła go.

Przeczytała gdzieś, że przeprowadzono badania nad nie narodzonymi dziećmi. Połowa z nich słuchała muzyki w łonie matki, połowa nie. Okazało się, że ta połowa, która słuchała, po urodzeniu zasypiała przy dźwiękach zapamiętanych z okresu życia płodowego. Cora chciała, żeby Esmie polubiła kołysanki, dlatego wcześniej zaczynała. Zdawało jej się, że badanym dzieciom grano Mozarta i że wpadały w szal, jeśli jakiś akord zabrzmiał nieczysto. Zawsze uważała, że Mozart brzmi jak rój pszczoł schwytych w pułapkę. Nieźle, ale jak pszczoły – dlatego zdecydowała się na Pucciniego. Z małego, czarnego pudełeczka wygrywały smyczki. Pavarotti śpiewał Esmie przeciągając włoskie głoski. Sącył ciemne, kremowe słowa żłobiąc w nich przepastne samogłoski.

– Guarda la Stelle – zawodził przez skórę Cory.

– Patrz na gwiazdy – szeptem tłumaczyła Cora, starając się nie gubić rytmu. Głos wzbijał się, błyszczał, przepływał.

– Vincero, vincero, vinceeeero.

Muzyka sięgnęła crescendo i rozplynęła się w słodkiej ciemności.

– Zwycięzę – przetłumaczyła gorliwie Wendy. Czarne pudełko umilkło, Luciano odpoczywał, mała Esmie spała.

Cora poruszyła się, podeszła do Buda i pocałowała go w czoło.

– Do zobaczenia.

## **Kochana Esme,**

*przykro mi bardzo, że nie należę do ludzi, którzy potrafią robić zabawne miny, wydawać zabawne dźwięki i podrzucać dzieci do góry. To znaczy, potrafię to robić, ale bez zaangażowania i krótko. Z drugiej jednak strony czuję się całkiem kompetentna jeśli chodzi o zabawę w chowanego i Disneyland (nie Disneyworld). Często myślałam, że jestem głupia – teraz wiem, że miałam na myśli coś trochę innego. Głupia jak ktoś surowy w nieodpowiednim momencie albo źle ubrany. Znasz ten typ. Czasami bywam drażliwa. I w dodatku ciągle zajęta, nie nadaję się do kołysanek.*

*Mój przyjaciel z Wyoming powiedział mi, że tamtejsze obieżyświaty często wybierają jaja z orlich gniazd. Nie obawiają się, że orlica wpadnie w szal, ponieważ, jak wie każde dziecko w Wyoming, orły nie potrafią liczyć. Wyobraź sobie – symbol naszego kraju, którego można ujrzyć jeśli nie w naturze, to przynajmniej na większości naszych banknotów, nie potrafi policzyć swoich młodych.*

*Nie mam szczególnych predyspozycji do wychowywania dzieci – właściwie to nie mam do tego żadnych predyspozycji – ale przynajmniej umiem liczyć. Obiecuję pokazywać i objaśniać ci rzeczy – praktyczne i niszczące, pomocne i zabawne. Znam najlepsze ścieżki w Knott Berry Farm i słowa kilku piosenek, które będziesz mogła sobie nucić po drodze raczkując, próbując wstawać czy wypożyczając samochód.*

*Mówiąc szczerze, nie bardzo mogę wyobrazić sobie siebie jako matkę, zanim zaczniesz określać rzeczy za pomocą słów. Nie jestem dobra w komunikacji niewerbalnej. W dodatku nie potrafię skupić się na jednej rzeczy przez dłuższy czas, a brak cierpliwości nadrabiam ambiwalencją i bezsennością. Mam jednak nadzieję, że jeśli będziesz tego ode mnie wymagała, zdołam spełnić mniej wygórowane z Twoich wymagań. Może do czasu zanim zawiodę Cię w czymś ważnym, wymyślą już ten plaster na rozczarowanie?*

*Mam nadzieję, że cała ta sprawa z przejściem przez kanał rodny nie przeraża cię za bardzo, kilka miesięcy bez zębów też. Wybacz mi, przejedź mnie, przy ciśnij mnie do ściany (macicy albo innej).*

*Całusy*

*Mama*

Corę zbudziło nie kończące się kołysanie pociągu. Jednym okiem spojrzała na słońce, przekręciła się na bok i zapadła w drzemkę, przerywaną komunikatami dotyczącymi śniadania i obuwia wymaganego w wagonie restauracyjnym.

Śniło jej się, że jej dziecko dobrze mówi. Siedzi naprzeciwko Cory i wygłasza zdanie po zdaniu, sensowne, doskonałe. Cora była zaszokowana. Zapytała, od jak dawna potrafi tak mówić. „Od kiedy?” – dopytywała się. „Podaj mi datę”. Ale obudziła się zanim dziecko zdążyło sprecyzować ten szturm języka, paragrafów, znaczeń. A może córka podała jej datę, ale Cora zapomniała w mozolnym procesie budzenia się. Kiedy już przewyciężyła sen, dziecko spokojnie leżało w jej brzuchu. Położyła na nim ręce i wstrzymała oddech szukając zagubionej daty, począwszy od której ona i jej dziecko będą ze sobą rozmawiać. Kiedy ocknęła się na dobre, była tam jej matka. Czesła jasne, wilgotne włosy.

Cora zamrugła oczyma i oparła się na łokciu.

– Coś przegapiłam?

– Jeżeli Tucson to coś – stwierdziła leniwie Viv. – Musiałabyś mieć dużo samozaparcia.

Cora ściągnęła koc, zwiesiła nogi za łóżkiem.

– Jak dziadek?

Viv wzruszyła ramionami.

– Przespał całą noc – odparła. – Czego nie można powiedzieć o twoim owłosionym przyjacielu. Konduktorzy mówili mi, że pół nocy spędził w wagonie klubowym z jakimiś sekciarzami. Sinbad przyniósł tatusiowi talię kart, żeby go trochę rozerwać po śniadaniu.

– Przespałam śniadanie? – przestraszyła się Cora.

– Zostawiłam ci trochę soku i kanapkę – uspokoiła ją Viv, nakładając makijaż.

– Są w zlewie.

Cora spojrzała za okno. Przemierzali właśnie wyschnięte koryto rzeki na pustyni.

– Cały czas mam uczucie, że zabieramy go do domu żeby tam umarł. – Viv wpatrywała się w graffiti, wijące się wzdłuż brzegów wyschniętej rzeki. – Zabieramy do domu jego jeszcze ciepłe ciało – zamrugła oczyma i popatrzyła na portmonetkę na swoich kolanach, jakby dziwić się skąd się tam wzięła.

– Ale jemu się poprawia, mamó – łagodnie przypomniała Cora. – I potrzebuje

ciepła żeby się trochę pozbierać.

Viv obrzuciła córkę uważnym spojrzeniem.

– Czasami myślę, że twoim prawdziwym ojcem jest Clifford Odets – powiedziała zamyślona. – On też miał taki szczególny sposób mówienia. Wspominałam ci, że go znałam, prawda? Mógł być twoim ojcem, wiesz o tym. Może to ci się wyda dziwne, ale twoja matka naprawdę podobała się mężczyznom.

Viv rozpyliła perfumy na przegubach dłoni i za uszami, po czym poszła do Billa.

Nabierali szybkości jadąc ciągle na wschód po rozgrzanych torach. Dziecko ukryte w jej łonie, jak w prywatnym przedziale, też zbliżało się do celu, powoli lecz ciągle. Pewna zostanie któregoś dnia odcięta, szyny się skończą, podróż dobiegnie końca. Esme ukaże się oczom świata.

Prawdę mówiąc Cora myślała o porodzie jako o wydarzeniu krytycznym – silne bóle głowy i kręgosłupa, które sprawiają, że jesteś zupełnie bezbronna. Dzieciństwo jawiło jej się niczym długa rekonwalescencja, czasowa niemożność chodzenia i mówienia. Lata mijają, zanim dziecko odzyskuje najbardziej podstawowe słownictwo, zanim odkryje – w powolnej ewolucji od raczkowania poprzez wstawanie aż do niepewnych kroków w kierunku czegoś, co przyciąga uwagę – co jest dla niego ważne. Jednym z zadań rodziców jest zatem przywrócić dziecku jego zmysły i zdolność poruszania się. Wpójć mu pewną dozę rozsądku i określoną postawę jeśli chodzi o włosy, zęby i ubrania, a następnie zostawić je gdzieś – niech sobie śpiewa i tańczy, niech wplątuje się w coraz to nowe kabaty, kolekcjonuje kolejne swetry i głupie kapelusiki. I jeszcze jedno – pomiędzy postawą a śpiewaniem, swetrami i kapeluszami – dać mu okazję powściekania się na rodziców. Rzadko, z miłością – ale powściekania.

Zatrzymali się późnym popołudniem w El Paso. Bud skontaktował się z ich agentem, który miał dla nich dwie oferty: animowany krótki film dla dzieci i serial dla reżysera nazwiskiem Rut Lee.

– Może powinniśmy napisać animowany serial dla tego Lee, który z nie wyjaśnionych przyczyn nosi krótkie majteczki i otacza się dzieciakami – oświadczył zadowolony Bud.

Echo odbijało jego głos po pustawej stacji – wysokim na trzy, cztery piętra brzydkim budynku, pozbawionym wszystkich tych rzeczy, które wyobrażali sobie, że będą. Nie było ani automatów do wody sodowej, ani barów, a nawet gazeciarzy. Tylko wysoki, nagrany gorącym powietrzem budynek i dwa aparaty telefoniczne.

Mieli piętnaście minut, dziesięć spędzili w kolejce do telefonu. Bud jednak wyglądał na zadowolonego – obawiał się, że po przekroczeniu granicy Teksasu ich kariera zawodowa zakończy się.

– Teraz, kiedy jesteś w ciąży – mówił podekscytowany gdy wracali do przedziału – jesteśmy niezastąpieni jeśli chodzi o perwersyjne, animowane programy dla dzieci. Możemy wymyślić Misia Roda, który będzie pomagał dzieciom z rozbitych rodzin dokuczając złemu rodzicowi. Pomyśl o tym – kapie z Misiem Rodem, talerze z Misiem Rodem, papierosy, ser. Będziemy milionerami. Cliffowi będzie głupio, że uważał mnie za zbyt dosłownego.

W pociągu Cora usiadła obok dziadka i oglądała świat uciekający za oknem, prześwietlony słońcem mijającego dnia. Gdzieś w głębokich parowach jego zdradzieckiej czaszki też odbijało się światło od nagromadzonych tam zasobów życia. W pułapce swej niemocy odbierania terażniejszości, co mogłoby go zająć, czekał na wspomnienie, które umieściłoby go w centrum wydarzeń – młodego, pewnego siebie.

Patrząc na niego Cora przypominała sobie, jaki był kiedyś pełen życia. Nie pamiętała wprawdzie, żeby kiedykolwiek widziała jak biega, ale pamiętała jego uważne, orle oczy. Niewiele mówił, raczej działał – dlatego teraz trudno było określić, czego tak naprawdę pozbawiła go choroba. Jako dziecko Cora przyglądała mu się kiedy naprawiał radio albo łowił ryby, oszczędny w ruchach, skoncentrowany, pochłonięty tym, co robił. Trochę się go obawiała, uważała, że jest groźny i niecierpliw. Tak bardzo chciała, żeby zauważył, że nie jest powierzchowna. Siedziała obok niego cichutko, nie chciała go rozczarować. Teraz zdawało się, że zabrała go córce choroba. Starał się ją przezwyciężyć, jakby ktokolwiek mógł przezwyciężyć coś tak pogmatwanego i pachnącego maścią Vick VapoRub.

Cora czuła oddech ogromnego Teksasu, kiedy wili się przez pustynię kreśląc gigantyczne sinusoidy niczym wąż. Otwarte głowy w tym kraju miały się czego bać, różności nadlatywały nie wiadomo skąd. Grupka krów na zielonej łące, uchwyt patelni, chata, miejscowa kapela w piątek wieczorem. Wszystko co mijali robiło na niej przygnębiające wrażenie.

Bill patrzył na wnuczkę i podjął ogromny wysiłek próbując umieścić ją w jakimś miejscu w życiu, które sprawiało mu tyle kłopotów i które tylko niekiedy mógł sobie przypomnieć. W pewnej chwili uśmiechnął się szeroko, uśmiech rozświetlił jego zmęczoną twarz.

– Ej, ty! – zawołał z całą energią, na jaką go było stać, uderzając dłońmi o uda.

Cora pomyślała, że „Ej, ty!” to bardzo wygodne powitanie dla kogoś z Alzheimerem. Zawsze pasuje.

– Jak ci leci, kotku? – ciągnął Bill. – Kiedy się przyłączyłaś do zabawy?

Cora wyszczerzyła zęby w uśmiechu, aż zabolą ją szczeka. Nie bardzo wiedziała co powinna odpowiedzieć. Czy chodziło mu dosłownie o zabawę? A może to przenośnia? Kiwała wymijająco głową, wreszcie zmusiła się do mówienia.

– Wtedy co ty, dziadku – oboje kiwali teraz głowami. – Wtedy co ty – powtórzyła.

Bill podrapał się po głowie ręką pokrytą plamami wątrobowymi.

– Tak – zaczął, po czym przerwał, namyślając się. Pauza przedłużała się. Ktoś zaśmiał się w korytarzu obok. – Dobrze – stwierdził. Ułożył usta w kształt litery o, jakby chciał zagwizdać, ale wydobył z siebie tylko powietrze.

Cora nachyliła się do niego.

– Chcesz wrócić do domu, dziadku?

Przestał bezgłośnie gwizdać, popatrzył na nią jak na kogoś, kogo nigdy nie znał.

– Ej, kotku, co słychać? – zapytał wesoło.

– Pytałam o Whitewright. Czy się cieszysz, że tam wracasz.

Popatrzył przez okno, potem oświadczył:

– Dorastałem w Whitewright.

Cora z ulgą oparła się o siedzenie.

– Jak tam jest? – zapytała głośnie, usiłując dostać się do jego pamięci, która jak motyl trzepotała skrzydłami, zachowując okruchy życia.

– To było okropne miejsce. Po prostu wstrętne. Ja i Sis nie mogliśmy się doczekać kiedy się stamtąd wydostaniemy. Tata pracował tam w szkole – wskazał jakiś nieokreślony punkt w półmroku za oknem. – Kiedy pewnego razu mama odkryła, że tata wygłupia się z jakąś nauczycielką, spakowała dzieciaki i wyniosła się do tego małego, białego domku obok kościoła metodystów. Nie rozmawiała z nim przez dwa lata.

Przerwał, uważnie obejrzał paznokieć na palcu wskazującym lewej ręki, szary i zniekształcony. Cora czekała.

– Tego lata ja i Joe Briggs chodziliśmy na ryby nad rzekę Dead Mule. Wykopywaliśmy te wielkie, tłuste robaki i używaliśmy jako przynętę. Znajdziesz robaka, idź na ryby – przerwał. – No i pewnego dnia wyciągałem za szybko albo co i zanim się zorientowałem, haczyk przeorał mi cały ten paznokieć. Widzisz?

Podniósł zgięty palec żeby Cora mogła go dokładnie obejrzeć. Dotknęła jego

dłoni, była sucha i twarda. Starła się być bardzo spokojna z uwagi na Esme, która mogła tego słuchać. Słuchać swojej historii, swoich korzeni, swojego żywego źródła. Dziadek był mostem do przeszłych, prostszych czasów, pierwszych nazw, liczb, czasów bez samochodów, bez problemów. A może Cora tak je sobie wyobrażała. Bądź co bądź ludzie umierali młodziej – na grypę, ropiejące zęby, z braku jedzenia. Ale niezależnie od tego jakie tak naprawdę były te dawne czasy, dziadek czuł, że powstają do życia. Dawał jej to, co zostało w jego pamięci, nie mądrość, ale jego życie, które przepływało powoli jak chmury.

Nagle pojawiła się Viv.

– Ktoś chce gumę? – zawołała, wymachując paczuszką Juicy Fruit.

– Nie – odparł zirytowanym tonem Bud, nie odwracając się od okna.

– Dzięki, mam, nie – powiedziała Cora. Przez brudną szybę dostrzegła reklamy miniaturowych kóz dla dzieci i podkładów kolejowych.

– Czy tam jesteśmy? – rzucił w powietrze Bill.

Cora spojrzała na niego; ręce położył na udach.

– Nie, dziadku, niedługo będziemy – odparła.

Pokiwał głową, starając się przeanalizować tę informację. Przejechali obok tablicy obwieszczającej „granice miasta” o nazwie Louella.

– Godne uwagi nadużycie słowa „miasto” – skomentowała Viv – i może najbardziej właściwe użycie słowa „granice”.

Nagle odezwał się Bill.

– Jeśli pojedziemy dalej prosto, to za jakieś dwadzieścia pięć mil dotrzemy do miejsca, gdzie mają ogromne arbuzy. Jeździliśmy tam z Howie Parkerem dzień przed meczem i przywoziliśmy dla całej drużyny. Kiedyś grał z nami Bobby Douglas, gracz olimpijski. No więc gramy, pamiętam, że dzień był piękny, Bobby podaje do mnie, ja łapię – pokiwał głową, nagle zagubiony w labiryntach pamięci.

– Co dalej? – dopytywała się Cora, wołając do Billa z przeszłości. Bill posmutniał, złożył pomarszczone ręce.

– Tatusiu – powiedziała Viv – opowiedz jak obrabował cię Pancho Villa.

Wyraz konsternacji pojawił się na twarzy Billa, po chwili zniknął.

– Jechaliśmy do Meksyku pociągiem. Mieliśmy tam grać mecz. Potem wiesz, pociąg zatrzymał się w szczerym polu i... i...

Odwrócił się do okna jakby tam ukryła się jego pamięć.

– Mówiłeś, że Pancho Villa był niski – podpowiadała Viv.

Słuchaj, Esme, słuchaj.

– Nie większy niż ja. – ucieszył się Bill. – Tak to właśnie by, by, by-było – i

umilkł na dobre.

Na obiad poszli do wagonu restauracyjnego. Smarowali masłem bułeczki i dziobali fasolkę złotymi widelcami. Kelnerzy zonglowali kremowymi talerzami na których pyszniły się ogromne steki.

– Wiecie, to mi przypomina żart rysunkowy, który widziałam w jakimś czasopiśmie – zaczęła Viv. – Dwoje ludzi siedzi na tylnym siedzeniu Rolls-royce’a i jedno z nich mówi do drugiego: „Szampan ciepły, kawior przesolony – czy to się nigdy nie skończy?”

Długo i zawzięcie debatowali nad nazwą sklepu z pamiątkami w muzeum Viv. Cora sugerowała „Lśniący Skarbiec”, Viv opowiadała się nieśmiało za „Cesarstwem Rozrywki”. Bud zaproponował „Kupujcie Tu Ludzie”.

Viv spojrzała na niego spod oka.

– Nie wydaje ci się to trochę zbyt dziwaczne?

Bud pomyślał przez chwilę, potem potrząsnął głową.

– Nie. Zbyt ogólnikowe. Ludzie na to nie pójda.

Cora przysłuchiwała się ich sprzeczce. Nagle poczuła wdzięczność za to, że miała taką właśnie matkę. Przypuszczała, że jej matka jest surrealistyczna, ale to była tylko jej własna forma rzeczywistości – barwna, ze skomplikowanym alfabetem dziwacznych zachowań. Przejawiała się nagle, tam gdzie się najmniej tego spodziewano. Matka była silna, chyba że na chwilę coś ją przytłoczyło. Cora rozumiała, że mogła czuć się niezręcznie w roli przyszłej babuni. Jej osobowość uformowała się kiedy miała dwadzieścia parę lat, tak zresztą jak i większości ludzi. Tylko że ona nie zmieniła się z czasem. Pozostała energiczna, tryskająca życiem, dziewczęca – trochę to nietypowe cechy jak na babunię. Czyż jednak Cora umiała powiedzieć, co jest typowe? Choćby nie wiem jak się starała, nie mogła sobie przypomnieć żeby matka kiedykolwiek była serio. Nigdy nie była skromna czy też, Boże broń, niezdecydowana albo małomówna. Cora uważała to za normalne.

Były zawsze blisko siebie, choć górowała Viv.

Będzie popełniała błędy w stosunku do Esmé ale zrobi wszystko, żeby były to błędy, które da się odrobić na obozie harcerskim. Mała nie zorientuje się, że Cora powinna być lepszą matką, przynajmniej przez pierwszych siedem, osiem lat życia. Będzie wpatrywała się w matkę z zachwytem w niewinnych oczach. Oczywiście, nie zawsze. Przed nimi dojrzewanie i jeszcze kilka rzeczy. Ale córka zawsze będzie jej córką, podróżującą w stronę dorosłości.

Po obiedzie wróciła do przedziału po sweter i poszła szukać wagonu widokowego. Bud obiecał jej już wcześniej, że pójdzie z nią pogapić się na gwiazdy. Wagon widokowy był ciepły od wszystkich obserwacji, które tu poczyniono w trakcie niezliczonych podróży pomiędzy Kalifornią a Teksasem, na wybrzeże do Portland i za granicę do Kanady i oczywiście z powrotem. Cora usiadła z podkulonymi kolanami, otulona szczelnie ogromnym, różowo-czarnym wełnianym swetrem. Położyła dłoń na szybie i poczuła zimny dotyk szkła na palcach i w spoconym wnętrzu dłoni. Usłyszała za sobą szum rozsuwających się drzwi i ciężkie tupanie po dywanie wyścielającym podłogę.

Stanął przy niej Bud.

– I jak, stworzenie, gotowi do rozmowy?

Cora podniosła się na swoim miejscu i spojrzała mu w oczy.

– Czyżbyśmy mieli zaplanowaną rozmowę w tym punkcie naszej podróży? – zapytała, robiąc mu miejsce na ciepłym siedzeniu obok siebie.

– W tej sytuacji – poprawił Bud sadowiąc się i biorąc ją za rękę. – Zawsze rozmawiamy w takich sytuacjach w trakcie naszej pielgrzymki. Rozmawiamy albo gramy w karty.

Pokiwała głową i położyła ją na jego ramieniu. Pachniał papierosami i piwem. Ich odbicie w szybie ukazywało senną parę podróżującą na wschód żeby odwiedzić przyjaciół i rodzinę.

– Ty zaczynasz – oświadczyła Cora, patrząc na poruszające się odbicie swoich ust. Czekala aż Bud się odezwie.

– Co zrobimy z dzieckiem Raya? – zapytał twarz odbitą w szybie. – Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale chyba nie wszystko pamiętam.

– Zatrzymamy je oczywiście – powiedziała ostrożnie, przytulając się do niego jeszcze mocniej. – Zatrzymamy i pozwolimy mu je odwiedzać kiedykolwiek zechce. To znaczy – w granicach rozsądku. Rozumiesz?

Bud objął ją ramieniem i przytulił – tak mocno i nieoczekiwanie, że poczuła jak nagle zapala się małe, czerwone światełko. Alarm. Trochę jak gwizdek pociągu w nocy, jak długi smutek.

– To duża sprawa – ciągnęła zdziwiona. Nie czuła się kompetentna do podejmowania takich decyzji i znoszenia ich długoterminowych, dziewięćmiesięcznych skutków z odpowiednią dozą lęku. Ale cóż mogła zrobić? Opiekując się Williamem odkryła, że jeśli uczestniczy się w tragedii, zamienia się ona w coś innego. Jeśli jest się w ciąży, ona też zamienia się po pewnym czasie w coś innego, w macierzyństwo.

Bud odchrząknął.

– Podejmiesz decyzję, która wpłynie na jego życie.

Cora niezgrabnie odwróciła od niego twarz.

– Nie wychodź z siebie, dobrze. Możesz mieć trudności z powrotem i co ja wtedy zrobię?

Uśmiechnął się i oparł o siedzenie, zerkając na gwiazdy.

– Jesteś całkowicie pewna, że nie możesz z nim być? – zapytał.

Westchnęła głęboko, jakby westchnięcie pochodziło od Esme.

– Rzecz w tym – zaczęła z wahaniem – że moglibyśmy być razem przez pewien czas, ale myślę, że przy mnie szybko by się wypalił. Może będzie coś pomiędzy nami, nasze dziecko, które musimy wychować. Lepiej być blisko siebie, choć żyć osobno, niż mieszkać razem i żyć osobno. I tak jesteśmy i będziemy już na zawsze ze sobą złączeni – nasze geny wymieszały się w niej od samego początku.

Bud przerwał jej zdziwiony.

– Czekał. Wiesz, że to dziewczynka?

Poważnie skinęła głową.

– To jedyna możliwość.

– A! – stwierdził. – Rozumiem.

Przez chwilę wyglądali przez okno w milczeniu.

– Chciałabym być z tobą zupełnie szczerą – zaczęła bawiąc się pierścionkiem. – Wiem, że to co robię jest całkowicie słuszne, pomimo wszystkich komplikacji, a może właśnie z ich powodu. Ale nie mogę powiedzieć mu teraz. Gdybym to zrobiła, wiem, że czułby się zobowiązany poślubić mnie czy być ze mną. Nie chcę go stawiać w takiej sytuacji – ani siebie czy dziecka – kiedy musiałby zrobić coś, bo tak wypada, bo powinno się tak postąpić. Nie chcę żeby ktoś cierpiał przez to, że jestem, jaka jestem. Nasz związek był udany, na tyle udany, że dane nam było odwołać jedno życie i powołać następne, niczym przez kosmiczną czarną dziurę czy niebosięzną bramę. W ostatecznym rozrachunku to nieważne, że on robi za dużo drinków czy czuje się niedoceniony, albo cokolwiek robi czy czuje. Ważne jest to, że po prostu nie jesteśmy stworzeni do wspólnego życia. On jest niestrudżonym naprawiaczem – naprawiaczem przez duże „N”, super naprawiaczem. Z dzieckiem będzie inaczej niż ze mną, nie będzie się czuł oszukany ani niedoceniony. Będzie doskonały, bo ona da mu szansę wypełnić jego najgłębsze, najprawdziwsze przeznaczenie. Będzie oddanym, cudownym rodzicem – a ja zawsze pozostanę w jego cieniu. Ale i tak będę się starała ze wszystkich sił. Proszę cię o jedno, pomóż mi poukładać sobie jak mam mu to wszystko

powiedzieć, żeby nie mówić o tym, że nie powiodło nam się jako parze, ale o tym, jakim on będzie wspinałym ojcem.

Skończyła, zrobiło się cicho i zauważyła, że Bud kiwa głową. Kiwał tak już od dłuższego czasu, rytmicznie, w takt jej słów. Pociąg wił się serpentynami po skałach i kamieniach nad Rio Grande, na których kładły się cienie ogromnych, pradawnych bestii. Bud ziewnął szeroko, przeciągnął się i skrzyżował nogi w kostkach. Cora wyśliznęła się spod jego ramienia i patrzyła na przyjaciela wyczekująco.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? – spytała wreszcie, kiedy wydawało jej się, że już nigdy nie odpowie.

– Zastanawiam się co ja bym zrobił. Trochę trudno mi się wczuć, ale... – przerwał, oczy mu się zwięzły. – A oto nasz plan działania, oparty na odczuciach samotnego faceta: kontaktujesz się z nim w najbliższej przyszłości i przedstawiasz którąś z wersji. Oczywiście trzeba będzie trochę nad nimi popracować, w tej chwili wszystkie są strasznie napuszone i rozlazłe. Ale ja się tym zajmę, nie pozwolę ci zostawić gościa na uboczu dopóki jest choć cień szansy na odzyskanie tego zegarka.

Cora uśmiechnęła się pod nosem.

– Ty przynajmniej stawiasz sprawę jasno.

Bud pokiwał głową z udawaną powagą.

– I wiem, że nawet jeśli nie odzyskasz od niego tego zegarka – co Boże broń – to znajdziesz mi dokładnie taki sam. Sama poczujesz, że nie możesz inaczej postąpić po tym jak zaliczę z tobą wszystkie te idiotyczne lekcje oddychania, przewijania i czego tam jeszcze.

Ledwo się powstrzymała żeby go nie objąć. Rodzinki, dzieciaki i psy. Dla niej odkładał na bok cynizm i pomoże jej dziecku przyjść na świat.

Patrzył na nią poważnie.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, jak bardzo jest ważne, żebyśmy nie wplątali się teraz w jakieś uczucia. To by było szaleństwo. Skoncentruj się na zegarku i na karmieniu piersią. Ja pomogę ci z oddychaniem, parciem i telefonem do Raya.

Odprowadził ją do przedziału. Bez słowa szli korytarzami, przechodzili przez przejścia między wagonami, gdzie owiewało ich chłodne powietrze z zewnątrz. Przypomniała sobie jak wygaszała światła w swoim domu i potem w ciemnościach szła do Raya. Teraz to Bud, jej najlepszy kumpel i przyjaciel będzie przy niej tam, gdzie zwykle przychodzą pary żeby nauczyć się oddychać i karmić.

– Dobranoc, Cezarku – wyszeptał pod drzwiami jej przedziału.

– Et tu Brute? – powiedziała miękko, z twarzą przy jego policzku. – W takim razie niech Cezar upadnie – prosto do łóżka.

Otworzyła drzwi i cichutko wśliznęła się do ciemnego pomieszczenia. Zdjęła sukienkę, starając się nie obudzić matki i sięgnęła do torby po wielką, bawełnianą koszulę nocną. Uśmiechnęła się do siebie – Viv spała na jej kuszetce. Kuszетка i kuszenie, próbowała zgrabnie połączyć te słowa, ale nic jej nie wyszło.

Rozważała ewentualność umycia zębów, ale stwierdziła, że na pewno obudziłyby tym Viv. Z czystym sumieniem zdecydowała się położyć bez mycia. Patrzyła na matkę stojąc w wąskim przejściu pomiędzy łóżkiem a toaletą i zlewem i, pierwszy raz odkąd zaszła w ciążę, zapragnęła z nią porozmawiać. Jeśli ktokolwiek mógł jej powiedzieć, jak postępować w ciąży, jak opiekować się dzieckiem, jak się zachowywać, kim być – to właśnie ona. Nawet jeżeli już zapomniała. Cora pomogłaby jej przypomnieć sobie. Matka mogła matkować jej w macierzyństwie, mogła przekazać jej tę iskrę, która rozpali płomień potrzebny żeby stać się rodzicem.

Cora położyła rękę na brzuchu. Nie była pewna czyjej uczucia są dostatecznie ciepłe. Skąd mogła wiedzieć, czego potrzebuje mała istotka skoro nie umiała się z nią porozumieć? A co jeżeli rzeczywiście jest jakiś gen zaniedbania i negacji, tak boleśnie odczuwanej przez Raya? Odczuje to też dziecko, choćby nie wiem jak się starała. Podeszła do łóżka, zawahała się, po czym odchyliła koc i położyła się obok matki. Viv poruszyła się.

– Mamo – wyszeptała. – To ja, Cora.

– To dobrze, kochanie – powoli budziła się Viv. – Już myślałam, że to Elias, robił do mnie oczy podczas obiadu.

Jej dłoń machinalnie gładziła włosy Cory.

– Mamo, muszę cię o coś zapytać. Czy jest coś... To znaczy czy pamiętasz coś, co może powinnam wiedzieć, co pomoże mi mieć dziecko?

Viv uśmiechnęła się i położyła na plecach. Corę zachwyił jej widok. Wyglądała tak świeżo i ślicznie, niczym młoda, naiwna dziewczyna. W makijażu była skończoną pięknnością, ale teraz sprawiała wrażenie osoby, która biegła boso po pociągu, ignorując zakazy i wróżąc z gwiazd i ze słońca. Jej oczy błyszczały w ciemnościach, pełne sekretów. Wydawało się, że chce je wyjawic, ale powiedziała tylko:

– Będiesz wiedziała co robić, zawsze wiesz. Jesteś taka jak ja – masz intuicję.

Polegaj na niej.

– Ale mammo! – zajęczała Cora.

– Tak jak z twoim przyjacielem Wiliamem. Wiedziałaś co masz robić – tak mi mówiłaś.

– Tak, ale...

– Tak naprawdę to nie ma żadnej różnicy. Kiedy kogoś kochasz, jest on jak twoja rodzina – robisz wszystko, żeby czuł się lepiej, robisz to, co dla niego dobre, bo jest dla ciebie ważny. Jak z dziadkiem – czy nie zabieramy go do domu? W pewnym sensie to nawet nie jest ważne czy tam dotrzemy, ważne jest to, że go zabieramy do domu bo on tego pragnie. A to, że zajęłaś się Wiliamem albo że jesteś z Budem kiedy on jest nieszczęśliwy – to zupełnie to samo. Jeżeli chodzi o dziecko, musisz polegać na instynkcie. To naprawdę wszystko.

Cora zmarszczyła brwi.

– To nie może być wszystko, mammo. Gdyby to było wszystko...

Viv przerwała jej. Podniosła się na łóżku.

– Kochanie, twoje życie bardzo się zmieni. Będziesz mało spała, wymiotowała i prała góry śmierdzących pieluszek. Ale mówię ci, będziesz wiedziała co robić. Teraz odwróć się, a ja cię podrapię po plecach żebyś mogła zasnąć.

I zasnęła słuchając piosenki, którą pamiętała z dzieciństwa. Była to piosenka o małym, czerwonym kucyku, biegającym po drogach i do stajni. Melodia i słowa zmieniały się, niezmienny był tylko mały, niesforny kucyk, który nie potrafił wydorosnąć.

Córce przyśniło się, że jest w Whitewright, że była tam już wcześniej. Pojęła, że jest to miejsce, w którym się wychowała i do którego wróci. Tam był jej obecny dom, ten z Los Angeles. W korytarzu wisiał Morandi – portret na którym namalował przestrzenie pomiędzy jej córką, jej matką i nią samą. Zaraz za sypialnią odkryła zapomniany pokój, należący kiedyś do Wiliama. Gdyby wcześniej wiedziała o istnieniu tego pokoju, mogłaby zrobić tyle wspaniałych rzeczy – zaprosić więcej przyjaciół, urządzić tam biuro albo przerobić go na werandę. Aż nagle przyszło jej do głowy, że to będzie doskonały pokój dla dziecka. Może gdyby wcześniej go odnalazła, nie czekałaby tak długo żeby je mieć. Będzie musiała się teraz pospieszyć żeby przygotować pokój dla Esme. Nie pamiętała kiedy wybrała imię, ale przynajmniej ono było gotowe w odróżnieniu od pokoju. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że wszystko ucieka do tyłu. Zrozumiała, że zapomniała wysiąść z pociągu – jakże więc miała zająć się pokojem. Mimo to nie poddawała się. Zrobi co w jej mocy żeby przygotować miejsce dla dziecka.

Eliasz obudził je przed świtem. Pociąg zbliżał się do San Antonio.

Cora nic nie widziała w gęstej ciemności, przez krótką chwilę nie wiedziała gdzie jest. Matka spała na łóżku obok. Cora przekręciła się na brzuch, powoli odzyskiwała świadomość. Poszukała chłodniejszego miejsca na poduszce i zwinęła się w malutki kłębuszek, jak tylko mogła najciaśniej. Leżała długo, wsłuchując się w spokojny oddech matki i monotony stukot kół, myśląc o swojej rodzinie. Zaczęło się od mężczyzny, który nie był już panem swojej pamięci, potem jej śliczna, ekscentryczna matka, ona sama – przyszła matka, mistrzyni niepewności. I wreszcie Esme, obecnie w stadium formowania się rączek i pierwszych głupich minek. Jej małe, podrózne drzewko genealogiczne, łączące ludzi spokrewnionych przez ciąży i porody. Plus ich osobisty Żyd Wieczny Tułacz. Minus zegarek. To jakiś śmieszny eufemizm – myślała – ten pociąg, Whitewright, nawet jej potargane włosy. Rzeczy rzadko układają się zgodnie z naszymi planami, jeszcze rzadziej jest w nich szczypta zdrowego rozsądku. Ale nikt nie mógłby zaprzeczyć, że ona nie robi teraz tego, co powinien robić człowiek. Nagle zaczęła się zastanawiać, co zje na śniadanie – miała nadzieję, że jeśli zdoła podjąć decyzję, wszystko inne też się jakoś ułoży.

## **Drogi Rayu,**

*mam nadzieję, że nie zemdlejesz z wrażenia po otrzymaniu listu ode mnie. Musisz wiedzieć, że kiedy już raz nawiązałeś ze mną kontakt, może on zostać zakłócony, ale nigdy na dobre przerwany. Co wcale nie znaczy, że będę Cię po wieczne czasy ścigać ze swoimi wynurzeniami. Są jednak więzy, których nic nie zniszczy – i okazuje się, że w pewien szczególny sposób odnosi się to do nas. Piszę z miejsca, w którym urodził się dziadek Bill (gracz w baseball, pamiętasz?). Zwróciliśmy go niczym relikwię miejscu, gdzie się urodził. Mieliśmy cichą nadzieję, że może wróci tu do siebie. Może to nie bardzo logiczne, ale trudno.*

*Okazuje się, że główna ulica Whitewright to jeden budynek. Jest tu szkoła karate i sklep (czynne) oraz ciastkarnia i sklep z artykułami żelaznymi (nieczynne). Jest jeszcze sklepik z pamiątkami, w którym kupiłam lalkę (więcej o lalce za sekundę).*

*Jednym słowem, każdy ma gdzieś swój dom – oprócz Billa, który chciałby odzyskać choć cząstkę swojej pamięci, na co nie ma szans. Usiadł na ławce przed biblioteką, zapalił papierosa i spytał: „Czy już tam jesteśmy?” i „Chcę do domu” – czyli dokładnie to samo, co mówił przez cały czas.*

*Skoro już mowa o rodzinie, z dumą – choć bez większego doświadczenia – pragnę Ci oznajmić, że jestem z Tobą w ciąży. Najwyraźniej spłodziliśmy dziecko podczas tych stresujących, choć jednocześnie heroicznym dni. Z mety oświadczam (wszelkie aluzje sportowe oczywiście na cześć dziadka), że nie piszę do ciebie żebyś się poczuł zobowiązany mnie poślubić czy pomagać mi przez następnych osiemnaście lat. Jesteś ojcem i uważam, że powinieneś mieć szansę jakoś się w to zaangażować – jeżeli chcesz. Przykro mi, że nie umieliśmy i nie umiemy być ze sobą w nieco bardziej konwencjonalny sposób, ale lepiej że zrozumieliśmy to zanim ona (zdecydowałam, że to ona) dorośnie na tyle żeby zastanawiać się jak było między nami zanim zaczęło być źle.*

*Tak więc pomimo że nie stworzyliśmy udanego związku, zdołaliśmy stworzyć człowieka. Mam nadzieję, że będzie miała twoją cierpliwość i moje poczucie humoru i nie odziedziczy po mnie lenistwa a po tobie bezwolnego, agresywnego uroku. Nazwę ją Esme Bing – a jeżeli okaże się, że już zaczęła mnie oszukiwać i jest chłopcem, Lillian Ross. Tak czy siak, będzie nosiła Twoje nazwisko – o ile nie masz nic przeciwko temu. Daj mi znać i proszę, postaraj się być zadowolony. Ja jestem. Pomyśl, że nie wylaliśmy dziecka z kąpielą. Między nami mówiąc zaczęło się to*

*wszystko właśnie od kąpieli.*

*Do zobaczenia za siedem miesięcy.*

*Pozdrowienia*

*Cora*

Pewnego upalnego, lipcowego poranka Cora ocknęła się w hotelu Viv w Vegas. Zbudził ją skurcz Braxtona-Hicksa i poczucie zagrożenia. Usiadła na łóżku i patrzyła na Strip, wciąż pomrużujące światłami w szarym przedświcie. Skóra na jej brzuchu kurczyła się, nie mogła zaczerpnąć tchu.

– Oooo – jęknęła przeciągle, czekając na ból. Szukała obok siebie Buda, wreszcie natknęła się na wytatuowane ramię.

– Buddy – potrząsnęła nim delikatnie. Poruszył się i odwrócił, naciągając poduszkę na głowę. Ból stawał się coraz ostrzejszy.

– Teraz, Buddy – powiedziała poważnie. – Mam Braxtona-Hicksa.

Bud podniósł się nagle.

– A co to za jeden? – zapytał nakładając swoje czarne okulary.

– Detektyw z Południa?

– Musimy jechać do szpitala – Cora z trudem chwytiała powietrze. – Zaczęło się.

Bud złapał ręcznik i sięgał po słuchawkę.

– Już czas, Cezarku? Cora, co ja mam robić?

Uśmiechnęła się pomimo całej powagi sytuacji.

– Przede wszystkim nie nazywaj mnie Córą, nie teraz.

– Oddychaj, Cezarku!?! – wołał wykręcając numer. – Oddychaj! Halo! – krzyczał do słuchawki. – Niech ktoś... przyjdzie... Zaczęło się... Potrzeba nam pomocy... wezwijcie karetkę i zawiadomcie Viv... Vivian Ness... Szybciej!

Uderzył słuchawką o widelki. Cora jęczała w łóżku, przypadł do niej.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że prawie płacze.

– Nie denerwuj się, Buddy. Wszystko będzie dobrze.

Zamrugął oczyma.

– To ja powinienem ci to powiedzieć, mamusiu.

Cora skrzywiła się i zamknęła oczy.

– To powiedz, słucham.

Bud pogłaskał ją po głowie i powiedział. Naprawdę.

Lillian Bing Beaudrilleaux przyszła na świat o trzeciej trzydziści pięć następnego popołudnia, przy wtórce „Serc i umysłów”, które Cora oglądała w przerwach między skurczami. W ostatniej chwili zdecydowała się nie nazywać jej

Esme – nie mogła zapomnieć skojarzenia z wycieraniem nosa. Poza tym jej książka z imionami objaśniała, że Esme znaczy „szacowna” i Cora pomyślała, że to określenie pasuje raczej do znakomitego chirurga albo sędziego Sądu Najwyższego, a nie do jej cudownego dziecka. Bud optował za Bunny albo Bueną, najbardziej zbliżonymi do jego imienia imionami żeńskimi, jakie zdołał wyszukać. Nigdy nie był bliższy ojcostwa niż w tej chwili i nie mógł się oprzeć pokusie uwiecznienia w jakiś sposób swojej roli. W momencie desperacji próbował nawet Budwiny.

W końcu Cora zdecydowała się na Lillian, w skrócie Lily – podobnie do Billy’ego i Williama. Bud, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, został wraz z Joan mianowany opiekunem prawnym dziecka. W razie gdyby zarówno Corę jak i Raya zgmiotła winda, albo gdyby rozbiły się ich samoloty, Lily Bing dzieliłaby swój czas pomiędzy dobre nastroje Joan i kolorowe nastroje Buda. O ile, oczywiście, zabrakłoby Viv.

Bud i Vivian byli przy Córce podczas porodu. Dziadek Bill siedział w poczekalni bawiąc się kartami. Cora zastanawiała się, kiedy zawiedzie ją jej stoicyzm – w którym momencie ulotni się, zniknie jak kapelusz porwany przez wiatr. Patrzyła na liczby na monitorach, które nasuwały jej na myśl guziki w windzie. W tym przypadku ona sama była jednocześnie windą i piętrem, na które jechała. Ból czołgał się w niej, dziecko wychodziło.

Zdawało jej się, że rzeczy dzieją się ponad nią. Dostała znieczulenie, Viv masowała jej stopy – Cora była jej bardzo wdzięczna, chociaż nic nie czuła. Była jakby obok całej tej krzątaniny, obojętna, bierna. Czuła, że coś w niej skręca się i prze, wypycha dziecko na zewnątrz.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła Lily, była przekonana, że z dzieckiem jest coś nie tak. Uszy małej wyrastały nie tam, gdzie powinny, i te stopki – te paluszki! Było ich za dużo! Spodziewała się tego, czy mogło być inaczej? Policzyła jeszcze raz – pięć paluszków u jednej nóżki, pięć u drugiej, tak samo u rąk. Uszy też w porządku. Zatem nie miała zostać ukarana. Przynajmniej nie w taki sposób, nie teraz.

Ray przyjechał wkrótce po narodzinach Lily, zgodnie z ich umową. Wyglądało na to, że dobrze mu się wiedzie. Cora nie czuła żadnych wzruszeń widząc go. Miała nadzieję, że ich dobre maniery przetrwają na tyle długo, aż dziecko osiągnie pełnoletniość i postanowiła zapamiętywać kawały o prawnikach. Wszyscy wokoło rozkwitali – Bud napisał miniseriał telewizyjny rozgrywający się w hotelu Viv.

Serial odniósł bardzo dyskusyjny sukces, odnotowany tylko w „Village Voice”, ale pomimo to Bud zarobił dużo pieniędzy, a hotel Viv pojawił się na mapach. Nawet przerażająca jazda wśród kostiumów wypadła nadszpodziewanie dobrze – prawie super, jak stwierdziła Cora, choć była akurat w zaawansowanej ciąży i w związku z tym hormonalnie niestabilna.

Jej dziadek znalazł nowego przyjaciela, który mieszkał w lustrze hotelowej łazienki. Pomimo wszelkich starań ze strony Billa przyjaciel nie chciał się odezwać. Pewnie z powodu nieuleczalnej nieśmiałości. W drugim dniu życia Lily Bill popatrzył na nią jakby starając się znaleźć dla niej jakieś miejsce w przeszłości. Wreszcie spojrzał na Corę.

– Czy to jakaś sztuczka? – zapytał podejrzliwie. Cora przechyliła głowę.

– Wygląda jak twój przyjaciel z lustra, co?

Twarz Billa rozjaśniła się.

– Wiesz, ja naprawdę wierzę, że tak – powiedział uśmiechając się szeroko. – Naprawdę.

Jeżeli zaś chodzi o dziecko – cóż, było prześliczne. Przypominało Viv, choć Cora bacznie obserwowała mały nos – zdawało jej się, że robi się z każdym dniem coraz bardziej podobny do nosa Raya. Joan stwierdziła, że to przywidzenia.

Cora odczuwała zazdrość kiedy matka przytulała małą. Dopóki wygłaszała bombastyczne tyrady, wszystko było w porządku. Tak jak przewidziała Viv, Cora wymiotowała i prała nie kończące się ilości pieluch – ale znosiła to o wiele lepiej niż można było przypuszczać. Dziecko rzeczywiście zawładnęło zazdrośnie strzeżonym terytorium jej snu. Czasami Lily łkała i nic nie mogło jej pocieszyć. Cora całowała ją wtedy, kołysała na rękach i pytała żałośnie:

– Co się stało? Jak mogę ci pomóc? – niczym kelner-psycholog z nadmiernie rozwiniętym instynktem opiekuńczym.

Lily gaworzyła i ruszała we śnie rączkami, co skłoniło Buda do nazwania jej Baletem Małych Rączek. Jej twarzyczka często rozjaśniała się w przelotnym uśmiechu, tak nikłym, że czasami nie wiadomo było, czy naprawdę był to uśmiech. Lily będzie późno chodziła, ale szybko zacznie mówić – przepowiadała Viv. Cora myślała o tym, jak pokaże swej córce jej piękne, złote włosy, nos, łokcie, oczy, palce i zęby. Przez jej ciało przetoczyła się ogromna fala, wyrzucając na pustą plażę dziecko jak cudowną muszlę. Cora przykładała do niej ucho i słyszała całe swoje życie.

## Kochana Esme,

*sprawdziłam w słowniku oksfordzkim słowo „dziecko” i oto, co znalazłam: dziecinka – oznacza kochane małe dziecko, jak w: „Nie bądź taka stanowcza, dziecinko – powiedział jej ojciec” (E. Coxon, 1881). Także: „Cała siła jej ducha weszła z dzieckiem Saira” (Chapman, 1606). I: „Czyż rodzic jest lepszy od dziecka, w które zaklął swe dojrzałe istnienie?” (Emerson).*

*Widzisz? I kto tu mówi, że nie można studiować rodzicielstwa? Trzy trymestry i bum ~ magisterium. Jak ten czas leci. „Jej dzieci odeszły. Matka Słowik lamentuje” (Dryden).*

*Odkryłam także, że Morandi nie tyle malował przestrzenie między przedmiotami, ile czynił przestrzenie ważniejszymi niż same przedmioty. Właściwie to same przestrzenie – negatywne i pozytywne. Nie ważniejsze niż Tak. Zanim to jednak odkryłam, Morandi wydawał mi się jak taniec – taniec podczas święta, tancerze mają szerokie rękawy i kosze owoców na głowach. Czy nie chciałbyś żyć w czasach, kiedy tańczyli Morandi, a śmiech wznosił się pod niebo jak ptaki, wypełniał pozytywną przestrzeń tak szczelnie, że negatywna odchodziła tak daleko, iż po prostu nikt nie słyszał jej Nie?*

*Pozdrowienia*

*Matka Słowik*

## Podziękowania

Borysowi Jelcynowi, który odbierał moje nocne telefony, kiedy nikt inny w całej Rosji nie zechciałby ze mną rozmawiać.

Meryl, która jest albo szczerą, lojalną przyjaciółką, albo najlepszą aktorką na świecie. Chanie, która nie zrażała się moimi wzlotami i upadkami. Gavinowi, który odbudował moją wiarę w dobroć ludzką, choć przyznał, że żartował. Arniemu, którego wyrozumiałość i optymistyczne poglądy sprawiły, że byłam w stanie przeżywać długie chwile opuszczenia i radości. Davidowi, który cierpliwie czekał i pomagał mi wyjść z kłopotów.

Harveyowi, księciu wśród królów, najlepszej osobie, której zdarzyło się spędzić niedzielę w Polsce z zadziwiającą tancerką. Michi, wiktoriańskiej staruszce, półkrwi Żydówce, nie wychylającej nosa z domu, która tak często przypominała mi o tym, o czym powinnam wiedzieć. Penny, mojej towarzysze w podróżach i ucieczkach z przyjęć, która jest albo jedną z moich najdawniejszych i najdroższych przyjaciółek, albo naoglądałam się za dużo „Laverne & Shirley”. Buckowi, mając nadzieję, że zwróci moje nagie fotografie z workiem na głowie. Mojej matce, ukochanemu członkowi rodziny za jej rozsądny, sekretny język. Babci Maxene, która istnieje w mojej książce jako rodzaj pamięci, a w moim życiu jako siła dająca spokój. Mayowi, który zajął się odbudowaniem w moim życiu zagubionej intymności. Bobowi, który recytował jambiczny pentametr i próbował poprowadzić mnie od prostoty rymu w morze rytmu. Glorii Crayton, bez której byłabym bardziej sobą niż ktokolwiek byłby w stanie znieść. Abe Gurkowi, mojemu oddanemu asystentowi (cokolwiek miałoby to oznaczać), który pomógł mi przebrnąć przez trudny, nie kończący się okres pisania, zaopatrując mnie w monstrialne ilości piór, coca-coli i starej muzyki. Glorii Carugati, wesołej towarzysze panny Billie, opiekunce Play-Doha i Cataliny. Bruce’owi, chłopakowi w niezgodzie ze wszystkim oprócz zegarka (szczegóły później). Angelo za czynienie mnie piękniejszą niż się czułam. Ninie za ogromne ale sensowne notatki. Mojemu wujowi Billowi, imiennikowi prezydenta. Mojemu bratu, Toddowi, który prowadzi hotel nawet kiedy spaceruje. Mojemu ojcu, który ocalił zasoby ojcostwa na moment, w którym były najbardziej potrzebne, i jego żonie Betty za jej bezmierne poświęcenie i przysłanie mi pianina Ronalda Colmana.

Mojemu diabelskiemu bliźniakowi, Kevinowi, który targuje się za mnie, strzeże mnie i jest moją lepszą połową. Ioneskiem pośredników i doktorkiem, który znaczy

dla mnie dużo więcej niż Mała Szwajcaria (może trochę niejasno się wyrażam). Becky, mojemu wydawcy, który świetnie się spisał na wodnych torturach w Beverly Hills. Lesterowi, który podnosił mnie na duchu przez parę tygodni zanim pozwolił, żeby ogarnęła mnie panika. Michaelowi za to, że traktował mnie jakbym była normalna, kiedy nikt nie uważał mnie za normalną. Małej Nancy (dla skrótu), naszej swawolnej przyjaciółce o zwinnych paluszkach (na dodatek mormonce). A nawet, co dziwne, Bryanowi za poczęcie Billie Catherine.

Ogromnej rzeszy lekarzy, którzy należą do naszej gromady: Beatriz Foster, Evie Presslar, Neilowi Haasowi i Joelowi Lebowitzowi – wiecie, kim jesteście, i w stosownym momencie przypomnieć mi dokładnie, czym się zajmujecie.

Dla Judy i Freddiego za rozślawienie weekendów Billie ze Skee-Ballem, reniferem i kocią muzyką. Dla Charliego, Jimsa i Toniego i nawet Petera, którzy byli więksi niż suma moich części i vice versa. Dla Patti i Ruby, uciekinierek z ognia, Eda, Mike'a N., Johna C, Connie, Romanellego, Charlesa Bennetta, Michaela Lucasa, Marii, Meg R., Tima Flacka, Pauli, Chaika, Melissy, Mary, Bei, Mike'a i Bryn, Robina i Marshy, Vincenta, Hannah i Griffina, Boba i Anjeliki, Freilina, Teda Pugh, Rose, Scottów, Idlesow, Christie, Sandy, Barry'ego, Demi, Rino, Ostinsów, maxi i mini Spielbergów, Fordów, Betty B., Barbary, Beverly, Jeana L., mojego Dreyfussa, Laurence'a Fishburna, Nory, Dana M., Linda M., Daniego J., Alaina, Shirley, pana Nicholsona, Williama S., Carolyn Reidy, J. D. La Seldes, Meg W. i Leslee.